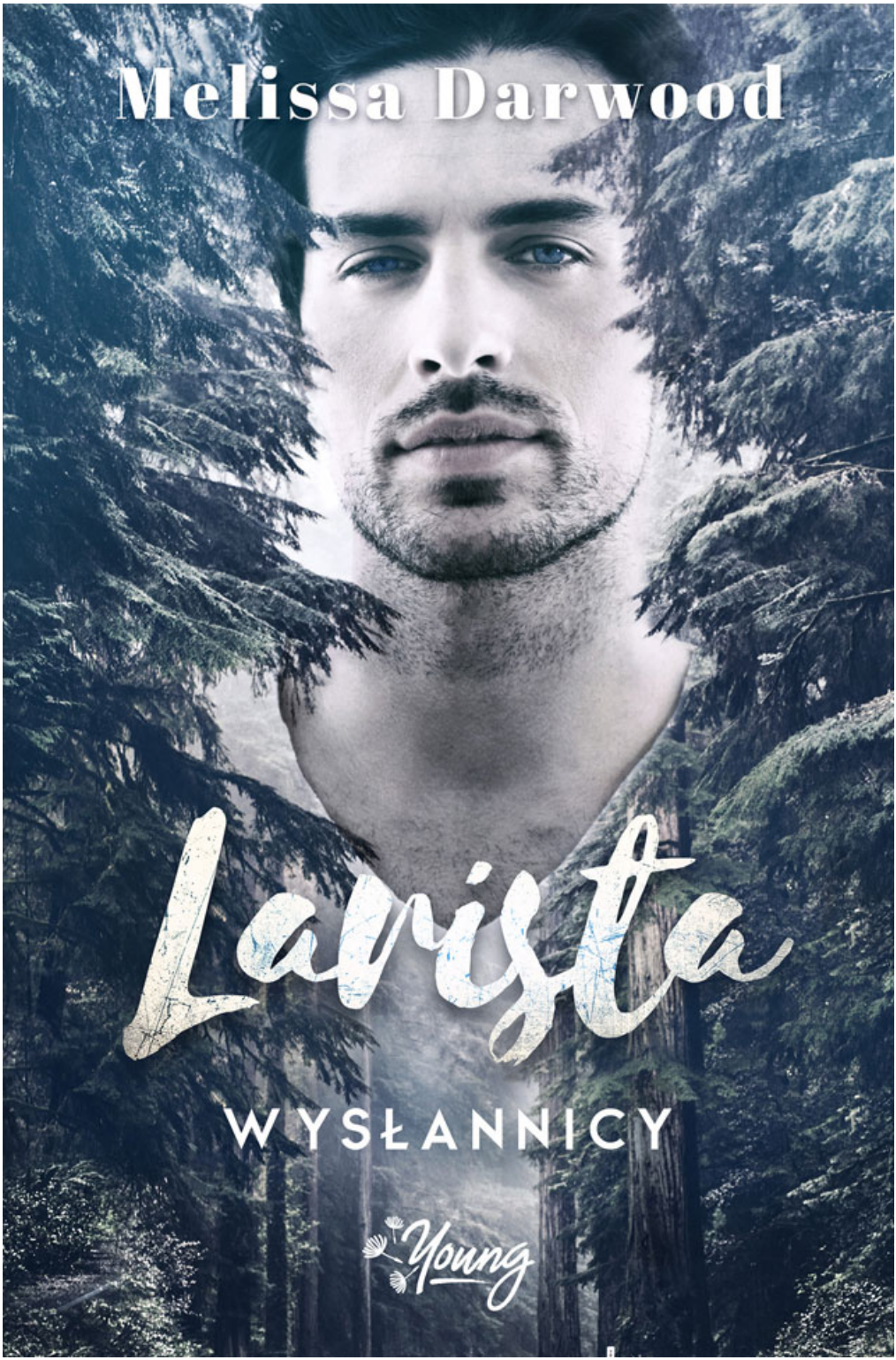
Melissa Darwood
Larista
WYSŁANNICY
Young

Melissa Darwood

Larista

Mojemu ukochanemu Mężowi.
I wszystkim, którzy szukają prawdziwej miłości.

Larysa

Zapach stearyny unosił się w wilgotnym powietrzu. Stałam pośrodku starego cmentarza, patrząc na zapadnięte groby przykryte burą płachtą gnijących liści. Mimo szarówki ujrzałam w oddali ogromny krzyż rozświetlony blaskiem białych zniczy. Podążyłam ku niemu, zerkając na wąskie ścieżki, przy których znajdowały się zniszczone pomniki otoczone mistyczną aurą. Przy każdym z nich stał poszarzały posąg. Był tu monument kobiety, której dumną twarz wykrzywiał grymas. Była tu też statua anioła trzymającego z powagą długą trąbę i rzeźba dwójki dzieci, których buzie zamarły w niewinnym uśmiechu.

Mimo uczucia zimna szłam wciąż przed siebie, a jakaś nieznana mi siła ściągała mój wzrok na cmentarne posągi, które wzbudzały we mnie silny niepokój. Moją szczególną uwagę zwrócił jeden z nich – figura młodej dziewczyny. Widok jej pochylonej, zastygłej twarzy sprawił, że przeszedł mnie dreszcz. Długa, wyrzeźbiona w kamieniu chusta spływała bezwładnie na jej ramiona. Jej szczupłe, obmyte przez deszcze i wygładzone przez wiatry dłonie wskazywały na pionową płytę z jasnego granitu. I znów to uczucie, jakby jakaś obca siła nakazała mi podejść bliżej. Zrobiłam kilka kroków i odsłoniłam zarośniętą bluszczem tablicę. Moim oczom ukazały się gotyckie litery.

Zamarłam.

Słysząc głośne bicie własnego serca, przeczytałam drżącym głosem swoje nazwisko z dopiskiem:

Larysa Kubus

Umarła, by żyć.

Stałam w bezruchu, przyglądając się posągowi młodej kobiety. Dopiero teraz jego oblicze wydało mi się znajome. Ujrzałam w nim swoją twarz. Rytm mojego serca gwałtownie przyspieszył. Wyciągnęłam wilgotną od potu dłoń i dotknęłam kamiennego policzka.

Wieko grobowca drgnęło, rozległ się odgłos tarcia betonu o beton, płyta pomnika zaczęła powolnie przesuwać się na bok, odsłaniając czerń. Pochyliłam się nad nią i wtedy zerwał się silny wiatr. Odgłos zbiorowego krzyku wypełnił mury cmentarza. Gałęzie starodrzewu szalały, uderzając z siłą tarana o wilgotne pnie. Liście zerwały się z mokrej ziemi i zaczęły kręcić się dookoła, tworząc wiry. Strzeliste tuje gięły się wpół, tańcząc do pieśni porywistego wichru.

Patrzyłam z niedowierzaniem, jak kamienne postacie, pogrążone dotychczas w głębokim śnie, kierują na mnie szeroko otwarte oczy. Wszystkie, niczym anielski chór, rozchyliły usta, by powtórzyć cmentarny ryk uwięziony w łacińskich słowach:

O Fortuna! Velut Luna!

Statu variabilis![1]

Śpiewały, zagłuszając huk krwi w moich skroniach. Śpiewały z wyrytymi emocjami na kamiennych twarzach przejmującą, łacińską pieśń. Ich głosy stawały się coraz donośniejsze i potężniejsze. Nie mogłam tam dłużej zostać, musiałam uciec z tego koszmarnego miejsca. Odwróciłam się i wtedy ujrzałam funeralny kondukt, postacie ubrane w czerń z pochylonymi głowami zmierzały w moją stronę. Na jego czele szedł wysoki mężczyzna, który podtrzymywał drobną kobietę. Wydali mi się znajomi.

Cmentarna pieśń zaczęła przybierać na sile. Liczba śpiewających głosów zdawała się zwiększać kilkukrotnie, zupełnie jakby wszystkie cmentarne posągi zbudziły się z wiecznego snu, by zawtórować chórowi:

Sors salutis!

Et virtutis!

Mihi nunc contraria!

Est affectus!

Et defectus!

Semper in angaria![2]

Nie mogłam oderwać wzroku od żałobników, którzy zmierzali powolnie w moją stronę. Ich blade oblicza z każdą nutą cmentarnej pieśni stawały się coraz bardziej wyraziste, coraz bardziej znajome. Gdy wyłonili się zza ostatniego nagrobka, moje

serce stanęło, świat wokół zawirował, bębny orkiestry zadudniły w środku głowy.

Zapuchnięte od płaczu twarze, tak dobrze mi znane, wykrzywione w rozpaczy usta, tak ukochane.

– Mamo! – krzyknęłam, lecz chór mnie zagłuszył.

– Tato! – zawołałam ponownie, lecz świst wiatru stłumił brzmienie mojego głosu.

Cmentarny śpiew rósł w siłę. Drzewa gięły się jak zapałki, targane żałobną pieśnią.

Obie postacie stanęły po przeciwnej stronie mogiły, dokładnie naprzeciwko mnie, i pochyliły się nad otwartym grobem.

– Mamo! Tato! Ja żyję! – krzyknęłam.

Zapadła martwa cisza.

Chór zamilkł, a wraz z nim cmentarna orkiestra. Rodzicie nawet nie drgnęli, wpatrywali się jak zaklęci w środek grobowca. Spuściłam wzrok na odsuniętą płytę. W ciemnościach, na samym dnie, leżało ciało – młode, blade, ubrane w białą, atłasową sukienkę. Długie brązowe włosy opadały luźno na bordową poduszkę, trupią bladość policzków maskował delikatny makijaż, zamknięte powieki pokrywał złoty pyłek, a sine usta ożywiał różany błysk pomadki. W splecionych dłoniach, ułożonych na piersi, dostrzegłam bukiet konwalii. Świeżych, białych niczym śnieg. Były jedyną rzeczą, w której tętniło życie.

Reszta była martwa.

To było moje zastygłe ciało.

Poczułam ucisk w klatce piersiowej i czym prędzej oderwałam wzrok od grobowca. Nie potrafiłam tego racjonalnie wytłumaczyć. Zrobiło mi się niedobrze.

Przeniosłam wzrok na żałobników, którzy ustawili się ramię w ramię nad moim grobem.

– Co tu się dzieje? To jakiś głupi żart?

Powiodłam wzrokiem po ich posępnych twarzach. Nie było to liczne grono, lecz znaleźli się tu wszyscy, których dobrze znałam. Rodzice, wujkowie, kilka osób z dalszej rodziny, paru sąsiadów i nauczycieli, koleżanki ze szkoły, moja przyjaciółka Zuzka i…

Mój wzrok padł na młodego mężczyznę, który stał tuż obok niej. Nie znałam go.

Wyglądał na dwadzieścia kilka lat. Miał zimne spojrzenie, poważną twarz, a rysy szlachetne i stanowcze. Górował wzrostem nad Zuzką. Ubrany był w ciemnoszary płaszcz z pagonami. Postawiony kołnierz dodawał mu osobliwej tajemniczości.

Patrzyliśmy na siebie przez moment, do chwili, aż usłyszałam szloch mamy. Spojrzałam w jej stronę. Przejmujący płacz sprawił, że poczułam ucisk w gardle. Widok tego, jak cierpi napełnił mnie nieopisanym smutkiem. Płakała przejmująco, na jej twarzy malował się ogromny ból. Oddychała szybko, aż w pewnym momencie wzięła duży haust powietrza i wyrzuciła z siebie:

– Laro, córeczko! – Upadła na kolana i pochyliła się nad grobem.

Jej oczy tonęły w morzu łez, spływających po wykrzywionej w rozpaczy twarzy. Wpatrywała się bolesnym wzrokiem w moje martwe ciało. Nagle, niespodziewanie wyciągnęła ręce w dół, jakby chciała złapać mnie za rękę. Zachwiała się nad ciemną jamą, wychyliła się…

– Mamo, uważaj! – krzyknęłam gotowa przeskoczyć grób, by uchronić ją przed upadkiem, lecz wtedy nieznajomy mężczyzna pochwycił ją wpół.

Mama zignorowała jego obecność, zupełnie jakby nie istniał. Jej rozgorączkowany wzrok utkwiony był w moim martwym ciele, do którego wyrywały się matczyne ręce. Mężczyzna jednak mocno ją trzymał.

– Jeszcze nie nadszedł twój czas, Elżbieto. Jeszcze nie teraz – powiedział do niej, a wtedy mama jęknęła i osunęła się na ziemię. Łkała niemo w bezruchu, oddychając coraz lżej i spokojniej. Jej zbolała twarz przypominała teraz oblicze porcelanowej lalki. Leżała bezwładnie niczym balon, z którego spuszczono powietrze.

Nieznajomy odstąpił od niej i oparł się o grobową tablicę. Patrzył na mnie, jakby czekał, aż coś powiem.

– Kim jesteś? – zapytałam, patrząc w jego chłodne oczy.

– A jak ci się wydaje, kim mogę być?

– Nie wiem… – zawahałam się. Nie rozumiałam całej tej sytuacji. Nie potrafiłam w pełni logicznie myśleć, zupełnie jakby mój umysł spowijała mgła. – Mogę jedynie przypuszczać, że masz coś wspólnego ze śmiercią. Co tu się dzieje…?

– To nie przypuszczaj – przerwał. – Tak będzie najlepiej dla ciebie i dla mnie.

Nie mogłam tak łatwo odpuścić.

– Czy to jest mój pogrzeb?

Przyglądał mi się w milczeniu z wypisaną wyniosłością na twarzy. W jego spojrzeniu było coś niepokojącego, a zarazem tak hipnotyzującego, że nie mogłam oderwać od niego wzroku.

– Odpowiedz. Czy ja umarłam? Jesteś śmiercią?

Uśmiechnął się cynicznie.

– Dam ci dobrą radę, dziewczyno. Nie zgaduj więcej.

– Słucham?

– Nie masz pojęcia, kim jestem, i niech tak pozostanie – oznajmił i odwrócił się, jakby zamierzał odejść.

– Dlaczego? – zapytałam, lecz on zaczął się oddalać. – Poczekaj, odpowiedz mi! – krzyknęłam za nim i nieświadomie dałam krok w przód.

Straciłam grunt pod nogami.

Zdążyłam zagarnąć palcami ziemię i wziąć łyk powietrza. Zaczęłam spadać. Leciałam w dół, tak jakby grobowiec był bez dna. Serce waliło mi jak szalone. Przed oczami zjawiały się fragmenty mojego życia, radosne i przykre chwile; twarze ludzi, których kochałam – przyjaciół, koleżanek i… nieznajomego. Tego samego, którego widziałam przed chwilą nad swoim grobem. Jego obraz był teraz tak rzeczywisty, jakby mężczyzna spadał ze mną.

– Ratuj mnie. – Wyciągnęłam instynktownie rękę w jego stronę, a wtedy on zniknął.

Uderzyłam z hukiem o twardą powierzchnię. Łapczywie nabrałam powietrza i otworzyłam szeroko oczy. Krew pulsowała mi w skroniach. Oblizałam usta i rozejrzałam się dookoła. Widniało, a ja leżałam na drewnianej podłodze w swoim pokoju. Odetchnęłam z ulgą. Usiadłam nie do końca pewna, czy jestem w jednym kawałku. Całe szczęście, upadek z łóżka nie wywołał obrażeń.

– Co za koszmar. – Przesunęłam dłońmi po twarzy, zastanawiając się jednocześnie, czy sen w dzień osiemnastych urodzin ma jakieś znaczenie.

Podeszłam na czworaka do szafki nocnej, zerkając ukradkiem na zegarek. Miałam jeszcze pół godziny, by rozpocząć szykowanie się do szkoły. Otworzyłam szufladę i wyjęłam z niej sennik po babci. Stary, w introligatorskiej oprawie, z pożółkłymi kartkami.

Oparłam się o ramę łóżka i przekartkowałam strony, czytając hasła na literę *Ś*.

Ślad; ślina; śmieci; śmierć; śmierć bliskiego… Własna śmierć.

Powiodłam palcem po linijce tekstu i przeczytałam:

Własna śmierć: widzieć siebie jako nieboszczkę – wróży początek nowego życia albo wewnętrzną przemianę.

Stłumione odgłosy spokojnej muzyki odbijały się od ścian opustoszałych korytarzy szkolnych. Skręciłyśmy w prawo i leniwie ruszyłyśmy w stronę dobiegających nas dźwięków. Brzęczące jak natrętny owad jarzeniówki rzucały blade światło na mleczną twarz mojej przyjaciółki.

– Możesz mi przypomnieć, po jakiego czorta tam idziemy? – spytała Zuzka, łypiąc piwnymi oczami pomalowanymi w stylu emo.

– Żeby sobie popatrzeć na ludzi – odparłam i związałam włosy w kucyk.

– Ach tak, zapomniałam – bąknęła. – Coś mi się zdaje, że twój pierwszy krok w dorosłość okaże się samobójczym skokiem w przepaść. – Wykrzywiła usta w charakterystycznym dla siebie drwiącym śmieszku.

– To znaczy?

– Po prostu odnoszę wrażenie, że dotarło do ciebie, że skoro ukończyłaś osiemnaście lat… – zawahała się przez chwilę, marszcząc ciemne brwi. – A zresztą, ty i tak wiesz swoje. – Poprawiła opaskę na kruczoczarnych włosach.

– O co ci chodzi?

– O to, żebyśmy darowały sobie tę nędzną dyskę, Lara – odparła.

– Wytrzymasz.

– Wytrzymam? Jedyne, co mnie trzyma w tygodniu w tej budzie, to grawitacja, a ty żądasz ode mnie, żebym przychodziła tu jeszcze w piątek wieczorem i to na jakąś zabawę dla jełopów.

– Jesteś uprzedzona. Tylko nie mam pojęcia czemu?

– Temu, że cię znam i chcę oszczędzić ci przykrości.

– Niby jakich?

– Widoku mizdrzących się par – stwierdziła dosadnie i zatrzymała się, patrząc na mnie z politowaniem. – Boże, Lara. Skąd u ciebie ten masochizm? Na co ty liczysz, dziewczyno? Pomyślałaś dzisiaj życzenie, zdmuchnęłaś świeczki i co? Masz

nadzieję, że niespodziewanie na szkolnych baletach zjawi się książę z bajki, zauważy cię w kącie i wyzna ci miłość aż po grób? Takie rzeczy tylko w książkach.

– Też coś – prychnęłam. – Jeśli uważasz, że tak myślę, to się grubo mylisz.

– Serio? – spytała, przechylając głowę. – Twoja piękna buźka i błyszczące, zielone oczka mówią mi co innego.

– Nieprawda! Ja tylko… – Wzięłam głęboki wdech i zerknęłam na nią jak na zło wcielone. Moja przyjaciółka nie miała w sobie ani krzty romantyzmu. – Czemu jesteś taka podła?

– Bo jestem twoją przyjaciółką.

– Ach, no tak. To rzeczywiście wiele tłumaczy. – Ruszyłam dalej przed siebie.

– Lara… – Przytrzymała mnie za nadgarstek. – Po prostu nie pojmuję, skąd w twoim bystrym umyśle zrodziły się te brednie o przeznaczeniu. Już nie mogę patrzeć, jak się męczysz, czekając na… – Zamilkła na chwilę, jakby szukała odpowiednich słów. – No właśnie. Ty nawet nie wiesz, na kogo czekasz. Może on w ogóle nie istnieje?

– Przyganiał kocioł garnkowi. – Podążyłam dalej korytarzem szkolnym do sali gimnastycznej.

Zuzka dotrzymywała mi kroku. Szła przez dłuższą chwilę w milczeniu, jakby zastanawiała się nad tym, co jej odpowiedziałam. W końcu przygryzła wargę, w której zasrebrzył się drobny kolczyk, i odparła:

– Ja Patryka przynajmniej znam – oznajmiła. – Wiem dokładnie, kim jest, co lubi, jakie ma wady i zalety. A ty? Zamiast dorwać chłopaka z krwi i kości, wolisz czytać romanse, malować cuda-wianki i bujać w obłokach o boskim dandysie. W realu taki facet, o jakim marzysz, po prostu nie istnieje.

Zacisnęłam zęby, rzucając jej gniewne spojrzenie. Dalsza rozmowa na ten temat była pozbawiona sensu. Ja miałam swoje racje, ona swoje. I chociaż łączyła nas podobna wrażliwość, to różnica pomiędzy nami polegała na tym, że Zuzka z uporem kryła się ze swoimi uczuciami i romantyzmem, a ja nie. Dlatego nie zamierzałam się z nią kłócić. Tym bardziej że dzisiaj był wyjątkowy wieczór i nie chciałam go psuć. Dzisiaj kończyłam osiemnaście lat. Tak długo czekałam na ten dzień, a on nie różnił się niczym od pozostałych. Wszystko odbyło się tak, jak co roku w moje urodziny. Rodzice, Zuzka, życzenia, prezenty i tort ze świeczkami. Tym razem jednak

postanowiłam zachować się dojrzalej i zmienić wypowiadane w myślach życzenie. Odkąd skończyłam trzynaście lat, rok w rok brzmiało ono tak samo: *Chcę mieć chłopaka*. Każde zdmuchnięcie świeczek wiązało się właśnie z tym zdaniem. I nic. Wciąż byłam sama. Lecz w dzień swoich osiemnastych urodzin postanowiłam to zmienić. Zdecydowałam się podejść do sprawy poważnie. Jak dorosła osoba. Jeśli w ogóle można uznać wypowiadanie w kółko tego samego życzenia za coś dojrzałego, ale taka już ze mnie niepoprawna romantyczka. Przez ostatni miesiąc przejrzałam setki wierszy, sentencji, aforyzmów i cytatów. Aż w końcu znalazłam. Krótkie, proste zdanie. Zwrot, który wzbudził we mnie nadzieję na miłość i wywołał na ciele przyjemny dreszcz. Dzisiaj wieczorem, stojąc przed tortem bezowym, zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech i zdmuchując kolorowe świeczki, wypowiedziałam w myślach swe życzenie: *Dwa serca, jedno bicie, niech mnie odnajdzie miłość na całe życie*.

– Dżizas… – Wymowny jęk Zuzki przerwał moje rozmyślania. – Larysa, czy ty w ogóle słyszysz, co oni grają? Przecież te smęty nawet trupa przyprawiłyby o mdłości.

Byłyśmy już na tyle blisko, by rozpoznać brzmienie melodyjnych tonów. Poczułam przyjemny ucisk w żołądku.

– Ja akurat lubię ten kawałek. To klasyk – oświadczyłam.

– Klasyk? – zakpiła Zuzka. – Klasyk to Nirvana, Pearl Jam. To, co słyszę, przypomina trel dzierlatek z późnych lat pięćdziesiątych. – Nadstawiła ucha. – Nawet trudno nazwać to trelem. *I love, how you love me*? Serio, co to w ogóle za tandetny tekst? – Wykrzywiła usta z obrzydzeniem.

– To jest piosenka o miłości, Zuza. – Teraz już na poważnie zaczęła mnie irytować. Jak mogła być tak zamknięta na inne brzmienia? Przecież sama była muzykiem, piosenkarką. Czyżby aż tak bardzo wstydziła się swojej wrażliwości, że nie przyznawała się do niej nawet przede mną? – To muzyka dla wrażliwych ludzi, Zuz, a ty przecież jesteś wrażliwa. Ma świetne słowa, to piękny tekst.

Zuzka w odpowiedzi wsadziła palec wskazujący do buzi, udając odruch wymiotny.

– No tak – skwitowałam. – Tobie lepiej brzmi: *Rape me, my friend*

wykrzyczane przez blond ćpuna?

– Nie waż się mówić tak o Cobainie – zawrzała. – Nawet nie wiesz, jakie miał ciężkie życie. Jego rodzina się rozpadła, kiedy skończył zaledwie osiem lat. Osiem, rozumiesz? Wiesz, co to znaczy dla takiego dziecka?

Dojrzałam żal w jej ciemnych oczach.

– Nie wiem, co to znaczy – przyznałam. – Ale potrafię zrozumieć i współczuć. – Przesunęłam dłonią po jej ramieniu.

Rodzice Zuzy rozwiedli się, gdy była jeszcze mała. Chyba właśnie dlatego tak kochała muzyków ze złymi doświadczeniami. Upajała się ich twórczością. Znajdowała w niej samą siebie – zagubioną, niekochaną dziewczynkę, która skrywała swe uczucia pod maską zadziory i twardzielki, jaką na co dzień grała.

Doszłyśmy do sali, stanęłyśmy w otwartych na oścież drzwiach i gdy tylko naszym oczom ukazało się szkolne disco, spojrzałyśmy na siebie wymownie. Czasami się nie zgadzałyśmy, jak to ludzie, ale bywały też takie chwile jak ta – jedno zerknięcie i rozumiałyśmy się bez słów. Wystarczył moment, by znowu poczuć tę więź, nadawanie na tych samych falach, brak potrzeby wyjaśniania czegokolwiek. To dzięki temu byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Wolna piosenka płynęła z dużych głośników wiszących wysoko pod sufitem. Subtelne dźwięki muzyki kołysały przytulonych do siebie nastolatków. Zwykle pootwierane na oścież okna zasłaniał teraz czarny materiał imitujący szantung. Choć sala była przestronna, czułam, jak zewsząd osacza mnie lepka woń potu i perfum wywołujących mdłości. Niewielkie lampki mignęły zielonym światłem i rozjaśniły na krótką chwilę półmrok.

– Tam jest w miarę luźno. – Wskazałam Zuzce lukę pod ścianą.

– Może być – odparła i ruszyła impertynencko przez środek sali.

Usiadłyśmy obok siebie na podłodze i zaczęłyśmy bacznie obserwować parkiet. Dziewczyny wpatrywały się maślanymi oczami w swoich partnerów. Zdarzało się czasem, że ręka amanta zsuwała się nagle na pośladki, lecz wtedy, z wyraźnym oburzeniem, dłonie partnera były przenoszone na wysokość pasa. Niektórych jednak nowa pozycja taneczna zupełnie nie zrażała. Wzbudzała wręcz zadowolenie okazywane figlarnym uśmiechem pojawiającym się na zarumienionej twarzy.

Po kilku wolnych kawałkach obraz tańczących ludzi przestał mnie jednak bawić.

Doszło nawet do tego, że ich widok stawał się nie do zniesienia, a mój urodzinowy nastrój diabli wzięli. Obraz znajomej całującej się pary spowodował ucisk w gardle. Ogarnął mnie iście wisielczy nastrój, po głowie zaczęły krążyć pytania retoryczne: *Czemu nie tańczę teraz na parkiecie ze swoim chłopakiem? Czemu moje kontakty z chłopakami ograniczają się do wymiany zeszytu od matmy albo spisania pracy domowej na kolanie? Dlaczego, do licha, nie mogę znaleźć sobie faceta?*

Kilka lat temu zawarłam przyjaźń z zamiejscowym chłopakiem. Spędzał on prawie każde wakacje u rodziny, która mieszkała niedaleko mnie. Byliśmy nierozłączni. Codziennie rano z zapartym tchem czekałam, aż w końcu podjedzie na rowerze i ruszymy przed siebie na kolejną wycieczkę w nieznane. To on mi powiedział, że nie można uciekać przed dzikiem, tylko należy paść trupem na ziemię, udając martwą zwierzynę; to z nim po raz pierwszy ujrzałam zaćmienie słońca, doświadczając przy tym dotyku miękkich warg na swoich ustach; to on sprawiał, że cały rok szkolny żyłam wspomnieniami, nie mogąc się doczekać nadejścia kolejnych wakacji.

Lecz pewnego lata wszystko się zmieniło. Jego rodzina sprzedała dom i się wyprowadziła. W miejscu garażu, który był miejscem naszych spotkań, wykopano basen, a mój Mateusz już nigdy się nie pojawił. Te wakacje wspominałam jako czarną plamę. Od tamtego czasu zjawiała się nieraz marna namiastka miłości – chłodne pocałunki, nieudolne pieszczoty i platoniczne wyznania. Żaden związek nie był jednak prawdziwy ani trwały. Czułam, że jestem rozpaczliwie spragniona wzniosłych uczuć – przyśpieszonego bicia serca, ucisku w żołądku, zaślepienia i oddania, czegoś więcej i na dłużej, tak na poważnie. Ale czy takie uczucia zdarzały się naprawdę? A może miały do nich prawo tylko fikcyjne postacie w książkach?

Kolejny wolny utwór dobiegł końca i ku naszemu zadowoleniu ciężkie basy huknęły z głośników. Zlepione pary niechętnie wyplątały się z tanecznych uścisków; dziewczęta zmrużyły oczy drażnione światłem stroboskopu. Ci, którzy do tej pory podpierali ściany, westchnęli z ulgą i niczym żywe trupy – rozprostowując skostniałe kolana i zdrętwiałe stopy – ruszyli zgodnie na parkiet.

Didżej dmuchnął do mikrofonu, puknął dwa razy i odezwał się niskim głosem kiepskiego radiowca:

– Kochani! To pożegnalny kawałek tego wieczoru. Ostatnia szansa, by poderwać partnera na studniówkę. – Jego głos zabrzmiał jak róg wzywający do

polowania.

– Uuu!!! – zawyły podekscytowane głosy. Wszyscy zaczęli rozglądać się po sali w poszukiwaniu zdobyczy.

Spojrzałyśmy po sobie, wstałyśmy z podłogi i podążyłyśmy za resztą na środek sali. Basy dudniły w naszych wnętrznościach. Wysokie tony muskały przyjemnie każdy nerw. Moje ciało rwało się do tańca. Potakiwałam rytmicznie głową, unosiłam ramiona ku górze i zaciskając dłonie w pięści, uderzałam nimi w powietrze. Zerknęłam na gibających się trzecioklasistów. Ich wirujące ciała wyglądały ponętnie, a ruchy przypominały taniec godowy strusi. Miałam wrażenie, że nie porywa ich wcale muzyka, tylko zwierzęcy instynkt rozrodczy. Przeniosłam wzrok w głąb sali na dziewczyny z klasy. Byłyśmy ubrane zupełnie w innym stylu. Jak co dzień, miałam na sobie zwykłe dżinsy, botki i luźną bluzkę. Zero błyskotek, make-upu czy innych ozdób. Ciemnobrązowe, długie włosy ściągnęłam w kucyk niedbale związany gumką. A one… Trzeba było przyznać, że poświęciły sporo czasu na przygotowania. Modne i wyzywające ubrania dodawały im animuszu. Dominowały krótkie spódniczki ledwo zakrywające krągłą część ciała, długie kozaki nad kolano, dekolty uchylające rąbka tajemnicy, okrągłe kolczyki o średnicy dziesięciu centymetrów, żelowe bransoletki wyrażające śmiałe zachcianki, makijaż podkreślający oczy oraz wyprostowane, pocieniowane włosy. Poczułam lekką zazdrość, że się tak nie wystroiłam, lecz po chwili uzmysłowiłam sobie, że mnie było znacznie wygodniej niż im.

Na szczęście nie musiałam katować się dłużej przemyśleniami na ten temat, bo ostatnia piosenka tego wieczoru właśnie dobiegła końca.

Rozbawiony tłum wylał się przed budynek szkoły. Na zewnątrz panował chłód, chociaż jak na listopad pogoda była nie najgorsza. Wzięłam głęboki wdech i poczułam w powietrzu zapach jesieni – palonego w kominkach drewna i zgrabionych świeżo liści. Przyroda dawała znać, że powoli przygotowuje się do zimowego wypoczynku. Już prawie zapomniałam, jak brzmią cykające świerszcze czy sowy koncertujące letnimi wieczorami. Spojrzałam na grupę roześmianych znajomych, którzy pomimo pięciu stopni na plusie stali rozchełstani, z kurtkami w dłoniach i z wypiekami na twarzach. Dziewczyny chichotały, a chłopcy prześcigali się w opowiadaniu dowcipów.

– *À propos*, niedawno przeczytałem fajny tekst – powiedział z ekscytacją Adam, kontynuując rozpoczęty przed chwilą temat.

– No to dajesz – dopingowali koledzy.

– Jeden kumpel pyta drugiego: „Ty, stary, powtarzałeś coś do matury?". Na to drugi patrzy na niego dumnie i odpowiada: „No pewnie. Wciąż sobie powtarzam ten sam materiał: będzie dobrze, będzie dobrze, będzie dobrze…".

Wszyscy ryknęli śmiechem, poklepując Adama po kościstych plecach.

– Ja nie rozumiem – jęknęła z nieporadną miną Edyta.

Chłopcy ponownie zarechotali. Jeden z nich objął dziewczynę ramieniem.

– No cóż… Blondynki tak już mają.

Znów rozległ się gromki śmiech, który odbił się echem od szkolnej ściany.

– Mój Boże, kim jesteście i z jakiej planety pochodzicie? – westchnęłam cicho do Zuzki, na co ona tylko parsknęła, zerkając w ich stronę.

Natalia, która grała pierwsze skrzypce wśród dziewczęcego grona, rzuciła do zgromadzonych osób:

– Lepiej już chodźmy. Zimno mi.

– Larysa, idziesz z nami? – odezwał się nagle chłopięcy głos z grupki.

Spojrzałam zaskoczona na niskiego szatyna.

– Daj spokój, Paweł – odparła Natalia. – Dziewczyny pewnie mają już inne plany na wieczór – dodała z przekąsem, przechwytując nasze spojrzenia.

Zerknęłam na Zuzkę, która zacisnęła mocno szczęki. Odniosłam wrażenie, że zaraz wydrapie Natalii jej śliczne, niebieskie patrzałki.

– Tak, masz rację – odparła z uniesioną głową przyjaciółka. – Akurat dzisiaj umówiłam się na próbę z Patrykiem.

Natalia rzuciła jej gniewne spojrzenie.

– Larysa, a ty? Idziesz z nami? – Paweł spojrzał na mnie z nadzieją w oczach.

Lubiłam go za te jego szczere oczy psiaka, chociaż znajdowały się zaledwie na wysokości mojej brody. W ogóle cała poczciwa twarz Pawła przypominała mi pysk bigla, a to nie wprawiało mnie w romantyczny nastrój.

– Dzięki, ale jestem zmęczona. Będę się zbierać do domu.

– Ach – westchnął smętnie i zaczął wiercić butem w ziemi.

– Tym lepiej. Chodźmy! – ponagliła Natalia, po czym odrzuciła do tyłu długie, jasne włosy.

Edyta jej zawtórowała. Uśmiechnęły się do siebie znacząco i odwróciły do nas tyłem.

– Na razie, Lara! – zawołał Paweł, odchodząc razem z nimi.

– Cześć – odpowiedziałam.

Gdy zniknęli za bramą, przeniosłam wzrok na Zuzkę.

– Zamierzacie jeszcze dzisiaj grać? – spytałam, kiedy zostałyśmy same.

– Nie wiem, ale zaraz się przekonam – powiedziała podekscytowana, wyjmując komórkę z torebki. – Ciekawe, czy Patryk już przyjechał.

– A wracasz na piechotę czy masz podwózkę? – spytałam.

– Pieszo, a ty? – odparła, przykładając telefon do ucha.

– Ja też. Szkoda, że nie mieszkasz po drodze.

– Nie pękaj, masz bliżej niż ja.

– Ale przez las – dodałam, lecz przyjaciółka już mnie nie słyszała.

– Halo, cześć, Patryk, mówi Zuzka… – Oczy jej rozbłysły, a na twarzy pojawił się uśmiech. – Tak? Okej. Poczekaj chwilę. – Zakryła dłonią słuchawkę. – Za pół godziny będzie w domu – pisnęła z ożywieniem. – Muszę lecieć. Jutro się zdzwonimy. – Cmoknęła mnie w policzek i odeszła pośpiesznie w przeciwnym kierunku, trzymając telefon przy uchu. – Patryk? Tak. Już jestem…

Ilekroć Zuza wymawiała imię basisty, słyszałam w jej głosie nutę ekscytacji, co było znaczące, bo Zuzka rzadko kiedy okazywała jakieś emocje. Od trzech lat, wspólnie z dwoma innymi chłopakami, tworzyli rockową kapelę Host. Patryk zwerbował Zuzkę do zespołu po tym, jak usłyszał ją podczas apelu z okazji Święta Niepodległości, gdy z przejęciem śpiewała pieśń patriotyczną. Żeby upewnić się, czy Zuza ma talent, Patryk wykonał z nią sielski kawałek *Road Trippin* Red Hot Chili Peppers. Ona śpiewała o promieniach słońca iskrzących się w tafli wody, a on przygrywał jej na gitarze, wspierając głosem. Dla Zuzki nie miało znaczenia, że piosenka opowiada o przyjacielskiej wyprawie nad ocean, liczyło się to, że przez trzy i pół minuty ona i on, grając razem, stanowili jedność, tworzyli parę.

I tak oto wpadła jak śliwka w kompot. A że cechowała ją niezwykła ostrożność,

nie wyznała Patrykowi, że jest w nim zakochana. To, czy on odwzajemniał jej miłość, pozostawało również wielką niewiadomą. Był introwertykiem – wyrażał swe uczucia jedynie poprzez muzykę i drobne gesty. Rzadko mówił o swoich potrzebach, ale zawsze dbał o to, by Zuzce niczego nie brakowało. Odnosił się do niej czule, lecz nigdy nie przekroczył granicy przyjaźni. Był powściągliwy i oszczędny w słowach. Nadzwyczaj często wyjeżdżał – a to do ojca w Niemczech, a to do ciotki we Francji – ciągle musiał kogoś odwiedzać. Na domiar złego po zakończeniu ogólniaka postanowił rozpocząć studia w stolicy. To wszystko było nieco zagadkowe. Niektórzy mawiali, że chłopak instynktownie ucieka z domu rodzinnego po traumatycznym wydarzeniu w wigilię Bożego Narodzenia.

Wtedy to, podczas zabawy na zamarzniętym stawie, pod jego młodszym bratem załamał się lód. Malec niemal się utopił. Tylko dzięki Patrykowi, który rzucił mu się na ratunek, chłopiec ocalał. Po tym wydarzeniu ukochany Zuzy stał się jeszcze bardziej skryty, a żeby tego było mało, po zdaniu matury od razu postanowił opuścić Stary Las. Ogromna rozpacz i perspektywa spotkań tylko w weekendy nie skłoniła jednak Zuzki do poproszenia go, by został. W ten oto sposób przez trzy lata wspólnego grania nie wyjaśnili sobie, czym jest ich znajomość i dokąd zmierza. Od trzech lat cierpliwie czekała, aż to on zrobi pierwszy krok. Ponad wszystko bała się, że nic do niej nie czuje. Jej zdaniem wyznanie mu prawdy groziło ewentualnym upokorzeniem i końcem przyjaźni. Zuza wolała więc nie robić nic niż zepsuć dobre relacje między nimi. Tym bardziej że Patryk ostatnio był nieswój, jakby nieobecny myślami, podłamany.

Bardzo chciałam, by wreszcie byli razem. Pasowali do siebie. Postanowiłam, że jeśli do końca szkoły sytuacja się nie zmieni, to zainterweniuję. Może to coś pomoże.

Ruszyłam w stronę domu. Im bliżej byłam leśnej drogi, tym bardziej moje myśli odpływały w innym kierunku. Nie wiedzieć czemu zaczęły nawiedzać mnie obrazy ze snu. Niepokojące wizje snuły mi się po głowie, ożywiając koszmar minionej nocy: ja, woskowo blada, w atłasowej sukience, złożona na dnie ciemnego grobowca…

Wzdrygnęłam się, chcąc wyrzucić z głowy te straszliwe myśli. Od dziecka miałam wybujałą wyobraźnię, którą dodatkowo podsycałam stosami pochłanianych książek. Teraz moja wyobraźnia wspięła się na wyżyny swoich możliwości. Serce zaczęło mi walić ogłuszająco.

Spokojnie. Jestem tu i teraz…

Tamten zły sen przeminął.

Widok drogi wiodącej przez ciemny las, która jawiła się tuż przede mną, sprawił, że zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Nie dość, że bór leżał nieopodal feralnego stawu, to przywodził mi na myśl ponury starodrzew kołyszący się w rytm cmentarnej pieśni z mojego snu.

Mogłam zadzwonić po mamę, tylko że nie miałam serca wyrywać jej z domu po całym dniu pracy. Albo po tatę. O tej porze biegał. Może zrobiłby kółeczko w moim kierunku… Piekło i szatani! Przecież nie jestem dzieckiem! Setki razy pokonywałam tę drogę. Znałam niemal każde drzewo mijane po drodze. Bawiłam się w tym lesie jako dziecko.

Wciągnęłam czapkę na głowę i ruszyłam przed siebie. Żeby dodać sobie więcej odwagi, sięgnęłam pamięcią do pięknych, słonecznych dni. Oczyma wyobraźni ujrzałam przejrzysty las, w którym smukłe sosny, cętkowane brzozy i dorodne dęby łagodnie kołysały się na wietrze, rzucając wielokształtne cienie na piaszczystą drogę. Stuletnie drzewa porastały łagodne pagórki pokryte miękkim mchem, który jesienią rodził malutkie kurki i podgrzybki. Gdzieniegdzie majaczyły poletka czarnej jagody, borówki i liliowego wrzosu, w których kicały zające.

Podszyt zdobiły krzaki jarzębiny, uginające się pod soczystymi kiśćmi szkarłatnych korali. Były one przysmakiem dla słowików i drozdów odwdzięczających się za pokarm magicznym śpiewem. Późną wiosną natomiast las napełniał się zapachem kwitnącej czeremchy, której słodka woń urzekała intensywnością i pobudzała uśpione zmysły po mroźnej zimie. Zwisające gałęzie jasnozielonego krzewu uginały się pod długimi gronami białych jak puch płatków, które po przekwitnieniu zmieniały się w kuliste, czarno-brązowe owoce.

Uspokojona przyjemnymi wspomnieniami zeszłam odważnie na piaszczystą drogę wkraczającą w głąb lasu. Czarne jak smoła drzewa zawodziły na wietrze smętną, jesienną pieśń. Skrzypiały, kiwając się na boki. Miałam wrażenie, jakby celowo wyciągały długie gałęzie, tylko po to, by ściągnąć mi czapkę z głowy, wplątać swe macki w moje włosy i wchłonąć mnie w swój pień.

Przyśpieszyłam kroku.

Nad moją głową po niebie sunęły chmury. Każdy, nawet nieznaczny, podmuch wiatru sprawiał, że przesłaniały tajemną twarz księżyca, ściągając na leśną drogę egipskie ciemności.

Ostatnie kilkanaście metrów pokonałam szybkim marszem. Gdy znalazłam się już na skraju lasu, dobiegło mnie znajome szczekanie psa. To była Gala – labrador mojej sąsiadki Nowakowej – popiskiwała niespokojnie. Zazwyczaj nie wykazywała większego entuzjazmu, należała raczej do spokojnych psów. Swoją radość okazywała jedynie energicznym merdaniem ogonem, które wprawiało jej tłuste ciałko w ruch.

By dostać się do ulicy, przy której mieszkałam, musiałam już tylko pokonać piaszczyste zejście. Spojrzałam przed siebie i moim oczom ukazał się jesienny pejzaż Starego Lasu. Oświetlone domostwa, nad którymi pochylały się sosny i łysiejące brzozy, przesłaniała cienka warstwa mgły zmieszanej z dymem ulatniającym się z kominów. Droga i chodnik jaśniały pomarańczowym blaskiem latarni.

Pragnęłam nasycić się tym widokiem, zapamiętać go i utrwalić ołówkiem po przyjściu do domu.

Szczekanie Gali ponownie dobiegło do moich uszu. Oderwałam oczy od nocnego krajobrazu i skupiłam wzrok na pulchnym labradorze i jego właścicielce. Na wprost nich stał zaparkowany przy krawężniku samochód. Od razu rozpoznałam jego markę dzięki programowi oglądanemu przez tatę w sobotnie popołudnia. Taki wóz musiał zapadać głęboko w pamięć. Objęłam wzrokiem oświetloną blaskiem latarni czarną alfę romeo 8C competizione, której opływowe kształty, sportowa linia i elegancja były tak niezwykłe, że wydawało się, iż auto posiada duszę. W programie wspominali, że tylko nieliczni mogą pozwolić sobie na ten model. Wyprodukowano zaledwie pięćset sztuk, a cena za taki unikat wynosiła ponad sto tysięcy funtów. Jeśli nie to zniechęciło potencjalnego klienta do zakupu, z pewnością spowodował to czas oczekiwania na samochód, który wynosił dwa lata.

Co, do licha, takie auto robi w kilkutysięcznym miasteczku? Może to któryś z synów Nowakowej się wzbogacił i wrócił na stare śmiecie się pochwalić?

Silnik alfy burczał, a reflektory oświetlały Nowakową i Galę, które dreptały powolnie chodnikiem.

Nagle turkot ucichł i drzwi od strony kierowcy lekko się uchyliły. Zaintrygowana wytężyłam wzrok w oczekiwaniu na to, kto wyłoni się z wnętrza samochodu. Dałam kilka kroków na przód, by lepiej się przyjrzeć, i wtedy zobaczyłam męską postać wysiadającą ze sportowego auta.

Zamarłam.

Przecież to niemożliwe. To nie może być mężczyzna z mojego koszmaru…

Oparł się o maskę samochodu, założył ręce na piersi i wyciągnął przed siebie długie nogi. Znajdował się prawie na wprost Nowakowej, która przystanęła, błądząc wokół niewidzącym wzrokiem. Wyglądała, jakby go nie zauważała. Jej twarz była dziwnie wykrzywiona, sylwetka lekko pochylona. Przez myśl przebiegło mi, że być może zasapała się przez zbyt intensywny krok i odpoczywa, lecz wtedy chwyciła się za pierś i padła na kolana. Jej pomarszczona skóra zsiniała, oczy nabrzmiały.

Zalała mnie fala gorąca. Adrenalina pobudziła bicie serca i podniosła mi ciśnienie krwi.

Ruszyłam sąsiadce na ratunek. Pełna napięcia zbiegałam z górki, obserwując sytuację.

Nie mogłam uwierzyć, że Nieznajomy nawet nie drgnął. Pozostawał niezmiennie w tej samej pozycji, z tym samym, niewzruszonym wyrazem twarzy, podczas gdy Nowakowa leżała na chodniku.

– Do nogi! – zawołał Galę i pstryknął na nią palcami. Suczka podeszła, merdając ogonem i polizała jego dłoń. – Zaraz będzie po wszystkim – powiedział i pogłaskał ją po głowie.

Nowakowa jęknęła.

Mężczyzna popatrzył tylko na nią, odwrócił się i otworzył drzwi auta.

A ten, dokąd się wybiera? Zamierza ją tak zostawić? A niech go diabli, co za drań!

– Trzeba wezwać pomoc! – krzyknęłam, wbiegając na oświetloną uliczkę.

Nieznajomy zastygł. Minęłam go i podbiegłam do Nowakowej. Oddychała słabo, ciężko, ale żyła. Wyciągnęłam z torebki telefon i wybrałam drżącą dłonią numer 112. Wszystko działo się szybko i sprawnie, dyspozytornia przyjęła moje wezwanie. Podałam adres, opisałam stan Nowakowej.

Karetka była w drodze.

Klęknęłam obok sąsiadki. Jej czoło było zimne jak lód, mimo to perliły się na nim krople potu. Gala zaczęła lizać ją po twarzy, cicho popiskując.

Rzuciłam wściekłe spojrzenie mężczyźnie, który wpatrywał się we mnie ze zmarszczonym czołem.

– Co z ciebie za człowiek? Dlaczego nie wezwałeś od razu pogotowia? Przecież jej coś jest. Pewnie ma zawał lub zator – odezwałam się.

Spod ciemnego wachlarza długich rzęs patrzyły na mnie chłodne stalowoszare oczy migdałowego kształtu.

Mężczyzna zacisnął szczęki.

– Co to za gierki? Przecież to koniec, już jest wasza – powiedział opryskliwym tonem.

– Co? O co ci chodzi?

– Już jeden Ibisowi nie wystarcza? – zapytał wrogim tonem. – Teraz będziecie działać we dwójkę?

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś – odpowiedziałam i zaczęło do mnie docierać, że znalazłam się w niebezpiecznej sytuacji. Nie znam faceta, nie sprawia przyjaznego wrażenia, wokół ani żywej duszy… – Pogotowie zaraz tu będzie. Możesz sobie jechać. Poradzimy sobie.

– Całkiem nieźle ci idzie, ale chyba zapominasz, kim jestem – oznajmił szorstko. – Nie przeczę. Jesteś całkiem kusząca. – Zmierzył mnie od stóp do głów. – Ale twój czarci urok na mnie nie działa. – Wykrzywił z obrzydzeniem usta, po czym skierował wzrok na pustą przestrzeń obok mnie. – To twoja znajoma, Marou? Co za szopkę odgrywacie, po co to pogotowie? – zapytał ostrym głosem, mrużąc oczy.

Nie miałam bladego pojęcia, o co mu chodzi. Co więcej, zaczynałam się go obawiać. Nie brzmiał całkiem normalnie. Starałam się skupić i racjonalnie wyjaśnić to zamieszanie, lecz nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

Mężczyzna patrzył wciąż tak, jakby słuchał uważnie kogoś znajdującego się obok mnie. Nagle przez jego twarz przemknął cień zwątpienia.

– To niemożliwe… – wycedził przez zęby i spojrzał na mnie pytająco.

Przyglądał mi się bacznie. Patrzył na mnie wzrokiem kuguara, po czym znów przeniósł spojrzenie obok mnie. W jego oczach błysnął gniew.

– Łżesz, ty diabelski synu! Ona jest jedną z was. Co to za podstęp? – zapytał i zamilkł, jakby znów wsłuchiwał się w czyjś bezdźwięczny głos.

Jego twarz stopniowo przybierała wyraz dezorientacji.

– Nie wierzę. – Zanurzył dłoń w zmierzwionych włosach. – Marou, jeśli kłamiesz, to klnę się na Boga, że cię wyzwę i zgładzę. Rozumiesz?

Wpatrywał się w powietrze, po czym przeniósł na mnie wzrok, niedowierzając.

– Obawiam się, że zaszło małe nieporozumienie. Najmocniej przepraszam –

odparł i skłonił się szarmancko.

Rozchyliłam usta, lecz nie byłam w stanie nic powiedzieć. Klęczałam przy Nowakowej z rozdziawioną buzią.

– Myślę, że powinniśmy puścić to zajście w niepamięć – ciągnął dalej. – Pozwolisz, że już cię opuszczę. – Nieco zmieszany otworzył szerzej drzwi auta.

Co? Zaraz, zaraz. Puścić to zajście w niepamięć? O nie. Na pewno tak tego nie zostawię.

– Chwileczkę – zawołałam. – Mam parę pytań, zanim przyjedzie karetka.

Mężczyzna stęknął wymownie i przewrócił oczami, jakby chciał oznajmić: „A miej sobie nawet i sto".

Lecz tego nie zrobił. Oparł się o samochód i zapytał:

– Jesteś pewna, że chcesz mi je zadać?

Biorąc pod uwagę jego ton i niezbyt uszczęśliwioną minę, powinnam była powiedzieć „nie", lecz wrodzona dociekliwość wzięła górę.

– Jak najbardziej – przyznałam.

Mężczyzna uniósł kąciki ust. Widok jego kpiącego uśmieszku zamiast mnie zniechęcić, sprawił, że poczułam dziwny ucisk w żołądku.

– Znasz powiedzenie, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła? – zapytał, unosząc brew.

– Znam, ale nie wierzę w zabobony – skłamałam bez zająknięcia. Zdarzało mi się wierzyć w różne niewyjaśnione do końca rzeczy, miałam to po babci.

– Doskonale, wobec tego nie będę wystawiał twojej wiary na próbę – powiedział. – Wybacz, ale się śpieszę.

– Wytłumacz chociaż, dlaczego…

– Nie mam zamiaru ci niczego tłumaczyć – przerwał mi stanowczo. – Żegnam.

Nim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, Nieznajomy wsiadł już do competizione, wrzucił wsteczny bieg i dodając gazu, z ogromną zwinnością zaczął cofać auto. Alfa rozpędziła się, jechała coraz szybciej do tyłu, aż nagle odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i podążyła dalej w przód. Zapatrzona w odjeżdżający samochód starałam się poukładać sobie w głowie wszystko po kolei i zrozumieć, co właściwie się tu wydarzyło.

Jęk Nowakowej przywołał mnie do tego, co tu i teraz. Leżała na ziemi skulona,

nieruchoma i blada. Przeraźliwie blada. Dotknęłam jej nadgarstka i wyczułam słaby puls. Ręce kobiety były zimnie jak lód.

Zdjęłam swoją kurtkę i przykryłam jej pierś. Gala liznęła mnie po dłoni.

– Będzie dobrze. – Pogłaskałam kobietę po głowie.

Usiadłam na ziemi, uniosłam głowę staruszki i ułożyłam ją na swoich kolanach, a wtedy ona otworzyła oczy, jakby wybudziła się ze snu.

– Dziękuję – wyrzęziła.

– Zaraz przyjedzie pogotowie – starałam się dodać jej otuchy.

– Boję się. Boję się, że umrę.

– Proszę nawet tak nie myśleć. Wszystko będzie dobrze – zapewniłam.

– Nie chcę umierać. Dopiero teraz widzę… Widzę, ile mogę stracić. Moje dzieci, wnuki… – Łzy popłynęły po jej zapadniętych policzkach.

Starszych synów Nowakowej pamiętałam jak przez mgłę. Musieli mieć teraz trzydzieści parę lat. Niektórzy mówili, że Nowakowa była zbyt zaborcza i ograniczała ich zanadto w dzieciństwie. Jako młoda wybitna pianistka zawładnęła sercem znanego kompozytora. Po wielu latach wspólnego koncertowania postanowili uwić gniazdko w Starym Lesie i wkrótce po tym urodziły się bliźniaki. Synowie otrzymali imiona po wybitnych kompozytorach romantyzmu – Stanisławie Moniuszce i Henryku Wieniawskim. Takie godności zobowiązywały. Od najmłodszych lat chłopcy ćwiczyli codziennie grę na fortepianie i skrzypcach. Nowakowa zawsze pilnie strzegła swoich skarbów, nie dopuszczając ich do rówieśników. Stasio i Henio nie mieli więc kolegów; nie znali dziecięcej gry w klasy oraz zabawy w chowanego. W zamian za to potrafili w wieku dziesięciu lat zagrać w duecie *Legendę* opus 17 Wieniawskiego na skrzypce i fortepian. Im bracia byli starsi, tym częściej buntowali się przeciw zasadom ograniczającym ich wolność. Matka, wyczuwając to zagrożenie hormonalne, manipulowała nimi, wzbudzając w nich poczucie winy i ograniczając tym samym ich opozycyjne zapędy. Gdy bracia mieli siedemnaście lat, liczne osiągnięcia muzyczne na koncie i przyszłość zaplanowaną od A do Z, zmarł ich ojciec. To traumatyczne wydarzenie przelało czarę goryczy. Rozpoczął się okres nienawiści do matki i muzyki. Gdy chłopcy zdali maturę, postanowili wyjechać na studia na drugi koniec kraju, by wyswobodzić się spod tyranii matki.

Większość mieszkańców popierała ich decyzję, jednak z upływem czasu zaczęto

litować się nad Nowakową – nieszczęśliwą staruszką, cierpiącą za matczyne błędy stanowczo za długo.

Odgłos nadjeżdżającej karetki przywołał mnie do teraźniejszości. Błyskające światła i donośny sygnał zwabiły okolicznych mieszkańców do okien. Oparłam głowę Nowakowej na swojej torbie, wstałam i zaczęłam machać. Gala niespokojnym szczekaniem zawtórowała odgłosom erki, która zatrzymała się obok nas. Sygnał dźwiękowy ucichł, pozostawiając jedynie migające światła. Z ambulansu wyskoczyli dwaj ratownicy.

– Dobry wieczór – powiedział jeden z nich.

– Dobry wieczór. To ja dzwoniłam.

Podeszli do Nowakowej, mijając mnie bez odpowiedzi. Kucnęli, po czym wyjęli z torby akcesoria medyczne i przystąpili do działania.

– Okej. Wbiłem się.

– Dobra. Teraz tlen. Daj maskę.

– Na nosze i do szpitala.

– Przepraszam, jaki jest jej stan? – spytałam.

– Zdążyliśmy w samą porę. Będzie żyć.

Odczułam niepojętą ulgę.

– Dziękuję, to… – nie dokończyłam.

Ryk sportowego auta przerwał mi w połowie zdania. Czarna alfa zbliżała się z zawrotną prędkością w naszą stronę, lecz kilka metrów przed karetką zwolniła. Skupiłam wzrok na przedniej szybie i ujrzałam Nieznajomego. Pochwycił mój wzrok i z zuchwałym uśmiechem na twarzy dżentelmeńsko skinął.

Nim zdążyłam zareagować, samochód przyśpieszył i niczym błyskawica podążył prosto ulicą.

Ratownicy wnieśli na noszach Nowakową do karetki. Widocznie leki i tlen poskutkowały, bo nieco się ożywiła, choć nadal oddychała ciężko.

– Dziękuję, dziecko – wyszeptała, kierując głowę w moją stronę.

– Nie ma za co.

– Kochanie, zaopiekuj się Galą. Ona nie ma nikogo prócz mnie – poprosiła.

– Oczywiście, zajmę się nią. Proszę się o nic nie martwić… – zapewniłam.

Zastanawiałam się, czy nie dopytać jej o Nieznajomego, który potraktował ją

z taką obojętnością. Bezczelnie patrzył, jak Nowakowa upada na ziemię, i nic nie zrobił. Wolałam nie myśleć, co by się stało, gdybym akurat tędy nie przechodziła.

Nie chciałam jej jednak nadwyrężać i tak już słabo mówiła. Lecz moja cholerna ciekawość znów wzięła górę.

– Proszę pani, kim jest ten młody mężczyzna, który tutaj stał, gdy przybiegłam? Wyglądał, jakby panią znał. Gala chyba też go rozpoznała, bo zachowywała się bardzo łagodnie… – Nie zamierzałam podkreślać, że nawet nie pofatygował się, żeby zadzwonić po karetkę. Podlec jeden.

– Jaki mężczyzna, kochanie?

– Ten od alfy romeo… Od tego czarnego auta.

– Jakiego auta, dziecko? Nic nie pamiętam.

– Stał tu przed panią. – Wskazałam na oświetloną ulicę za moimi plecami. – Starszy ode mnie, wysoki, w płaszczu. Pogłaskał Galę, a gdy nadbiegłam, odjechał – wyjaśniłam z grubsza, chcąc oszczędzić jej wspomnień o tym, jak zostawił ją na pewną śmierć.

– Nikogo nie kojarzę. Pamiętam, że przechadzałam się z Galą, poczułam straszliwy ucisk w piersi. Potem zjawiłaś się ty.

– Musimy jechać – przerwał mi ratownik. – Proszę się odsunąć.

Stałam obok karetki, patrząc, jak zamykają się drzwiczki, za którymi znikała twarz Nowakowej. W chwilę później ambulans odjechał, a na ulicy zaczęli gromadzić się ciekawscy sąsiedzi.

Chłodna dłoń chwyciła mnie za rękę.

– Laro, kochanie, nic ci nie jest?

Odwróciłam się i zobaczyłam znajomą twarz, a za nią grupkę dyskutujących sąsiadów.

– Mama?

– Kotku, co tutaj robił ten ambulans?

– Nowakowa chyba miała zawał – odpowiedziałam.

– Zawał? I ty przy tym byłaś? – odrzekła z niedowierzaniem.

Potwierdziłam skinieniem głowy, bo nie miałam siły, żeby zdawać relację

z całego wydarzenia. Tym bardziej że sama nie za bardzo wiedziałam, co dokładnie się zdarzyło. Pamięć o Nieznajomym była wciąż żywa, wydawał mi się bardziej realny niż w moim śnie. A może ja po prostu śnię? Wbiłam sobie paznokcie w dłoń, aż poczułam mrowienie w ramieniu. Boże, czy ja zaczynam tracić zmysły? Czy to się dzieje naprawdę, czy ten mężczyzna istnieje naprawdę, czy to tylko moja wyobraźnia?

Poczułam ból głowy, który rozpłynął się po całej czaszce i powędrował aż do skroni. Potarłam czoło dłonią. Cały nagromadzony do tej pory stres, którego wcześniej nie odczuwałam, zaczął teraz wyraźnie dawać o sobie znać. Zaszumiało mi w uszach, zachwiałam się na nogach. Mama przytrzymała mnie w pasie.

– Chodź, idziemy do domu. Później mi wszystko opowiesz.

– Poczekaj, muszę usiąść.

Poczułam, jak uginają się pode mną kolana. Usiadłam na krawężniku, wyciągnęłam przed siebie nogi. Mama przysiadła obok mnie, a wtedy oparłam głowę na jej ramieniu.

– Oddychaj spokojnie, słońce. To zaraz przejdzie. – Pogłaskała mnie dłonią po głowie i utuliła.

Poczułam, że ogromnie chce mi się pić. Całe szczęście miałam w torebce jeszcze połowę butelki wody mineralnej, która została mi po dyskotece. Wyciągnęłam ją i wypiłam jednym duszkiem.

Tego było mi trzeba. Chłodna woda. Musiałam jeszcze trochę posiedzieć, ale przynajmniej szumienie w uszach przeszło. Obserwowałam, jak grupka sąsiadów dyskutuje o zaistniałej sytuacji. Żżerała ich ciekawość, co dokładnie się wydarzyło, ale na szczęście mieli tyle taktu, by zostawić mnie teraz w spokoju i nie wypytywać.

Przymknęłam na moment powieki, by odpocząć, i ujrzałam twarz Nieznajomego. Stalowoszare oczy, ostro zarysowane rysy twarzy, mój pogrzeb, klęcząca Nowakowa…

Otworzyłam szybko oczy. Serce zaczęło mi walić jak szalone.

Co się ze mną dzieje?

– Mamo?

– Mhm?

– Obiecaj mi, że odpowiesz mi teraz na pytanie, jakbym była twoim studentem, a nie córką, okej? – poprosiłam.

– Spróbuję – odpowiedziała z uśmiechem.

– Jak mogę poznać, że mam psychozę?

– Słucham?

– No wiesz, że widzę coś, czego nie ma – dodałam po chwili.

Mama odchrząknęła.

– Po tym, że gdybyś cierpiała na takie zaburzenia, to nie zadałabyś takiego pytania.

– To znaczy?

– To znaczy, że chorzy na psychozę nie potrafią krytycznie ocenić swojego stanu zdrowia. Nie przyjmują do wiadomości, że to, co postrzegają, jest iluzją.

Zastanowiłam się nad jej słowami.

– Jak w takim razie racjonalnie wytłumaczyć postrzeganie czegoś, co prawdopodobnie nie istnieje, zakładając, że jest się zdrowym psychicznie?

Widziałam po jej minie, że nie miała ochoty na wieczorny wykład, tym bardziej że pytanie padło nie od studenta, tylko od przewrażliwionej nastolatki, która w dodatku była jej córką.

– Laryso, kochanie, co ci się kołacze po tej ślicznej główce? Czy to przez Nowakową masz takie myśli?

I wtedy przypomniałam sobie o staruszce i danej jej obietnicy. Rozejrzałam się wokół.

– Gdzie ona jest?

– Kto?

– Gala.

Przeszukiwałam wzrokiem przestrzeń między nogami zgromadzonych sąsiadów, lecz psa nigdzie nie było.

– Gala! – zawołałam

Zebrani mieszkańcy, rozmawiający o zaistniałej sytuacji, spojrzeli na mnie, po czym zaczęli rozglądać się dookoła.

– Gala… – ponowiłam wołanie.

– Pewnie uciekła – stwierdził Makowiecki.

– Może pobiegła za pogotowiem? – zasugerowała Cybulska. – Nasz Luluś zawsze goni nasze auto.

– Mamo, trzeba ją znaleźć. Przyrzekłam, że się nią zaopiekuję… A jeśli coś jej się stanie?

To pytanie wywołało serię migawek. Na wszystkich znajdowała się wychudzona Gala, z posępnym wyrazem pyska. Potrząsnęłam głową, chcąc odrzucić od siebie tę wizję.

– Nic jej nie będzie, to mądra psina. – Mama objęła mnie ramieniem. – Jutro jej poszukasz. A teraz chodźmy do domu. Powinnaś odpocząć i solidnie się wyspać. Nabierzesz dystansu i zyskasz świeże spojrzenie.

Mama była optymistką w każdym calu, czego nie dało się powiedzieć o mnie. Czarnowidztwo i skłonność do nadinterpretacji rzeczywistości odziedziczyłam po babci. Całe szczęście mama miała dystans do życia i potrafiła mi wszystko racjonalnie wytłumaczyć. Przekazała mi w genach energię i dociekliwość, które nieco niwelowały skutki zbyt wybujałej wyobraźni.

Spojrzałam w jej zielone oczy, w których zawsze znajdowałam zrozumienie. We wrześniu mama skończyła czterdzieści lat. Nie wyglądała jednak na tyle. No może jedynie pojedyncze siwe kosmki, wijące się wśród krótkich, pokręconych, ciemnych włosów nie odejmowały jej lat. Mama nieraz przyznawała, że bliżej jej samopoczuciem do studentki niż wykładowcy psychologii, którym była.

Wstałyśmy z krawężnika i pożegnałyśmy się z sąsiadami, którzy wyglądali na wyraźnie niepocieszonych brakiem relacji z pierwszej ręki z wydarzeń dzisiejszego wieczora.

Zbliżając się do domu, ujrzałyśmy w oddali tatę, który jak zwykle późnym wieczorem biegał. Zaaferowany widokiem skupiska potruchtał w naszym kierunku. Miał na sobie grafitowy dres z odblaskami, a na nogach obuwie sportowe. Jego bujna ciemna czupryna podskakiwała w rytmie stawiania kroków. Zapędy sportowe ojca pojawiły się pół roku temu, gdy rzucając palenie, przytył prawie piętnaście kilo. Lecz jego wysoki wzrost skutecznie odciągał uwagę od tuszy powstałej dzięki jedzeniu tego, co choć na chwilę zmniejszało chęć sięgnięcia po papierosa. Niepalenie było czymś wyjątkowo trudnym dla człowieka, który uważał, że większość sukcesów zawodowych zawdzięcza białej bibułce nabitej tytoniem. Podobno to dzięki niej tata sporządził budżet firmy na kolejny rok; rozładował stres powstały na skutek kryzysu gospodarczego i odkrył żyłę złota w postaci start-upu, którego prezesa poznał podczas przerwy konferencyjnej na dymka. Walka z nałogiem była więc czymś

więcej niż rzucaniem palenia – była to świadoma rezygnacja z taktyk biznesowych, dzięki którym ojciec awansował na stanowisko dyrektora finansowego dużej firmy informatycznej.

Zarówno kariera mamy, jak i taty rozwijała się prężnie – rodzice realizowali swoje ambicje zawodowe i zarabiali dostatecznie dużo, by zaspokoić nasze potrzeby. Lecz nie zawsze było tak kolorowo. Bezpieczeństwo finansowe, które posiadali, stanowiło efekt ich ciężkiej pracy i licznych wyrzeczeń w sferze rodzinnej. Gdyby nie pomoc babci, to mama nie znalazłaby czasu na habilitację, tata nie wyjechałby na rok do centrali firmy we Francji, a ja byłabym tymczasową sierotą wielbiącą smak obiadów szkolnych przypominających pomyje. Dopiero śmierć babci wyrwała ich z dwóch różnych światów i sprawiła, że na nowo staliśmy się rodziną mieszkającą wspólnie pod jednym dachem. Czasami odnoszę wrażenie, że śmierć babci miała głębszy sens. Umarła, żebyśmy my jako rodzina, narodzili się na nowo. Być może obserwuje nas teraz z lepszego miejsca i jest dumna z tego, że jej odejście, prócz rozpaczy, wniosło coś pozytywnego w nasze życie. Jej wiara w przeznaczenie i zjawiska nadprzyrodzone była przeogromna. Uwielbiała analizować sny i przywoływać stare porzekadła. Pamiętam, że gdy jako mała, ciekawska dziewczynka myszkowałam w jej sekretarzyku pełnym pachnących listów, starych pocztówek i fascynujących błyskotek, babcia pokiwała na mnie palcem i z żartobliwym uśmiechem powiedziała: „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła”. Pamiętam również dzień, gdy obgryzając nerwowo paznokcie, wyczekiwałam z obawą pod szkołą na swój pierwszy dzwonek… Wtedy babcia ujęła mnie za rękę, ścisnęła ją mocno i powiedziała: „Nie taki diabeł straszny, jak go malują”. Albo gdy rok wcześniej przedszkolna przyjaciółka, śliczna jak cherubin o niebiańskich oczach, zadała mi ranę straszną i niepowetowaną, wybierając na towarzyszkę zabaw inną dziewczynkę… Babcia pogłaskała moją zapłakaną twarz i podsumowała: „Postać anielska, dusza diabelska”.

Moja kochana babcia. To dzięki jej niezachwianej wierze w porządek świata śmierć zyskała dla mnie głębszy sens. Wiara ta pozwoliła mi też podnieść się po stracie babci. To dzięki niej uwierzyłam, że warto zaufać przeznaczeniu.

– Co się stało? – zapytał tata, zatrzymując się przed nami.

– Nowakowa miała zawał i zabrali ją do szpitala. Lara bardzo jej pomogła – odpowiedziała ze spokojem mama.

Tata popatrzył na mnie.

– Nic ci nie jest? – Przyglądał się wnikliwie mojej twarzy, jakby chciał z niej wyczytać poranne notowania indeksu WIG 20.

– Nic. To nie ja miałam zawał, tato.

– No tak. – Najwyraźniej dotarło do niego, że jestem cała i zdrowa, bo potarł dłonią nieogolony policzek i zszedł na inny temat. – Ciekawe, gdzie Nowakowa była ubezpieczona. Trzeba zadzwonić do jej agenta. – Spojrzał na mamę, mrużąc bursztynowe oczy. – Zaraz, zaraz. Elu, kojarzysz? Chyba Rycki ją ubezpieczał.

Ręce mi opadły. Tata był niezwykle pragmatyczny, a jego świat opierał się przede wszystkim na cyfrach, umowach, wykresach, zestawieniach, tabelkach, analizach, transferach i tak dalej, i tym podobne. Pojęcie humanizmu było mu obce, a jego metody wychowawcze względem mnie ograniczały się do dwóch pytań: „Jak leci?" oraz „Pomóc ci w matmie?". Obu zdaniom towarzyszyła mina Donalda Trumpa, czyli porozumiewawcze puszczenie oka połączone z uniesieniem prawego kącika ust. Czasami wtórował temu dźwięk klapnięcia języka o podniebienie, co brzmiało jak pojedynczy stukot końskiego kopyta.

Niezaprzeczalnie dzięki ojcu miałam najlepsze stopnie z królowej nauk i szanse na to, by dostać się na studia ekonomiczne. Według taty powinnam podążać jego śladami i studiować finanse, a po ich ukończeniu podbijać międzynarodowe rynki kapitałowe. Mama natomiast dawała mi pełną swobodę w wyborze dalszej drogi nauki, twierdząc, że na cokolwiek się zdecyduję, będzie to trafna decyzja, bo moja.

Póki co zdążyłam określić to, czego na pewno nie chcę studiować. Nauki ścisłe górowały na czarnej liście, o czym jeszcze nie wiedział tata. Zamierzałam studiować to, co lubiłam robić w wolnym czasie, lecz nie byłam pewna, czy kierunki pamiętnikarstwo i romansoczytanie zostaną utworzone w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Kochałam malować, szkicować, rysować, ale byłam zbyt niepewna swoich zdolności, by komukolwiek pokazać swoje prace. Mogłam spróbować się przemóc i ubiegać się o indeks na Akademii Sztuk Pięknych. Pozostawało tylko pytanie, czy hobbystyczne gryzmoły i dobre chęci wystarczą, by dostać się na tak oblegany kierunek jak malarstwo.

Głośna dyskusja rodziców wyrwała mnie z rozmyślań.

– Niewiarygodne, ty naprawdę sądzisz, że to jest teraz najważniejsze? – Mama oparła ręce o biodra, świdrując ojca karcącym spojrzeniem.

– Elu, bądźmy realistami. Kto dostanie odszkodowanie, gdy Nowakowa nie

przeżyje?

Nie przeżyje?

Poczułam, że robi mi się słabo, co najwyraźniej nie uszło uwadze rodziców.

– Laro, wyglądasz jak śmierć na chorągwi – podsumował tata, na co mama zerknęła na niego z politowaniem i popukała się w czoło.

No tak – potarłam ręką czoło – stwierdzenie taty było jak zwykle wybitnie taktowne i pasowało do okoliczności jak garbaty do ściany. Ojciec ni w ząb nie umiał wczuć się w sytuację, gdy w grę wchodziły emocje. Dobrze, że chociaż matkę miałam empatyczną.

– Chodź, kochanie, jutro dokończymy z tatą rozmowę o tym, jak wysokie odszkodowanie dostanie Nowakowa. – Westchnęła i uśmiechnęła się półgębkiem do ojca.

Tata wydął usta.

– Czuję, że muszę trochę pobiegać – odparł i nabrał głęboko powietrza, co w wolnym tłumaczeniu oznaczało: „Chce mi się palić jak cholera".

Cmoknął nas pośpiesznie w czoła, po czym potruchtał przed siebie.

– Janek! – mama zawołała za nim. – Tylko bądź silny i omijaj całodobowy z daleka. – To z kolei znaczyło: „Tylko, broń Boże, nie kupuj fajek".

Tata odwrócił się do nas i uśmiechnął się szeroko.

– Spokojna głowa, kochanie, nie tak łatwo mnie złamać – odparł, odwrócił się z powrotem i przyśpieszył bieg.

I znów między nimi dostrzegłam tę iskrę porozumienia, od której miękło mi serce.

Czy kiedyś przyjdzie dzień, że i mnie połączy z kimś tak silne i głębokie uczucie?

W kilka minut później wchodziłyśmy już do przyjemnie nagrzanego korytarza naszego domu. Zapach lawendowego kadzidła, przywiezionego przez rodziców z wakacji, przyjemnie połechtał nozdrza. Nachyliłam się, żeby zdjąć buty, i poczułam wyraźne skutki listopadowego powietrza. Z twarzy buchnęły mi płomienie, nogi osłabły.

– Chyba od razu się położę. – Rzuciłam niedbale buty na wycieraczkę.

– Może coś zjesz?

– Nie, dzięki.

– To chociaż zaparzę ci ziółek – zaproponowała mama.

Wzruszyłam jedynie ramionami i oparłam głowę o ścianę.

– Idź, idź, bo zaraz mi tu uśniesz – ponagliła i odwiesiła nasze kurtki.

Pokonałam z trudem drewniane schody i weszłam do swojego pokoju. Przyjemne światło księżyca wpadało przez okno w dachu, nadając pomieszczeniu przytulny klimat. Usiadłam na łóżku i zapaliłam lampkę nocną. Mój wzrok napotkał otwarty babciny sennik, który wertowałam dziś rano. Wzięłam go do ręki i raz jeszcze powiodłam po zdaniu: „Widzieć siebie jako nieboszczkę wróży początek nowego życia albo wewnętrzną przemianę".

No tak… Z całą pewnością wróży bardzo długi, męczący i dziwny dzień. Zamknęłam z trzaskiem sennik, wrzuciłam go do szuflady, oparłam się o wezgłowie łóżka i przymknęłam powieki.

Obrazy z dzisiejszego wieczora krążyły mi po głowie. Starałam się przekonać samą siebie, że koszmarny sen i ostatnie wydarzenia nie mają ze sobą nic wspólnego, że nie robią na mnie wrażenia.

Początek nowego życia… Umierająca staruszka… Jej włosy… Tak siwe jak u mojej babci.

I nieznajomy mężczyzna, jego lodowate spojrzenie…

Serce zaczęło mi mocniej bić.

Chwyciłam swój pamiętnik z szafki nocnej. Chciałam jak najdokładniej odzwierciedlić postać, która obudziła we mnie tyle skrajnych emocji. Musiałam opisać towarzyszące mi dzisiaj strach i niedowierzanie. Może przelanie wszystkiego na papier uspokoi moje myśli, pozwoli mi zrozumieć.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Do pokoju weszła mama z kubkiem nakrytym spodeczkiem.

– Nie śpisz jeszcze?

– Nie. – Odłożyłam pamiętnik na pościel.

Sączyłam powoli melisowo-rumiankowy napar, licząc, że załagodzi on skutki dzisiejszych wrażeń. Mama pogłaskała mnie po głowie.

– Już późno, kochanie. Dokończysz pisać jutro.

– Chyba tak zrobię. – Ziewnęłam.

– Dopij i spróbuj zasnąć. – Pocałowała mnie w czoło i udała się w stronę drzwi. – Dobranoc, skarbie.

– Dobranoc – odpowiedziałam.

Mama bezszelestnie wyszła z pokoju.

Pięć minut później już spałam.

Krople deszczu dzwoniły sennie o parapet. Założyłam nogę na nogę i wzięłam łyk letniej herbaty z cytryną. Jak zwykle w sobotni poranek w domu panowała cisza. Mama od dwóch godzin prowadziła na uczelni zajęcia zaoczne dla studentów psychologii, a tata naprawiał w garażu starą bieżnię. Planował wykorzystywać ją w mroźnie dni.

Mój plan na dzisiejszy dzień obejmował kolejne poszukiwania Gali, której nikt nie widział od zeszłego piątku. Ziewnęłam głośno, żałując, że zamiast herbaty nie zrobiłam sobie mocnej kawy. Chyba tylko dzięki małej czarnej zdołałabym się obudzić. Podniosłam się ospale z krzesła i nastawiłam wodę.

Dziś w nocy znowu usnęłam około czwartej. To już szósta noc z rzędu. Początkowo myślałam, że to Gala spędza mi sen z powiek. Gdy zaczęłam jednak analizować swoje myśli, które nawiedzały mnie każdego wieczora, uświadomiłam sobie, że stanowczo zbyt często powracam wspomnieniami do Nieznajomego. Od tygodnia zastanawiałam się, kim może być, skąd wziął się w mojej głowie, w moim śnie, na mojej ulicy.

Nazajutrz po zdarzeniu z Nowakową Zuzka wyjechała na tydzień do ojca. W sumie dobrze, że tak się stało. Dzięki temu nie karmiła mnie dłużej domysłami na temat Nieznajomego. Wzięłam łyk herbaty i po raz kolejny przywołałam wspomnienia naszej sobotniej rozmowy:

– Możesz mnie oświecić, co się wczoraj stało? – zapytała, gdy tylko odebrałam telefon.

– Ciebie też miło słyszeć.

– Mówże, umieram z ciekawości. Cały Stary Las aż huczy od plotek. Podobno uratowałaś Nowakowej życie.

– Tylko wezwałam pogotowie.

– Ludzie mówią, że omal nie umarła ci na rękach…

– Boże, Zuza, od kiedy obchodzi cię, co gadają stare baby w Lesie? Myślałam, że gardzisz plotkami. – Przełożyłam słuchawkę do drugiego ucha i zaczęłam szkicować na kartce ołówkiem. Często bazgrałam machinalnie różne obrazki podczas rozmów telefonicznych. Zdaniem mamy takie rysowanie odzwierciedlało podświadomość, było swego rodzaju dziennym marzeniem sennym, które można odpowiednio zinterpretować.

– Bo gardzę plotkami – przyznała twardo Zuza. – Wszystkiego dowiedziałam się od matki. To nie plotka.

– No tak. A ona skąd wie, co robiłam wczoraj wieczorem? – spytałam, nieco rozbawiona logiką, jaką rządziła się lokalna fama.

– A tam. Konkrety. Co się stało?

– Mam ci teraz zdać całą relację? – Poważnie wątpiłam, czy przez telefon uda mi się przedstawić rzetelny obraz poprzedniego wieczoru.

– Przecież masz do mnie darmowe minuty, nie?

– Tak, ale chyba powinnam opowiedzieć ci wszystko ze szczegółami. To było dziwne. Wpadniesz do mnie?

Zuza nie była drobiazgowa i rzadko kiedy wdawała się w szczegóły. Chyba że w grę wchodził Patryk lub jej kot, nazwany od nazwiska ukochanego gitarzysty Johna Frusciantego Frusikiem.

– Nie dam rady. Wieczorem wyjeżdżam do ojca na święta, a jeszcze nie jestem spakowana.

– No tak. Zupełnie zapomniałam, sorry.

Z racji tego, że rodzice Zuzki mieszkali na przeciwległych krańcach kraju, musiała co roku obchodzić święta podwójnie – w listopadzie u ojca, a w normalnym grudniowym terminie z dziadkami i matką w domu w Starym Lesie.

– Nie musisz przecież zdawać mi dokładnego meldunku. Wystarczy, jak opowiesz z grubsza, co się wczoraj stało.

– Okej… Tak więc, Nowakowa miała zawał. Ja przy tym byłam. Wezwałam pogotowie. Zabrali ją do szpitala. Dzwoniłam tam rano, żyje i ma się dobrze.

– To wszystko?

– Chciałaś z grubsza.

– Ale z ciebie zadziora. Powiedz coś więcej. Gdzie to się stało?

– Na mojej ulicy.

– Czyli praktycznie byłaś już w domu?

– Powiedzmy. Zobaczyłam Nowakową ze wzniesienia i pobiegłam jej pomóc.

– Masz parę. Robiłaś sztuczne oddychanie? No wiesz, masaż serca, usta-usta? Pewnie inne dziunie ze szkoły na jej widok padłyby jak długie, ale ty dałaś radę. Byłaś tam zupełnie sama czy ktoś ci pomagał?

Zawahałam się przez chwilę. Rzadko kiedy miałyśmy przed sobą tajemnice. Teraz sprawa wyglądała jednak nieco inaczej. Sama niewiele rozumiałam z wczorajszego zdarzenia, więc nie za bardzo wiedziałam, co jej powiedzieć.

– Oprócz mnie był tam ktoś jeszcze – odparłam.

– Ktoś ze szkoły?

– Nie. Ani ze szkoły, ani z Lasu.

– To skąd?

Z mojego snu – cisnęło mi się na usta.

– Nie mam pojęcia. Nie znam go. Ale był taki…

– Jaki?

– Hmm, taki…

– No jaki?! – zapytała z irytacją. – Nagi? Martwy? Stary? Ślepy? Głuchy?

– Raczej dziwny, tajemniczy i niepokojący.

– Ach. – Nastała chwila ciszy. – Przystojny chociaż?

– Zuza…

– No co, przystojny czy paszkwil? Zabiło ci mocniej serducho?

– Nie! To znaczy… Kurde! – Czułam, że sama nie wiem, co mam jej odpowiedzieć. – Myślę, że można by go uznać za atrakcyjnego, gdyby nie jego karygodne zachowanie.

– Co masz na myśli?

– Trudno to wyjaśnić.

– Spróbuj, może i mam z matmy same gały, ale za to podstawowe pojęcia z komunikacji międzyludzkiej ogarniam.

– To było dziwne. Ten facet patrzył obojętnie, jak Nowakowa dostaje zawału. Chciał ją zostawić na pewną śmierć. Gdy się pojawiłam, wziął mnie za inną osobę. Rozmawiał z kimś, kogo nie było. Później mnie przeprosił, no i postraszył piekłem. – Usłyszałam to, co powiedziałam, i aż sama nie mogłam uwierzyć, że gadam takie bzdury.

– Aha. – Zuza zamilkła na chwilę. – A ci z pogotowia nie mówili nic, że uciekł im pacjent z psychiatrii? – Parsknęła i zaczęła się śmiać.

– Dzięki za zrozumienie.

– Lara, z tego, co mówisz, ten koleś jest zwyczajnie stuknięty.

– Nie wyglądał na wariata.

– Dobra, dajmy sobie z nim spokój.

– Tylko że ja ciągle o nim myślę. To jest poza moją kontrolą. On nie daje mi spokoju. W dodatku śnił mi się w noc przed tym wydarzeniem.

– Przed tym z Nowakową? – dopytała, jakby nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Tak.

– Okej. Proponuję, żebyś o nim więcej nie mówiła, nie myślała, a najlepiej o wszystkim zapomniała.

– Próbowałam, ale nie mogę. Ciągle mi się wszystko przypomina. Pamiętam dokładnie, jak wyglądał, słyszę jego głos.

– Dobra, masz jakąś fiksację. Pogadaj z mamą. Jest psychologiem, na pewno znajdzie racjonalne wytłumaczenie. Może to trauma? Wystraszyłaś się, że Nowakowa umrze i teraz odtwarzasz wszystko na nowo. Ten koleś nie był normalny. Normalni ludzie tak się nie zachowują. Nie patrzą obojętnie na czyjąś śmierć i nie straszą dopiero co poznanej osoby piekłem…

Zastanowiłam się nad jej słowami i zatopiłam wzrok w swoich bazgrołach, które powstawały w trakcie naszej rozmowy.

Zatkało mnie.

Na kartce papieru widniało krwawiące serce przebite na wskroś mieczem.

I jak, do cholery, mam to niby zinterpretować?

Wycieraczki powolnym ruchem ocierały się o przednią szybę samochodu. Podkręciłam gałkę radioodbiornika i zagłębiłam się w wyścielane alcantarą siedzenie. Spokojna muzyka wypełniła wnętrze auta, a krople deszczu zawtórowały lirycznym dźwiękom gitary akustycznej. Rozległ się łagodny głos Joségo Gonzaleza. Od ciągłego wychylania głowy i rozglądania się na różne strony rozbolał mnie już kark. Oderwałam rękę od kierownicy i zaczęłam go masować. Przyjemne mrowienie rozeszło się po plecach, powodując coraz silniejszą senność. Starałam się walczyć ze znużeniem, lecz ciężkie powieki opadały mimowolnie, jakby przymierzały się do snu. Od ponad trzech godzin w żółwim tempie przemierzałam dróżki Starego Lasu. Byłam już tak zmęczona wypatrywaniem czegokolwiek, co przypominało otyłego psa w kolorze biszkoptowym, że postanowiłam zrobić ostatnią rundkę głównymi ulicami i wracać do domu.

Minęłam sklep spożywczy i skręciłam w prawo.

W Starym Lesie, jak na małą mieścinę przystało, było kilka sklepów z niezbędnymi do życia produktami. Każdy z właścicieli chciał dogodzić klientom, rozszerzając co roku asortyment. Jednak powierzchnie sklepów, znajdujących się w domach lub przybudówkach właścicieli, nie były w stanie się powiększyć. Na skutek tego poupychane ciasno na regałach produkty spadały często z hukiem na ziemię, wywołując przestrach, a następnie wybuch śmiechu wśród klientów. Pewnej nocy Urbańska – właścicielka sklepu z artykułami gospodarstwa domowego i chemią – wezwała policję, myśląc, że złodzieje w garażu plądrują jej dorobek. Okazało się, że pod ciężarem emaliowych garnków półki się rozpadły i sprzęt do gotowania runął z piekielnym rumorem na podłogę. Mundurowi byli wściekli, że o drugiej nad ranem musieli fatygować się, by przyłapać na gorącym uczynku wymalowany w owoce komplet naczyń.

Oprócz instalacyjno-ogrodniczego sklepu Malczewskiego i przemysłowo-chemicznego Urbańskiej w odległości kilkuset metrów od siebie znajdowały się jeszcze dwa spożywcze. Można w nich było znaleźć nie tylko jedzenie, lecz również prasę, książki, artykuły piśmiennicze i papierosy. Z racji rozproszenia sklepów, nie było u nas centrum, w którym mieszkańcy mogliby się spotkać na zakupach. Życie towarzyskie skupiało się głównie w domach, szkole, kościele, Klubie Leśnym lub w Barze u Marty, gdzie odbywały się przyjęcia rodzinne czy lokalna impreza karaoke

z cyklu „Wycie do księżyca w Starym Lesie”.

Wyjechałam z kolejnej uliczki i ziewając, stwierdziłam, że czas wracać do domu.

Na fotelu pasażera zabrzęczał wibrujący telefon.

Tata.

Zatrzymałam się na poboczu, wcisnęłam światła awaryjne i odebrałam.

– Cześć, tato.

– Laryso, prowadzisz teraz? – zapytał.

Wiedziałam, jak nie znosi, kiedy rozmawia się przez komórkę, kierując jednocześnie autem.

– Nie, stoję. Co tam?

– Słuchaj, skoro wyświadczyłem ci przysługę, pożyczając auto, to możesz skoczyć do Mokrych?

– Hę? Po co? – Jezu, tak bardzo nie chciało mi się jechać do miasta. Najchętniej wskoczyłabym pod koc z gorącą herbatą i poczytała książkę.

– Naprawiam właśnie girlandy świetlne. Te w kształcie sopli lodu. Kojarzysz? – zapytał retorycznie. – Idzie świetnie, tylko zabrakło mi dwóch żarówek ledowych, gwint E dwadzieścia siedem, moc osiem dziesiątych wata. Dzwoniłem do sklepu Malczewskiego, ale nie mają takich lampek, bo niby jeszcze nie pora na świąteczne dekoracje. Dasz wiarę? – Parsknął wymownie. – I tak sobie pomyślałem, że skoro wzięłaś moje auto i jesteś w terenie, to może podjechałabyś do marketu budowlanego. Tam na pewno mają taki typ. Dzięki temu już jutro moglibyśmy zacząć przystrajanie elewacji.

Był początek listopada. Do Bożego Narodzenia pozostało półtora miesiąca, a mój ojciec bawił się dekoracjami świątecznymi. Podzielałam opinię właściciela sklepu w Starym Lesie – to nie była jeszcze pora na gwiazdkowe ornamenty. Chciało mi się spać jak diabli, ale z drugiej strony miałam po dziurki w nosie dzisiejszej jazdy na trzecim biegu. Może na szosie rozbujam ravkę do setki.

– No dobrze, pojadę do Mokrych.

– No! – wykrzyknął uradowany tata. – W tym roku jako pierwsi udekorujemy dom. Będzie wspaniale. Zobaczysz. Dokupię jeszcze w tygodniu błękitnego węża świetlnego i aniołka, i Świętego Mikołaja z saniami. A! I myślałem też o trójwymiarowym reniferze! To nowość na rynku – nawijał jak nakręcony. –

Walińscy pękną z zazdrości. Tym razem to my będziemy świecić najjaśniej w okolicy.

Tata miał obsesję na punkcie rywalizacji z sąsiadami. Odkąd pamiętam, konkurował z Markiem Walińskim, którego, co dziwne, uważał za dobrego przyjaciela. Ciągle popisywali się własnymi osiągnięciami. Tematy współzawodnictwa były różne. Który trawnik jest bardziej zielony? Czyje róże ładniej pachną? Kto robi lepszą karkówkę z grilla? No i oczywiście, które dekoracje świąteczne świecą najjaśniej? Dodatkowym powodem przystrajania domu było to, że po świętach na pierwszej stronie lokalnej gazetki umieszczano kolorowe zdjęcie zatytułowane: „Najpiękniejszy bożonarodzeniowy dom w Starym Lesie". Oprócz fotografii z nazwiskiem autora w tej poczytnej prasie nagrodą był, jakże przydatny, zestaw zewnętrznych lampek choinkowych. O zgrozo! Mieliśmy już siedem takich kompletów. A tacie nadal było mało. W tym roku walczyliśmy z Walińskimi o uzyskanie przewagi. Oni też zaliczyli już siedem wygranych. Ostatnią nawet w zeszłe święta.

– Dobrze, tato. To ja ruszam do miasta – powiedziałam, włączając kierunkowskaz.

– Jedź ostrożnie, na drodze może być ślisko – ostrzegł.

– Zawszę jeżdżę ostrożnie.

– Twoja matka też tak mówi, a jej samochód wygląda jak Transformers po wojnie o Energon.

– Tato…

– Dwie żółte żarówki LED, gwint E dwadzieścia siedem, osiem dziesiątych wata – dodał na koniec. – Innych nie bierz. Na razie.

– Na razie. – Rozłączyłam się, rzuciłam telefon na siedzenie pasażera i ruszyłam.

Do Mokrych, czyli najbliższego dużego miasta, które położone było nad jeziorem o tej samej nazwie, jechało się wąską szosą przez około czterdzieści minut. Zerknęłam na okrągły zegar na pulpicie. Było dopiero po czwartej, a na zewnątrz robiło się już ciemno. Deszcz zaczął coraz mocniej uderzać o szyby, aż w końcu z lekkiego kapuśniaczku przeistoczył się w ulewę. Gigantyczne krople walące w karoserię zagłuszyły grającą w środku muzykę. Przerzuciłam dźwignię wycieraczek na najszybszy bieg. Obie, niczym para wioślarzy, posunęły po tafli szkła. Mimo ich żmudnej pracy deszczówka spływała szerokimi strumieniami po

szybach. Zwolniłam do pięćdziesiątki, by dostrzec zatopione w kałużach białe linie wyznaczające w ciemnościach drogę. Poczułam lekkie szarpnięcie i opór kół, któremu zawtórował szum wody dobiegający spod podwozia. Samochód zaczął bujać się na boki, jak radziecka wańka-wstańka. Nie mogłam zjechać w lewo ani w prawo, jakby coś blokowało koła. Jadące z naprzeciwka auta oślepiały mnie blaskiem reflektorów. Zacisnęłam kurczowo dłonie na kierownicy i skręcając w stronę osi jezdni, wydostałam się z wypełnionej deszczem koleiny. Hałas ucichł, a samochód odzyskał równowagę. Jechał teraz płynnie i gładko, jak curlingowy kamień po lodzie. Odetchnęłam z ulgą. Z każdym kilometrem deszcz powoli słabnął, aż w końcu powrócił do postaci drobnego kapuśniaczka.

W samochodzie zrobiło się przytulnie i na tyle cicho, że dało się słyszeć muzykę płynącą z głośników radiowych. Rozpoznałam męski głos Kravitza. Była to jedna z tych piosenek, która mąci w głowie i wywołuje ucisk w żołądku. Poczułam łagodny dreszcz przeszywający moje ciało. W napięciu oczekiwałam na refren, a gdy nadszedł, zaśpiewałam z całych sił:

– *I belong to you. And you. You belong to me too. You make my life complete… You make me feel so sweet.*

I wtedy, w niewytłumaczalny dla mnie sposób, mężczyzna ze snu zjawił się przed moimi oczami. Ogarnęła mnie fala gorąca. Wspomnienie surowej twarzy, zwichrzonych włosów i kocich oczu przesłoniło mi przez moment jasność widzenia. Samochód zjechał gwałtownie w koleinę. Przytrzymałam mocno kierownicę i wyprowadziłam go na prostą.

Jezu, co się ze mną dzieje?! Czułam, jak strużka potu spływa mi po plecach. Przywołałam się do porządku, wyłączyłam radio i jadąc dalej w ciszy, skupiłam się na drodze.

Tętniące życiem Mokre powitało mnie korkiem ulicznym. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się w lunaparku. Jarzące się światła kolorowych billboardów drażniły oczy, wysokie szklane budynki mieniły się w świetle latarni, a wielkopowierzchniowe reklamy i witryny sklepów kusiły promocjami i krzyczały: „Jesienna wyprzedaż!”.

Zatrzymałam się na czerwonym świetle. Tabun ludzi wylał się na jezdnię. Większość z pieszych nie miała jeszcze trzydziestki. Tworzyli małe grupki modnie ubranych imprezowiczów. Młody chłopak trzymający w ręce zawiniątko łapczywie przyłożył je do ust. Drugi szturchnął go łokciem i wskazując głową na

przejeżdżających policjantów, zapalił papierosa. Zgrabne dziewczyny, idące pod rękę, uśmiechnęły się do nich filuternie, po czym jedna nachyliła się do drugiej i szepnęła jej coś do ucha. Przeniosłam wzrok na przytuloną parę zmierzającą w przeciwną stronę – mężczyzna odgarnął włosy z czoła partnerki. Spojrzała na niego i roześmiała się, a on obdarzył ją pocałunkiem.

Poczułam w sercu ukłucie.

Super, zamiast spędzać z kimś sobotni wieczór na mieście, przyjechałam, żeby kupić żarówki.

Kilkanaście minut później kroczyłam powoli po markecie, śledząc tabliczki pomocnicze:

– Żarówki tradycyjne. Żarówki kolorowe. Żarówki soft. Żarówki kryptonowe – czytałam pod nosem, drepcząc między regałami. – Żarówki halogenowe. Żarówki Linestra…

– Może w czymś pomogę? – zaproponował męski głos.

Odwróciłam się i ujrzałam starszego ode mnie chłopaka w czarnym podkoszulku. Był wysoki, atletycznie zbudowany. Miał pociągłą, muśniętą słońcem twarz, blond włosy, czarne wyraziste oczy, otoczone jasnymi brwiami.

– Chyba sobie poradzę – odparłam.

Przeniosłam wzrok z powrotem na regały i zmrużyłam oczy w poszukiwaniu tabliczki z odpowiednim napisem. Chłopak stał nadal obok mnie. Czułam na sobie jego spojrzenie.

– A może jednak? – odezwał się znów, a jego głos zabrzmiał kusząco.

Spojrzałam na niego ponownie. Pojedynczy kosmyk słomkowych włosów opadł mu luźno na czoło.

– Szukasz jakiejś konkretnej żarówki? – Jego usta przybrały frywolny uśmiech.

– Tak. Żółta LED. Gwint E dwadzieścia siedem, osiem dziesiątych wata. Dwie sztuki – odpowiedziałam bez zająknięcia, przyjmując fachowy wyraz twarzy.

– Hm, tutaj chyba takiej nie znajdziesz – powiedział przyciszonym głosem i pochylił się lekko w moją stronę.

– Tak? To może na dziale farb i lakierów? – odparłam, wyczuwając coraz silniejszą, wręcz krępującą, bliskość między nami.

Chłopak uśmiechnął się czarująco.

– Nie. Tego typu żarówki znajdują się w dziale dekoracji świątecznych – odparł z niezmiennie uwodzicielskim uśmiechem.

– Aha. Dzięki. – Obróciłam się, lecz on stanął mi na drodze.

– Przez reorganizację dużo osób się gubi. Akurat mam przerwę, z chęcią pokażę ci, gdzie leżą – zaproponował i ruszył do przodu.

Bez słowa podążyłam za nim. Jego ruchy były płynne, a ciało wydawało się zachwycająco zgrabne. Weszliśmy do małej sali wypełnionej po brzegi ozdobami. W prawej części stały sztuczne choinki w licznych odcieniach zieleni. Zdarzały się też drzewka koloru białego lub takie z niebieskim nalotem, który nieudolnie imitował śnieg. W lewej części prezentowały się efektowne postacie 3D. Stały tu lapońskie sanie, anioł z trąbą głoszący dobrą nowinę, bałwan w kapeluszu i oszronione drzewo. Na przedzie prężył się świetlisty renifer z ogromnym porożem naturalnych rozmiarów. Jego łeb unosił się ku górze, jakby zamierzał zaryczeć, a kopyta zdawały się szykować do ciągnięcia mikołajowych sań. To pewnie o nim wspominał przez telefon tata. Wytężyłam wzrok, by dojrzeć cenę.

Cztery tysiące pięćset złotych?! Za tyle to można adoptować prawdziwego łosia z zoo! Nie dość, że stanie się atrakcją świąteczną, to latem będzie jeszcze robił za kosiarkę.

Weszliśmy między rzędy regałów i stanęliśmy przed jednym z nich. Młody mężczyzna spojrzał na górną półkę i sięgnął ręką ponad moją głowę. Poczułam od niego ujmującą woń. Coś jakby mieszankę świeżych pomarańczy i cedrowych szyszek ze śródziemnomorskiego gaju. Zaszumiało mi w uszach.

– Proszę – powiedział uprzejmym tonem i wyciągnął w moją stronę dłoń, w której trzymał dwa pudełeczka.

– Dziękuję… – Poczułam dziwne łaskotanie w brzuchu i po chwili impulsywnie dodałam z uśmiechem: – Może wezmę jeszcze jedną sztukę. – Nie mogłam wprost uwierzyć, że uciekłam się do podstępu, licząc na ponowne zetknięcie się z cedrową wonią.

Chłopak powtórzył ruch w górę i znów poczułam jego cudowny zapach. Moje ciało przeszedł przyjemny dreszcz, serce zaczęło uderzać szybciej.

– Proszę. – Podał mi pudełeczko. – Będzie na zapas. – Uśmiechnął się zalotnie i puścił do mnie oko.

Był czarujący i atrakcyjny, lecz miał w sobie też coś niepokojącego – czarne jak

heban oczy, które przyglądały mi się uważnie.

Chłopak odchrząknął i oparł się o regał.

– Słuchaj, miałabyś może ochotę wyskoczyć za tydzień do kina? – Jego swobodny ton zbił mnie z tropu.

– Do kina? – Nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy. Nie tak szybko.

– Tak, masz jakieś plany na przyszłą sobotę? – Uśmiechnął się swobodnie.

– Szybki jesteś… – stwierdziłam z przekąsem.

– Cóż, życie jest za krótkie, by bawić się w kotka i myszkę. Nie uważasz? – Przybliżył się do mnie.

Znów poczułam cedrowy zapach, który spętał moje myśli. Pod jego wpływem mogłam się nawet zgodzić na *tête-à-tête* z diabłem. Może ta randka to nie taki zły pomysł? Chłopak jest przystojny, uprzejmy, wydaje się trochę dziwny, ale i tak nie mam nikogo, z kim mogłabym spędzić sobotni wieczór. A może dostanę rabat na renifera? Tata byłby w siódmym niebie.

– Dobrze, niech będzie sobota za tydzień – odpowiedziałam mu z uśmiechem.

– Świetnie. Jestem Daniel – wyciągnął dłoń.

– Larysa.

Uścisnęliśmy sobie ręce i wtedy poczułam, jak od nadgarstka po łokieć przepływa piekący strumień. Cofnęłam raptownie dłoń.

– Też to poczułaś? – zapytał.

Kiwnęłam tylko głową.

– To się zdarza. Dużo tu sprzętów elektrycznych. – W jego oczach dostrzegłam błysk podekscytowania. – Czy pasuje ci o osiemnastej pod Golden Screen? – powrócił do tematu.

– Może być – odpowiedziałam lekko zmieszana.

– To jesteśmy umówieni. Podasz mi swój numer telefonu? – zapytał bez ogródek. – Tak na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, gdzie mnie diabli poniosą. – Roześmiał się.

Zawahałam się przez chwilę, po czym podałam mu swój numer. Na twarzy Daniela pojawił się wyraz satysfakcji.

– Nie zapiszesz? – zapytałam.

– Mam bardzo dobrą pamięć.

– I pewnie milion innych zalet…

– Masz rację – odparł zuchwale. – Ale nie mówmy o mnie – powiedział i przysunął się bliżej. – Jesteś piekielnie pociągająca, wiesz?

Mała odległość między nami i jego bezpośredniość sprawiła, że poczułam się nieswojo. Odchrząknęłam.

– Dzięki. To było miłe.

– Miłe? – Nachylił się w moją stronę. – Tylko tyle?

Był teraz tak blisko mnie, że niemal widziałam swoje odbicie w jego smolistych oczach. Nie spodobało mi się to. Zrobiłam krok w tył.

– Na mnie już pora. Dzięki za pomoc z żarówkami. – Uniosłam pudełeczka.

Uśmiech Daniela zgasł. Wydawał się niepocieszony.

– Czemu już znikasz, piękna? Chyba cię nie wystraszyłem? – Oparł rękę o półkę tuż nad moją głową.

Poczułam się jak w pułapce. Dałam krok w tył.

– Zrobiło się już dość późno i powinnam wracać. – Zaczęłam się wycofywać, niczym sarna trzymana na celowniku. Daniel widocznie wyczuł moją niepewność, bo spuścił z tonu.

– Jak chcesz. – Opuścił rękę. – Odprowadzę cię na parking.

– Nie trzeba. Przecież jesteś w pracy.

– Już ci mówiłem, że mam przerwę – przypomniał.

Wydawało mi się, że zacisnął przy tym szczęki, lecz po chwili od razu się uśmiechnął.

Wyszliśmy na rozświetlony latarniami parking. Po deszczu nie został nawet ślad, a niebo wypogodziło się tak, że było widać gwiazdy. Podeszliśmy do auta.

– Dużo czasu zajmie ci powrót do Starego Lasu? – zapytał Daniel.

– Skąd wiesz, że tam mieszkam? – zapytałam zaskoczona.

– Domyśliłem się po tablicy rejestracyjnej samochodu.

– No tak – wymamrotałam pod nosem i wyłączyłam alarm.

– Wiesz, strasznie żałuję, że nie spotkałem cię wcześniej. – Daniel uśmiechnął się kusząco. – Ale widocznie nie było to nam pisane.

Nie miałam ochoty włączać się w jego grę. Normalnie może ciągnęłabym ten flirt, lecz teraz czułam się zmęczona całym dniem i marzyłam, by wrócić wreszcie do

domu.

– Pewnie tak. – Otworzyłam drzwi.

– Widzę, że naprawdę się śpieszysz. Nie będę cię dłużej zatrzymywał, bo nie zdążysz.

– Nie zdążę…?

Daniel mrugnął do mnie bystro.

– Sama się niebawem przekonasz. Tylko jedź prosto do domu. – Oparł rękę o dach samochodu i nachylił się w moją stronę. – Szerokiej drogi, Laryso – szepnął mi do ucha.

Zadrżałam na całym ciele, chociaż nie wiedziałam, czy to dlatego, że znów poczułam atrakcyjny zapach, czy dlatego, że Daniel znalazł się tak blisko. Ogarnęły mnie dziwne przeczucia.

– Naprawdę muszę już jechać. – Wsiadłam do samochodu.

– Do zobaczenia więc, *chérie*.

– Cześć. – Zamknęłam drzwi i odpaliłam silnik.

Gdy wyjeżdżałam z parkingu, Daniel wciąż stał w tym samym miejscu i odprowadzał mnie wzrokiem. Wyglądał niepokojąco i kusząco zarazem. Poczułam dreszcz na całym ciele, dodałam instynktownie gazu i wyjechałam z parkingu.

Podążałam zatłoczonymi ulicami miasta, próbując wyrzucić z głowy obraz Daniela. Przy zjeździe na szosę dopadł mnie wilczy głód. Nic dziwnego, od ostatniego posiłku – porannej bułki z serem – minęło wiele godzin. Najchętniej zjadłabym jakąś gorącą zupę, ale po drodze ze świecą było szukać domowego jedzenia. Przy najbliższej okazji zjechałam więc do restauracji typu fast food, wzięłam tortillę i herbatę. Coca-cola pewnie bardziej pasowałaby do takiego zestawu, ale gdy obejrzałam dokument na temat tego pysznego napoju, zrezygnowałam na dobre z jego picia. W filmie udowadniano, że w jednej puszce napoju znajduje się około dziesięciu łyżeczek cukru; że składnik w postaci barwnika – karmel amoniakalno-siarczanowy – powoduje zaburzenia trawienia, nadpobudliwość, skurcze mięśni, a przy dłuższym spożywaniu raka. Gdyby coca-cola została pozbawiona tego barwnika, miałaby zielony kolor. W dwóch stanach w USA wykorzystuje się ją jako jeden ze skuteczniejszych sposobów usuwania krwi z jezdni po wypadkach drogowych; prócz tego napój ten posiada zdolność rozpuszczania zębów mlecznych i usuwania korozji z samochodu, doskonale też czyści srebro.

Nie, dziękuję, nie piję coca-coli. Jeszcze nie zardzewiałam.

Po postoju wróciłam z powrotem na drogę. Do miasta zmierzała spora liczba aut, zapewne w celach imprezowych. Z kolei pas w stronę Starego Lasu był pusty. Przycisnęłam pedał gazu i rozpędziłam ravkę do dziewięćdziesiątki. Auto przyśpieszyło i popłynęło jak łabędź po wodzie. Poczułam ekscytację, że mimo krótkiego stażu kierowcy prowadzę z taką szybkością. Beztroska nie trwała jednak długo. W oddali, po drugiej stronie szosy, pulsowały niebieskie lampy radiowozów. Nadjeżdżający z naprzeciwka kierowca mrugnął ostrzegawczo długimi światłami. Zdjęłam nogę z gazu i ściszyłam radio.

Zbliżałam się powoli do policyjnych aut stojących po drugiej stronie jezdni. Na dachu jednego z nich migała trójkątna tablica z napisem: Uwaga! Wypadek. Ujrzałam policjanta i mężczyznę z krwawiącą głową. Tłumaczył coś z przejęciem. Potoczyłam się dalej, by po kilku metrach zatrzymać się przed wyciągniętą ręką mundurowego, który kierował ruchem. Uchyliłam lekko szybę. Kilku kierowców jadących z naprzeciwka minęło mnie ze spokojnym wyrazem twarzy. Wyglądali na zrelaksowanych, nawet zadowolonych – jakby mijali bezkresne pola pszenicy, a nie miejsce wypadku. Policjant dał mi znak do jazdy. Ruszyłam łagodnie i za plecami mundurowego ujrzałam białego busa z wklęśniętą maską, w którą wtopiona była niebieska micra. Zdrętwiałam. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Małe autko nie miało przodu, a jego części mechaniczne, które normalnie powinny znajdować się pod maską, były teraz wciśnięte w tylne fotele. Na asfalcie splamionym brudnoczerwoną krwią leżały odłamki szkła i kawałki błotnika. Tuż za wrakami dostrzegłam karetkę pogotowia. Dwóch ratowników nachyliło się nad noszami i dźwignęło je do góry. Zakrwawiona ręka rannego opadła bezwładnie. Spod poplamionej, rozchełstanej koszuli wystawał nagi tors. Któryś z ratowników zapewne rozerwał wcześniej odzienie kierowcy, by reanimować go na mokrej od deszczu drodze. Przeniosłam wzrok na twarz rannego, którą przesłaniały bordowe strużki spływające ciurkiem na ubranie.

Jaki młody… Musiał być w podobnym do mnie wieku.

Żołądek zrobił salto i podszedł mi do gardła. Odwróciłam wzrok z powrotem na drogę i…

Wstrzymałam oddech.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Na poboczu, zaledwie kilka metrów przede mną, stał Nieznajomy. W tym samym płaszczu, w którym go zapamiętałam,

z tym samym niepokojącym wyrazem twarzy. Patrzył na mnie, jakby prześwietlał mój umysł. Światła reflektorów odbiły się w jego stalowych oczach, które pochwyciły moje spojrzenie. W mojej głowie rozległ się męski głos, niski i głęboki: „Bądź uważna. Skoncentruj się i patrz przed siebie”.

Serce zadrgało mi w piersi, moje ciało zdrętwiało. I wtedy usłyszałam inny głos, również męski, choć nieco wyższy: „Widziałaś ofiarę wypadku? Tobie to nie grozi. Jesteś świetnym kierowcą. Przyśpiesz, rozpędź się, poczuj prędkość, wolność. Zobacz, jak to jest śmiać się śmierci w twarz”.

Słowa te dodały mi odwagi, zupełnie jakbym wypiła mocnego drinka. Docisnęłam gaz i napotkałam wzrok Nieznajomego, którego właśnie mijałam. Tajemniczy, niski głos, niczym buddyjska mantra płynąca z otchłani, przemówił do mnie ponownie: „Jedź powoli. Jesteś bezpieczna. Zapomnij o tym, co widziałaś, i podążaj przed siebie do domu. Tam czekają na ciebie twoi bliscy”.

Zwolniłam nieco pedał gazu. Poczułam przyjemne ciepło wypływające z głowy przez klatkę piersiową do rąk i nóg. Moje ciało, jak za sprawą magicznego zaklęcia, zaczęło się rozluźniać, serce spowolniło bieg, emocje powróciły do stanu równowagi, zmysł wzroku i koncentracja znacznie się wyostrzyły. Skupiłam się na drodze. Wszystko prócz niej przestało istnieć. Do moich uszu dobiegał jedynie świszczący przez uchyloną szybę wiatr, który kołysał mnie, jak hamak w letnie popołudnie. Ja, samochód, szosa i nic więcej. Zgodnie z zaleceniem głosu podążałam przed siebie powolnie do Starego Lasu.

Wjechałam na podjazd przed domem i wyłączyłam silnik. Moje ciało zaczęło drżeć, jakbym wypiła wcześniej z litr mocnej kawy. Wokół było ciemno, tylko niewielka lampka przy garażu jarzyła się niewyraźnym światłem. Spojrzałam na zegarek na telefonie. Mój umysł zaczął odtwarzać minuta po minucie powrotną podróż z Mokrych i wtedy uświadomiłam sobie, co mogło mnie spotkać.

Gdybym posłuchała Daniela i jechała prosto do domu, nie zatrzymując się na jedzenie… Przed oczyma zjawiło się wspomnienie – dwóch ratowników dźwiga nosze, zakrwawiona ręka opada bezwładnie w dół. Przenoszę wzrok na ofiarę wypadku i widzę własną twarz, po której spływają bordowe strużki krwi.

Coś ścisnęło mi pierś. Ogarnął mnie ten sam rodzaj niepokoju, który zapamiętałam z mrocznego snu. Tamte wspomnienia zamiast blednąć z upływem czasu, wciąż pozostawały żywe – prześladowała mnie wizja własnej śmierci. Coraz częściej rozmyślałam o doczesności, o tym, jaki człowiek jest kruchy. I teraz ten

wypadek. Zaledwie kilkadziesiąt minut dzieliło mój przejazd tym odcinkiem drogi od momentu, kiedy zderzyły się tamte dwa auta. Być może krótki postój na posiłek ocalił mi życie.

Czy na tym polega przeznaczenie?

Czy wystarczy jedna chwila, by uniknąć śmierci lub wpaść w jej ramiona?

Poczułam niemoc, jakbym nie mogła wpływać na swój los; jakby ktoś już zaplanował za mnie życie; jakby to, co miało się zdarzyć, miało nadejść niezależnie ode mnie.

Jak udźwignąć to uczucie? Jak sobie z nim poradzić, by nie popaść w życiową bezsilność?

Brać życie takim, jakie jest – podpowiedziała mi podświadomość. Budzić się co rano i chodzić spać wieczorem. Cieszyć się, gdy jest dobrze, i płakać, gdy jest źle. Marzyć. Rozmyślać. Kochać. Po prostu żyć i akceptować to, co przynosi każdy dzień. Bo nic nie dzieje się bez przyczyny. Wszystko ma swój porządek i czas.

[1] O Fortuno! Niby Księżyc! Nieustannie zmienna! (łac.) Kompozycja Carla Orffa do słów łacińskiego poematu ze zbioru Carmina Burana.

[2] Los zbawienia! Cnót zasługi! Przeciw mnie są teraz! W mej słabości! Albo woli! Wspierały mnie nieraz! (łac.).

Gabriel

To była ciężka noc, a poranek okazał się jeszcze cięższy. Po powrocie z wezwania nie tknąłem śniadania, które przygotowała Semena, tylko wziąłem zimny prysznic, by zmyć z siebie kurz gór Judei. Osiodłałem swojego najszybszego wierzchowca i ruszyłem galopem przed siebie, by wiatr rozwiał wspomnienia, a zapach lasu przyćmił swąd spalonych ciał. To, co stało się z tymi dzieciakami, było makabryczne. Trzech jerozolimskich nastolatków uprowadzonych przez palestyńskie ugrupowanie terrorystyczne, spalonych żywcem w aucie. Piekielne zło, dzieło Wysłanników Iblisa. Nas było trzech Guardianów, Tentatorów zaś sześciu. Nie mieliśmy z nimi szans.

Pognałem przed siebie w głąb lasu, przypominając sobie wcześniejsze wydarzenia z minionych dwóch tygodni. Po tylu latach powinienem się przyzwyczaić do wezwań, które budzą mnie w samym środku czarnej nocy. Zazwyczaj nie mam kłopotu, by w pełni się obudzić i od razu zmaterializować w wyznaczonym miejscu. Tym razem było jednak inaczej. Gdy tylko usłyszałem w głowie głos posłańca: *Podążaj do Gusz Ecjon w okolicach Jerozolimy*, otworzyłem oczy i starałem się wyobrazić sobie to miejsce, by wypełnić swój obowiązek. Jednak jakaś niezrozumiała dla mnie siła trzymała mnie wciąż w szponach snu. Rzadko pamiętam marzenia senne, być może dlatego, że nigdy nie chcę ich pamiętać. Te, które pozostają w mojej głowie, są nasycone rdzawym zapachem krwi, jękami i walką o życie. Tym razem we śnie walczyłem z Marou o życie kobiety, lecz sen ten nie był echem wspomnień. Nigdy nie spotkałem tej kobiety ani ludzi, którzy zebrali się wokół niej. Zamierzała popełnić samobójstwo na pogrzebie swojej córki, chciała rzucić się do grobu. I chociaż ciało córki leżało martwe na dnie, to ona sama stała żywa naprzeciwko mnie. Ciemnowłosa, o spojrzeniu ciemnozielonych oczu. Coś sprawiało, że nie mogłem oderwać od niej wzroku. Dostrzegła mnie, przemówiła do mnie, co fizycznie nie powinno w ogóle się wydarzyć. A jednak nie mogłem zrozumieć, dlaczego wydawało mi się to wówczas czymś naturalnym. Przecież ona nie miała prawa mnie widzieć.

Dziwny sen. Jednakże – jak się później okazało – znaczący.

Wyjechałem z Parku Jodłowego i pognałem przez zaorane pole. Zapach ziemi, szum wiatru, chłód na twarzy – to najlepszy sposób, by odrzucić od siebie niechciane obrazy. Nie wiem, jak długo jeździłem tak bez celu, gdy wreszcie poczułem głód.

– Wracamy do domu, Azymut. – Ściągnąłem lejce i wróciłem do dworu. – Czeka mnie dzisiaj dużo pracy.

Praca jest tym, co pozwala mi zapomnieć.

Dzień mijał mi aktywnie – oporządziłem stajnię, sprzedałem akcje jednej ze spółek giełdowych, opłaciłem rachunki. Wieczorem poczułem zmęczenie. Posłaniec nie dał mi jednak wolnego. Miałem nadzieję, że po minionej, intensywnej nocy będę mógł usiąść w towarzystwie Adzira i rozegrać partyjkę szachów albo w spokoju obejrzeć mecz polo. Nie jestem szczególnie otwarty na nowinki techniczne, lecz telewizor uważam za nietuzinkowy wynalazek ludzkości. Jeszcze muszę się tylko przekonać do telefonów komórkowych. Tatiana nie daje mi spokoju w tym temacie. Rozważam, czy powinienem się decydować na tego typu narzędzie. Uważam, że listy i rozmowa twarzą w twarz są najlepszą i najskuteczniejszą formą komunikacji międzyludzkiej. Nic nie zastąpi wyrazu oczu, mimiki, ściągniętych brwi, charakteru pisma. Tatiana twierdzi, że można je zastąpić videorozmową. A gdzie dotyk, zapach, skupienie? To przecież one w głównej mierze sprzyjają wzajemnemu porozumiewaniu się. Ciągle słyszę od Tatiany, że powinienem częściej się aktualizować, jak jakiś cholerny komputer.

– Gabrielu, to, że jeszcze dziewięćdziesiąt lat temu nie było takich możliwości, nie oznacza, że nie należy z nich teraz korzystać – rozprawiała średnio co pół roku. – Przełam się wreszcie. Zobaczysz, to ci tylko wyjedzie na dobre.

– Nie sądzę.

– A z komputera korzystasz. I ci się przydaje. – Złapała się za boki.

– Do pracy. Nie do komunikacji z ludźmi.

– Jakąś dziewczynę może byś spróbował poznać. Są takie portale dla samotnych…

– Wystarczy – przerwałem jej i wstałem od biurka. – Skoro do tej pory jeszcze jej nie spotkałem, wątpię, by nagle wyskoczyła z jakiegoś portalu dla samotnych.

I tak najczęściej kończyły się nasze rozmowy o nowinkach technologicznych i dziewczynach. Dobrze chociaż, że miałem poparcie Semeny.

Gdy w zeszłym tygodniu zakupiłem dla niej zioła w Mokrych, w drodze powrotnej do domu usłyszałem w głowie głos Posłańca: *Podążaj do Starego Lasu*. Tętno mi przyśpieszyło. Rzadko kiedy dostawałem wezwania do miejsca, w którym sam mieszkałem, tym bardziej że mieścina, do której się ostatnio przeprowadziłem, jest tak mała. Takie sytuacje zdarzały się podczas wojen, kiedy wokół grasowała wszechobecna śmierć, ale nigdy w czasie pokoju. Przymknąłem powieki i ujrzałem znajomą ulicę. Nieraz ją przemierzałem. Znajdowała się niespełna cztery kilometry od miejsca, w którym aktualnie się znajdowałem. Postanowiłem nie materializować się tym razem w wyznaczonym miejscu, by nie wracać później po auto. Przycisnąłem pedał gazu, przyswoiłem w mgnieniu oka wszystkie fakty na temat kobiety, którą miałem spotkać, i w zaledwie kilka minut dotarłem do celu.

O kilka minut za późno.

Wysiadłem z auta i doszedłem do ofiary. Starsza kobieta, z psem, człapała powolnie chodnikiem, trzymając się kurczowo za serce.

Była już bez szans. Ja byłem bez szans. Marou dotarł na miejsce przede mną, już zdążył ją przekabacić. Poczułem gniew, że nie zdecydowałem się jednak na przeniesienie w przestrzeni.

– Jesteś nikim. – Marou szedł za nią krok w krok, sycząc jej do ucha. – Jesteś bezwartościową staruchą, za którą nikt nie zapłacze, której nikt nie kocha.

Starałem się, jak mogłem, by odwrócić jej uwagę od jego słów:

– Masz synów…

– Którzy cię nie kochają – wtrącił Marou.

– Kochają na swój sposób. Powinnaś się z nimi zobaczyć. Oni tęsknią, choć boją się do tego przyznać. Pora zagoić stare rany.

– Wiesz, że to nie prawda. Uciekli od ciebie, bo ich tłamsiłaś. Jesteś podłą kobietą i nikt nie będzie chciał z tobą żyć. Nawet ten kundel ucieknie, gdy tylko poczuje nadchodzącą śmierć. – Wskazał na labradora, idącego przy nodze swojej pani.

Zaprzeczyłem, choć w głębi serca poczułem, że to nic nie da, że jej dusza już wybrała drogę, jaką chce podążać. Została skuszona. Mimo to namawiałem ją do walki, uświadamiałem jej, że ma dla kogo i po co żyć. Lecz ona wolała się poddać. Posłuchać Marou. I gdy już byłem przekonany, że to koniec, że przegrałem kolejną bitwę o ludzkie życie, zjawiła się ta dziewczyna.

Tamtego wieczoru wróciłem późno do domu. Zgasiłem silnik auta. Dłuższą chwilę zbierałem się, żeby wysiąść. Myśli kotłowały mi się w głowie.

Wszedłem ciężkim krokiem do korytarza, powiesiłem płaszcz i zostawiłem Semenie zioła na stole w kuchni. Na kuchence stał garnek z gulaszem do odgrzania, w zlewie piętrzyły się naczynia po kolacji reszty domowników, jednak ja nie byłem głodny, chociaż nie jadłem od południa. Udałem się do gabinetu. Gdy tylko otworzyłem drzwi, przywitał mnie zapach starych ksiąg i skóry. Nie lubiłem zmian, moje meble były wiekowe i solidne. Nie to co współczesne twory z płyty, rozpadające się po roku użytkowania. Kiedyś stolarze tworzyli solidne komody, krzesła, stoły – ciężkie, z litego drewna, mające starczać na całe życie. Moje służą mi już od ponad wieku. Zabieram je ze sobą przy każdej przeprowadzce, dają mi namiastkę stabilizacji, podczas gdy wszystko wokół zmienia się jak w kalejdoskopie. Tylko w ciągu ostatnich osiemnastu lat wynaleziono samochód hybrydowy, YouTube czy pigułkę z kamerą do badania żołądka. W poprzednim stuleciu zaś telewizor, lodówkę, samolot, śmigłowiec, bombę atomową, laser, komputer, klonowanie zwierząt… Czasami odnoszę wrażenie, że przez wcześniejsze trzysta lat mojego życia nie powstawało nic. Ta eksplozja nowinek technologicznych potrafi przytłoczyć, gdy pamięta się jeszcze czasy, w których zamiast papieru toaletowego używało się skrawków szmat lub liści, siedemnastu lat dożywał co trzeci człowiek, a kąpiel uznawano za szkodliwą.

Zdjąłem z półki pięć ksiąg z żywotów Guardianów, w których spodziewałem się znaleźć odpowiedź na nurtujące mnie pytanie. Położyłem je na biurku i usiadłem w fotelu. Księgi te zawierały spis najbardziej nieprawdopodobnych zdarzeń, jakie zaistniały w Świecie Guardianów na przestrzeni ponad czterech tysięcy lat. Początkowo były to swego rodzaju legendy przekazywane z ust do ust, które później utrwalano za pomocą pisma klinowego, charakteryzującego się tym, że każdej grupie liter odpowiadały konkretne znaki. Wykuwano je albo w kamieniu, albo wygniatano w glinie, a następnie wypalano. W późniejszych okresach przepisywano i uzupełniano zapiski, korzystając z papirusów, wyrabianych z rośliny papirus; po nich pojawił się pergamin – czyli skóra zwierzęca, najczęściej barania, cielęca i kozia. Dzięki Guardianom z Chin udało się stopniowo przenosić legendy na wynaleziony tam papier. Dopiero w tysięcznym roku materiał ten dotarł do Europy, wówczas zaczęto sukcesywnie spisywać najbardziej niezwykłe przypadki z życia Guardianów.

Spojrzałem na pięć opasłych tomów i przesunąłem dłońmi po twarzy. Miałem przed sobą długą, intensywną noc. Musiałem dociec, dlaczego byłem widzialny dla tamtej dziewczyny. Czy miało to związek z moim wcześniejszym snem? Początkowo – gdy ją ujrzałem – myślałem, że to Tentatorka, która kusi mnie i odciąga moją uwagę od starej kobiety. Miała w sobie nieodparty urok. Zazwyczaj wyczuwałem tentatorski swąd na odległość. Żadne ilości cedrowych smarowideł i perfum nigdy mnie nie zmyliły. Tym razem jednak nawet minimalnie nie czułem siarkowodoru. Początkowo sądziłem, że mój Kontr Marou przyjął na naukę uczennicę, która dopiero co została wybrana do nowej roli. Byłem przekonany, że zabawiają się kosztem umierającej kobiety, bo innej przyczyny, dla której uczennica wezwała pogotowie, nie dostrzegałem. Marou zarzekał się jednak na Iblisa, że to zwykła śmiertelniczka, że widzi ją po raz pierwszy, że jest równie zaskoczony, co ja. I takie sprawiał wrażenie. Ale ja już nie raz byłem świadkiem, kiedy przybierał różne maski, usypiając moją czujność, po czym zagarniał duszę walczącego o życie człowieka.

W ciągu kolejnych czterech godzin przewertowałem wszystkie spisy zagadnień i pojęć umieszczone na tyłach każdej księgi, lecz w żadnej nie natrafiłem na pojęcie widzialności Guardiana przez śmiertelnika. Jak to możliwe, że w ciągu tylu tysięcy lat nic podobnego się nie wydarzyło? Rozsiadłem się wygodniej w fotelu. Twarz dziewczyny stała mi przed oczami jak żywa. To musiała być Tentatorka. Nie było innego, racjonalnego wytłumaczenia. Dałem się oszukać. Poczułem napływającą złość na Marou, jego piekielną uczennicę i samego siebie. Wstałem od biurka i zacząłem krążyć po gabinecie. Ponownie analizowałem tamtą sytuację. Dziewczyna wydawała się szczerze zdezorientowana. Co więcej, wyglądało na to, że uratowała tamtej kobiecie życie. Po wszystkim obserwowałem ją z ciemnego zaułka uliczki. Na własne oczy widziałem, jak okrywa Nowakową kurtką, układa jej głowę na swoich kolanach. Marou już przy niej nie było. Odpuścił? A może został zwolniony z tego zadania i jego rolę przejęła uczennica? Albo los staruszki był już z góry przesądzony?

Nie mogłem przestać o tym myśleć. Nie mogłem wyrzucić z głowy tej dziewczyny. I dlaczego w ogóle zdecydowałem się zawrócić i zobaczyć ją jeszcze raz z bliska? Musiałem paść ofiarą jej tentatorskiego kuszenia. Nie było innego wytłumaczenia.

Tatiana nawlekła nitkę na igłę i zawiązała na jej końcu supełek.

– I co, tym razem Marou też zjawił się z tą uczennicą? – zapytała i zaczęła cerować męską skarpetkę.

– Nie. Był sam – odparłem, siadając z kubkiem kawy obok niej przy kuchennym stole.

Od dwóch tygodni słabo sypiałem i musiałem wspomagać się kofeiną. Może to przez ostanie wezwanie. Ofiarą był czternastolatek, walczył o życie do samego końca w pożarze. Myślałem, że uda się go uratować, Marou zadał jednak cios poniżej pasa. „Czy wiesz, że żadna dziewczyna nie spojrzy na takiego brzydala jak ty? Nawet jeśli przeżyjesz, twoja poparzona twarz będzie przypominać wymiętą szmatę. Będziesz odstraszał wszystkich swoim wyglądem. Dziewczyny będą się ciebie bać, zaczną cię unikać, patrzeć na ciebie z obrzydzeniem. Żadna się z tobą nie prześpi. Skończyłeś piętnaście lat i nigdy nie przekonasz się, jak to jest mieć prawdziwą dziewczynę. Co najwyżej, będziesz mógł skorzystać z usług prostytutek z chlamydią, by poczuć się mężczyzną. Czy na pewno chcesz dla siebie takiej przyszłości – przepełnionej samotnością, drwinami, krzywymi spojrzeniami?”.

Żaden z moich argumentów nie działał – że rodzice go kochają, że będzie miał przed sobą całe życie, że może i wyjdzie z pożaru z poparzeniami, ale chirurgia i plastyka w obecnych czasach potrafią zdziałać cuda. Trzeba tylko dać sobie szansę. Marou uderzył jednak w najczulszy punkt. Myśli chłopaków w tym wieku krążą przede wszystkim wokół seksu. Marou przedstawił mu najczarniejszą wizję przyszłości, jaką może wyobrazić sobie nastolatek. Poskutkowało, dzieciak się poddał.

Po tym zdarzeniu, ze swego rodzaju ulgą, przyjąłem kolejne zgłoszenie. Wypadki drogowe mają to do siebie, że często zbierają żniwo nie tylko wśród ofiar samej kraksy, ale i innych, nieuważnych kierowców. Już kilkanaście razy otrzymywałem tego typu zlecenia. Z doświadczenia wiedziałem, że zadanie będzie proste, chociaż wymagające ciągłego skupienia. Miałem chronić kierowców, którzy mijali miejsce wypadku. Wszystko przebiegało spokojnie, bez większych problemów, i gdy karetka pogotowia zabierała już do szpitala chłopaka, a policja rozpoczynała procedury porządkowe na jezdni, zobaczyłem, jak z naprzeciwka zbliża się powoli kolejne auto. Nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem. W środku siedziała dziewczyna. To była ona, rozpoznałem ją od razu. Oczy miała szeroko otwarte, jakby ujrzała ducha. Przemówiłem do niej w myślach i z wyrazu jej twarzy wyczytałem, że nie tylko mnie

słyszy, ale i widzi. Po chwili wzrok dziewczyny stał się jednak nieobecny, a auto przyśpieszyło. Domyśliłem się, że to sprawka Marou. W chwili, gdy mnie mijała, ozwałem się do niej ponownie, nakazując opanowanie. Posłuchała mnie, auto na powrót zwolniło i równomiernym tempem podążyło szosą w stronę Starego Lasu.

To było cztery godziny temu, a ja wciąż mam przed oczami jej twarz. Dzisiaj zyskałem pewność, że nie jest Tentatorką, lecz zwyczajnym człowiekiem. Nie mogłem jednak pojąć, dlaczego byłem dla niej widoczny w sytuacjach, kiedy działał dar niewidzialności. Żaden śmiertelnik nie powinien mnie wówczas dostrzegać. Musiałem dowiedzieć się o tej dziewczynie jak najwięcej. A żeby to zrobić, postanowiłem wkroczyć do jej świata.

Larysa

Przez kolejny tydzień mroczne myśli spędzały mi sen z powiek, a moje szkolne życie upływało pod znakiem uporczywych sprawdzianów i odpytywań.

W poniedziałek powtarzaliśmy materiał z geografii z ostatnich trzech miesięcy. Supernowa, czyli nauczycielka od tego przedmiotu, po raz kolejny potwierdziła, że w pełni zasługuje na swoje miano, stawiając oceny z kosmosu. Ku uciesze całej klasy były to tym razem same piątki i szóstki, które zaroiły się jak mrówki na pokratkowanej płachcie dziennika.

We wtorek Książę Karol, czyli sztywny jak karton brystolu nauczyciel angielskiego, zafundował nam test z gramatyki ze wszystkich czasów. To był koszmar. Większość z nas uważała, że nawet rodowity Brytyjczyk rzadko kiedy stosuje czas przeszły uprzedni ciągły, więc czemu, do licha, licealista z Polski ma go umieć?!

W środę nastąpiło apogeum. Sędziwa nauczycielka od fizyki zrobiła niezapowiedzianą klasówkę. Na nic się zdały lamenty i błagania, fizyca była nieugięta.

Wraz z końcem lekcji rozbrzmiały na korytarzu zbolałe jęki trzeciej B.

– Jak nic dostanę pałę – zagadnął Paweł w drodze do szatni. – A tobie jak poszło?

– Niby coś napisałam, ale kiepsko to widzę – odparłam.

– A ile ci wyszła zdolność skupiająca zwierciadła? – Przytrzymał drzwi.

– Hmm… – Przywołałam w pamięci pokreśloną stronę klasówki. – Z tego, co pamiętam, to chyba dwanaście dioptrii.

– Mnie też! – wykrzyknął podekscytowany. – Może chociaż dwóję dostanę.

– Na pewno zaliczysz. – Chciałam zakończyć temat, by nie prowokować Pawła do dalszej rozmowy.

Chłopak nie odstępował mnie jednak na krok i rozgadał się barwnie na temat pracy domowej z matmy. Gdy zamilkł na chwilę i spojrzał na mnie swymi psimi oczami, domyśliłam się, jaki będzie kolejny wątek rozmowy.

– Słuchaj, Laryso… – zaczął nieporadnie. – Już mówiłaś to kilka razy, ale chciałem się upewnić, czy nadal uważasz, że nie jestem w twoim typie.

Stęknęłam.

– Paweł, przecież rozmawialiśmy o tym trzy miesiące temu.

– No tak… – Sposępniał. – Pomyślałem, że może zmieniłaś zdanie. – Popatrzył na mnie jak szczeniak proszący o kość.

Zatrzymałam się i zajrzałam w jego ciemnobrązowe oczy. Były pełne nadziei i chłopięcego wdzięku. Poczułam litość i zaczęłam tłumaczyć mu jak dziecku:

– Paweł, wiesz, że cię lubię. Jesteś naprawdę wspaniałym kolegą, Ale proszę, nie oczekuj ode mnie czegoś więcej, bo nie mogę ci tego dać. Moje uczucia do ciebie nigdy nie będą takie, jak byś chciał.

Spuścił głowę i zaczął wiercić butem dziurę w podłodze.

– Tak tylko chciałem się upewnić. Bo wiesz, za dwa miesiące jest studniówka i tak sobie pomyślałem, czy nie miałabyś ochoty ze mną pójść.

Studniówka – impreza, o której nie chciałam słyszeć i myśleć. Paweł był uroczym i oddanym kumplem, ale jeśli już miałabym z kimś pójść, to z kimś wyjątkowym. Niestety na horyzoncie nie było widać potencjalnych wyjątkowych facetów. Chyba że sobotnia randka z Danielem okazałaby się miłym zaskoczeniem.

Nie zamierzałam zwodzić Pawła. Byłam niemal pewna, że jeśli tylko usłyszy ode mnie pozytywną odpowiedź, to rozbudzi ona w nim nadzieję na coś więcej. A ja nie chciałam złamać mu serca.

– Słuchaj, dziękuję ci bardzo za zaproszenie. Naprawdę miło z twojej strony, że chcesz spędzić ze mną ten wyjątkowy wieczór. Myślę, że niejedna dziewczyna chciałaby…

– Czyli nie? – przerwał mi w połowie zdania, wybijając mnie z toku myślowego. – Okej! Rozumiem! Nie jestem głupi! – zaczął podniesionym głosem. – Wiem, co chcesz mi powiedzieć. Cały czas mi to powtarzasz: „Paweł, jesteś superkolesiem, bardzo cię lubię, ale nic z tego nie będzie”. Zgadza się. Już to przerabialiśmy, ale ja musiałem jeszcze raz spróbować. I wiesz co?

Zrobiłam wielkie oczy, słysząc jego wzburzenie. Zawsze był taki spokojny i potulny.

– Będę dalej próbował, aż w końcu się zgodzisz – oznajmił i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Och… – jęknęłam i ruszyłam w stronę szatni. – A możesz mi powiedzieć

dlaczego?

– Co dlaczego? – spytał podekscytowany, dotrzymując mi kroku.

– Dlaczego będziesz dalej próbował?

– Bo chcę, żebyś została moją dziewczyną.

– Domyślam się, ale dlaczego? Czemu chcesz, żebym była twoją dziewczyną? Dlaczego ja, a nie inna?

Spojrzał na mnie, jakbym zadała mu pytanie po mandaryńsku, po czym prychnął.

– Bo mi się podobasz.

– A co konkretnie ci się we mnie podoba?

– Cóż… – Podrapał się po brodzie. – Nigdy nie rozkładałem tego na czynniki. Po prostu uważam, że jesteś ładna i fajna.

– A, ładna i fajna. Połowa dziewczyn w tej szkole jest ładna i fajna.

– I dobrze się z tobą gada. Masz ciekawe opinie na różne tematy…

Parsknęłam śmiechem.

– Paweł, przecież w ciągu trzech lat rozmawialiśmy na poważnie może z dziesięć razy. Poza tym nie wiem, czy pamiętasz, że większość tych rozmów toczyła się wokół tego samego pytania, czy się z tobą umówię. – Spojrzałam na niego wymownie. – Powiedz mi szczerze, dlaczego chcesz ze mną chodzić?

Westchnął ciężko i puścił mnie przodem do szatni.

– Sam nie wiem. Po prostu spodobałaś mi się w pierwszej klasie, a że od razu dałaś mi kosza, to przyjąłem sobie za punkt honoru, że zostaniesz moją dziewczyną.

– I tym kierowałeś się przez te trzy lata? Urażoną ambicją?

Paweł wzruszył ramionami.

– Nigdy tak na to nie patrzyłem.

– To lepiej spójrz – odparłam twardo.

Podeszłam do swojej szafki. Wyciągnęłam z torby pęk kluczy i ledwie zdążyłam otworzyć kłódkę, gdy Paweł zwrócił się do mnie milutkim głosem:

– Idziesz do domu?

Jęknęłam w duchu.

– Tak, a co? – Otworzyłam skrzypiące drzwiczki.

– Tak tylko pytam. Idę w twoją stronę, więc mogę cię odprowadzić – zaproponował niby od niechcenia.

– Znowu zaczynasz? Przecież mieszkasz po przeciwnej stronie Lasu.

– Tak, ale…

– Paweł, nie trać na mnie czasu. Lepiej idź do domu zakuwać, bo jutro może być niezła masakra. Na razie.

Zarzuciłam na siebie skórzaną kurtkę i zatrzasnęłam szafkę.

Niespełna dwadzieścia cztery godziny później przeklęłam wypowiedziane przez siebie słowa, które najwyraźniej posiadały moc sprawczą. Trzy klasówki z rzędu to było stanowcze przegięcie i ewidentne nadużycie władzy nauczycielskiej.

Jak tak można? To nieludzkie. I jeszcze ten piekielny wuef na zerówce! Myślałam, że skonam na pierwszej lekcji. Ten, kto ułożył taki kreatywny plan, miał albo ułańską fantazję, albo ślepą wiarę we współczesną młodzież. Nie przewidział z pewnością, jak straszna jest pobudka o szóstej rano, gdy na zewnątrz jeszcze trwa noc, a czat z przyjaciółką zakończył się o drugiej. Ale sama sobie byłam winna. Zuzka przynamniej miała święta, nie musiała więc wypruwać sobie żył, grając w kosza, i męczyć się nieludzko podczas pisania trzech klasówek.

Test z matmy poszedł mi gładko i to był jedyny pozytywny efekt dzisiejszych sprawdzianów. Dwugodzinne wypracowanie z języka polskiego na temat: „Motyw szatana w powieści Michaiła Bułhakowa *Mistrz i Małgorzata*” rozmiękczyło mi mózg tak znacząco, że na następnej lekcji byłam skołowana jak szczur doświadczalny. Lekcja historii stała się zatem drogą przez mękę. Zostało dziesięć minut do końca testu, a ja wpatrywałam się tępo w arkusz odpowiedzi. Wszystkie pytania zamknięte miałam już rozwiązane, pozostała tylko odpowiedź na otwarte pytanie: „Piekło początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku – wymień konsekwencje wprowadzenia stanu wojennego w Polsce”.

– Boże… – stęknęłam pod nosem.

Przeczytałam polecenie po raz drugi i zamiast skupić się na odpowiedzi, zaczęłam błądzić myślami po ciemnych zakamarkach umysłu. Kolejne wypracowanie z diabelskim motywem w tle…

„Najpoważniejszymi skutkami wprowadzenia stanu wojennego były liczne represje ludności, narastający kryzys gospodarczy oraz odizolowanie Polski od reszty świata. Sytuacja ta…” – zaczęłam pisać.

– Lara – dobiegł mnie z tyłu szept. Odwróciłam konspiracyjnie głowę. Dwie ławki za mną siedział Paweł i wychylał się w moją stronę.

– Myślałem o tym, co powiedziałaś mi wczoraj…

Czy on zgłupiał do reszty? Zerknęłam na niego wymownie.

– Nie teraz.

– Co? – zapytał głośniej.

– Później mi powiesz. – Machnęłam na niego ręką.

– Wrona i Kubus, proszę o ciszę – mruknęła historyca, zerkając znad okularów.

– Przepraszam – odparliśmy niemal równocześnie.

Pochyliłam się nad kartką i przeczytałam to, co napisałam do tej pory.

„…spowodowała, że Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej skutecznie pacyfikowały kolejne strajki, które…”

– Lara – znów dobiegł mnie ten sam szept.

Niech go!

Nie! Nie odwrócę się. Udam, że nie słyszę.

– Laaara. Lara!

– No, co? – Odwróciłam głowę.

– Chyba miałaś rację…

– Nie teraz – syknęłam. – Później pogadamy – wycedziłam przez zęby.

– Tylko odpowiedz, dlaczego…

– Dosyć tego! – wrzasnęła Wagnerowa, wstając gwałtownie zza biurka. – Ty i ty do pani dyrektor! – Wskazała na mnie i Pawła długim pazurem, po czym podeszła do drzwi. – Wiecie, że nie toleruję ściągania.

– Ale my nie ściągaliśmy! – zawołaliśmy zgodnie. Przynajmniej w tym się zgadzaliśmy.

– I tu macie rację. Wy oszukiwaliście! To karygodne. W niektórych krajach wyrzuca się za to ze szkoły.

Spojrzeliśmy po sobie. Wagnerowa stanowczo nie należała do tych zrównoważonych i wyluzowanych nauczycieli. Trzeba było przyznać, że dobrze uczyła, ale miała świra na punkcie posłuszeństwa i moralności, a za byle przewinienie wysyłała uczniów na dywanik.

– Ale my nic złego nie zrobiliśmy – zapewniłam.

– Przecież słyszałam, jak rozmawialiście. Dopuściliście się oszustwa i musi spotkać was stosowna kara.

– Nikogo nie oszukaliśmy – zarzekał się Paweł z miną niewiniątka.

– Jak to nie? Chcieliście oszukać mnie! – wykrzyknęła wzburzona, wskazując kciukiem na swoją pierś. – Nie macie pojęcia o etyce, tym bardziej należy wam się porządna nauczka. Proszę natychmiast ze mną do gabinetu pani dyrektor.

– Pani profesor – wyjąknęłam.

– Bez dyskusji – odparła szorstko, otwierając na oścież drzwi na korytarz.

To jędza. Nie dała nam nawet szansy, żeby się wytłumaczyć. Przeklęłam ją w duchu i wyszłam z ławki.

– Stop! – krzyknęła nagle, unosząc rękę. – Natalio, proszę zebrać wszystkie prace.

– Ale pani profesor, zostało siedem minut do końca testu. Jeszcze nie skończyliśmy – odezwały się protestujące głosy uczniów.

– Nic mnie to nie obchodzi – warknęła. – Podziękujcie Kubus i Wronie. Niech to będzie ostrzeżenie dla wszystkich. Ściąganie jest karalne w tej szkole – oznajmiła patetycznie, unosząc niczym mędrzec palec ku górze.

– Ale co to za zbiorowa odpowiedzialność? – zapytał Adam. – Czemu mamy pokutować za ich grzechy? To ewidentnie wina Pawła i Larysy. To oni ściągali, a nie my – dodał, marszcząc krzaczaste, czarne brwi.

– No właśnie. To ich wina – zawtórowała Natalia, patrząc na mnie zawistnym wzrokiem.

– Bez dyskusji – odparła Wagnerowa. – Natalio, proszę natychmiast zebrać prace.

Blond piękność zadarła nos do góry i wstała z gracją.

– Pomóż mi – nakazała Edycie, siedzącej obok niej.

Natalia była typem szkolnej gwiazdy uwielbianej przez nauczycieli i męską część społeczności. Swoją popularność zdobyła dzięki wazelinie, przebiegłości i anielskiej urodzie. Mało kto mógł oprzeć się jej dużym, niebieskim oczom, śniadej, gładkiej cerze oraz długim, jasnym włosom. Pod tą piękną powłoką kryła się jednak nieszczerość i obłuda. Jej pomagierka, Edyta, była kiedyś sympatyczną, drobną brunetką, ale chcąc upodobnić się do przyjaciółki, stała się, tak jak ona, niemiłą blondyną.

Ku niezadowoleniu całej klasy obie uwijały się jak w ukropie i w kilkanaście sekund zebrały wszystkie prace.

– Proszę bardzo, pani profesor. – Natalia podała nauczycielce stos kartek i dziewczęco dygnęła.

– Dziękuję, Natko, jesteś wzorem cnót – odparła Wagnerowa, po czym wyszła na

korytarz.

Nie wytrzymałam i parsknęłam pod nosem, co nie uszło uwadze Natalii.

– Gdybym była tobą, to nie byłoby mi do śmiechu, Laryso – powiedziała, unosząc wyniośle głowę.

– Na moje szczęście nie jesteś mną – odparłam i wyszłam.

Historyca wystrzeliła jak z procy na korytarz. Jej nerwowe kroki odbijały się głucho od podłogi wyłożonej sczerniałym parkietem, z którego gdzieniegdzie odpadały klepki. Razem z Pawłem podążaliśmy kilka metrów za nią. Moja szkoła nie była nowa, a ostatni remont jej mury widziały ze trzydzieści lat temu. Dolną część ścian zdobiła starodawna łososiowa lamperia, a w górnej, pomalowanej na zielono, wisiały liczne dyplomy, wyróżnienia i informacje prasowe na temat osiągnięć I Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Leszczyńskiego w Starym Lesie. Wyszliśmy z korytarza do jasnego holu. Na jego środku stał posąg jeźdźca na koniu. Na wprost, przez przeszkloną ścianę, przy której stały rośliny doniczkowe, można było dostrzec dziedziniec, a po lewej stronie znajdowały się drzwi do pokojów nauczycielskiego, dyrekcji, pedagoga i sekretariatu.

Pomimo tego, że byłam przekonana o swojej niewinności, poczułam nieprzyjemny ucisk w żołądku. Podeszliśmy powoli pod drzwi Sempolskiej, przy których stała już Wagnerowa.

– Poczekajcie tu – burknęła i zapukała w brązową okleinę.

Przytłumiony żeński śmiech rozległ się za ścianą.

– Proszę! – zawołała dyrektorka.

Wagnerowa nacisnęła na klamkę i uchyliła nieśmiało drzwi. Już nie była taka dziarska jak kilka minut temu, wręcz przeciwnie, wyglądała raczej jak zlękniona mysz.

– Och! – zawahała się, po czym wsunęła niepewnie głowę do środka. – Pani dyrektor ma gościa – powiedziała zdziwionym głosem i zaczęła się miotać, mrucząc coś pod nosem. – Najmocniej przepraszam. Może przyjdę później?

– Nie, nie, proszę bardzo, pani Wagner – dobiegł głos Sempolskiej zza drzwi. – Czy coś się stało?

– Nie wiem, czy przy tym panu mogę mówić. Bo tu chodzi o uczniów.

– Śmiało. Proszę mówić. Pan Gabriel jest przyjacielem naszej szkoły.

Głos Sempolskiej, zazwyczaj szorstki jak papier ścierny, brzmiał teraz nad wyraz

przyjaźnie.

– Pani dyrektor, ponownie nalegam, proszę mówić mi po imieniu – odezwał się niski, męski głos. – Jestem niewiele starszy od pani uczniów.

Ten głos, wydał mi się znajomy.

– Oczywiście, Gabrielu – odparła i zwróciła się do historyczki: – Pani Wagner, o co chodzi?

Nauczycielka dała mały krok w przód.

– Pani dyrektor, naruszono jeden z paragrafów regulaminu szkoły.

Dyrektorka ciężko westchnęła.

– Chyba się nawet domyślam jaki. Znów ściąganie?

– Tak, na klasówce, dwoje uczniów…

– Dobrze, dobrze. Kogo tam pani chowa za plecami? – przerwała jej w pół zdania Sempolska.

– Larysę Kubus i Pawła Wronę.

– Kubus? – spytała ze zdziwieniem dyrektorka. – Naszą bohaterkę? Niech ich tu pani wprowadzi, a sama wraca do klasy.

– Dobrze, pani dyrektor. – Nauczycielka machnęła na nas ręką. – Chodźcie tu szybko! Doigraliście się. Pani dyrektor chce z wami mówić.

Podeszliśmy bliżej.

– To ja idę, pani dyrektor – powiedziała, zostawiając nas w progu gabinetu.

Weszliśmy do środka z nietęgimi minami. Na wprost wejścia stało biurko, za którym siedziała Sempolska. Jej pulchne policzki pokrywał róż, na bulwiastym nosie opierały się okulary.

– Podejdźcie bliżej – zachęciła.

Spełniliśmy jej polecenie. Rozejrzałam się wokół. Za plecami dyrektorki stały drewniane regały, których półki uginały się pod ciężarem pucharów i medali. Tuż obok rósł rozłożysty fikus, a pod nim ustawiono mały, skórzany fotelik. Przesunęłam wzrok w stronę okna i ujrzałam mężczyznę stojącego do nas tyłem. Od razu rozpoznałam go po sylwetce i włosach. Serce zaczęło mi walić jak młotem, dłonie zwilżył pot. Pasma brunatnych włosów Nieznajomego mieniły się w promieniach jesiennego słońca, stalowo-szary golf opinał ramiona, a proste, czarne spodnie z grubego sztruksu podkreślały długość nóg.

Stałam nieruchomo, wpatrując się w jego postać.

– Mówcie, co nabroiliście – dyrektorka zwróciła się do nas jak do pięcioletnich szkrabów.

– Nic a nic, pani dyrektor – powiedział Paweł. – Pani Wagner źle nas zrozumiała – oświadczył, podczas gdy ja stałam jak zahipnotyzowana, gapiąc się na mężczyznę.

– Czyli nie ściągaliście podczas klasówki?

– Oczywiście, że nie – odparł bez wahania. – My tylko rozmawialiśmy o naszym związku…

Jego słowa momentalnie mnie ocuciły.

– Co? – zdążyłam się odezwać i wtedy Nieznajomy odwrócił się do nas przodem. Nasze spojrzenia się spotkały. Wstrzymałam oddech. Odniosłam wrażenie, że wygląda nieco inaczej, niż zapamiętałam. Mniej złowieszczo i groźnie, jego rysy twarzy w świetle dziennym wydały mi się znacznie łagodniejsze, bardziej szlachetne.

Szczątki rozmów Pawła i Sempolskiej dobiegały do moich uszu, podczas gdy ja stałam jak figura wystrugana z drewna. Nie wiem, ile czasu wytrzymałam spojrzenie mężczyzny, póki w końcu nie przeniósł wzroku na Sempolską i się nie odezwał:

– Najmocniej przepraszam, pani dyrektor, ale powinienem już iść. Oczywiście, tak jak ustaliliśmy, będziemy w kontakcie. – Podszedł do wieszaka, znajdującego się kilka kroków ode mnie.

– A nie zostaniesz na obiedzie? – Sempolska wstała zza biurka. – Nasza stołówka serwuje wyśmienite posiłki.

Na samą myśl o wygotowanym ryżu i niesłonej potrawce z kurczaka zmarszczyłam nos, co nie uszło uwadze Nieznajomego. Jego usta rozszerzyły się w pełnym uśmiechu, w kącikach oczu pojawiły się wachlarze zmarszczek. Wyglądał tak czarująco i przystojnie, że poczułam łaskotanie w brzuchu.

– Naprawdę dziękuję, pani dyrektor, ale zdecydowanie powinienem już iść. Było mi szalenie miło znów panią widzieć. – Zarzucił na siebie płaszcz. – Do widzenia – pożegnał się, po czym pochwycił moje spojrzenie.

– Do zobaczenia – rzucił w moją stronę i posłał mi półuśmiech.

Kolana ugięły się pode mną.

Jak to do zobaczenia?

Ku niezadowoleniu Wagnerowej sprawa ściągania rozeszła się po kościach. Następna i ostatnia lekcja tego dnia była przyjemnym odpoczynkiem po

wcześniejszych wydarzeniach. Pani od biologii była zdecydowanie najlepiej zorganizowanym nauczycielem, ponieważ już na poprzednich zajęciach wystawiła nam oceny ołówkiem. Dzięki temu dzisiaj mogliśmy obejrzeć film dokumentalny o życiu afrykańskich ptaków. Gdy już miały się wykluć małe pelikaniątka, dostałam SMS od Zuzki:

Miałam już dość. Rano wsiadłam w pociąg do Mokrych. Czekam na ciebie w szatni. Buziaki.

Ostatnie minuty lekcji ciągnęły się jak kolejka na poczcie. Gdy tylko rozległ się dzwonek na przerwę, pobiegłam na dół. Odczekałam swoje w szatniarskim korku i w końcu dotarłam do szafki. Zuza zerknęła wymownie na zegarek.

– Co ci tak długo zeszło? – zapytała.

– Jakbyś nie wiedziała, że o tej porze robi się zator na schodach.

Cmoknęłyśmy się na przywitanie.

– Już myślałam, że zarosnę tu pajęczyną. – Oparła się o sąsiednią szafkę.

– Dlaczego tak szybko wróciłaś, co się stało?

– Od czego by tu zacząć? – westchnęła.

– Może od tego, co dostałaś na Gwiazdkę? – podpowiedziałam, otwierając szafkę.

– Ach! – Klasnęła w dłonie. – Jak zwykle rodzina mojego ojca się postarała i kupiła mi do dupy niepodobne prezenty.

– To znaczy, co takiego strasznego dostałaś? – Wyjęłam kurtkę.

– Dostałam lokówkę. Dasz wiarę? L o k ó w k ę! – Popukała się w czoło. – Co za idiota wymyślił taki prezent? Zapewne to ona.

Zuza mówiła o nowej żonie swojego ojca „ona”. Nigdy nie wypowiedziała na głos jej imienia, a w ich domu zwracała się do niej bezosobowo. Co do prezentu, to tylko ktoś, kto widywał Zuzkę raz do roku, mógł podarować jej przyrząd elektryczny do kręcenia włosów na gorąco. Chociaż „ona” miała zapewne dobre intencje, to obdarowanie Zuzki lokówką było jak zafundowanie pacyfiście karabinu. Przyjaciółka uznawała jedynie perfekcyjnie proste włosy, przeklinając przy tym najmniejszą falę, która śmiała pojawić się na jej głowie.

– Dostałaś coś jeszcze? – zapytałam z nadzieją, że może drugi prezent był bardziej trafiony.

– Dajmy sobie już spokój, okej? – Przewróciła oczami. – Opowiedz lepiej, co u ciebie.

– No powiedz, co takiego jeszcze dostałaś.

– Nic wielkiego – odparła, rysując glanem kółko na posadzce.

– No już… Mówże.

Przyjaciółka utkwiła wzrok w podłodze.

– Ramkę cyfrową.

– No… – Szturchnęłam ją w ramię. – To chyba nieźle, co?

– Ta – prychnęła. – Podepnę sobie do niej cztery genialne fotki: z tobą, Frusikiem, matką i dziadkami. – Wyliczyła na palcach jednej ręki.

– I co w tym złego?

– A to, że nawet nie mam faceta, żeby wyświetlić jego zdjęcie na tej pieprzonej ramce. Niech to diabli! – Zamachnęła się i kopnęła buciorem w metalową szafkę.

Znałam Zuzkę na tyle, by wiedzieć, że rozmowa na ten temat jest skończona. Zastanawiałam się jedynie, gdzie przyjaciółka ukrywa swój smutek, skoro tak rzadko się zwierza i nie płacze. Czy to kopnięcie wystarczyło, żeby rozładować gniew zrodzony z żalu? A może po powrocie do domu rzuci się na łóżko i zacznie samotnie łkać w poduszkę?

Objęłam ją spontanicznie i przytuliłam.

– A tobie co? – burknęła. – Mówiłam, że brak mi faceta, a nie dziewczyny.

– Ale ty jesteś. – Odsunęłam się i zamknęłam szafkę. – Nawet nie można ci okazać sympatii.

Przyjaciółka parsknęła.

– Chcesz mi okazać sympatię? – Uniosła czarne brwi. – Kup mi na Gwiazdkę płytę Paramore albo System of a Down, a będzie to wystarczający dowód twoich uczuć – powiedziała z uśmieszkiem.

Przewróciłam tylko oczami i zapięłam suwak kurtki.

– Czyli mam rozumieć, że wróciłaś wcześniej z powodu tych prezentów? – Owinęłam zieloną apaszkę wokół szyi.

Zuzka zmarszczyła czoło.

– Nie mogłam już znieść ciągłego gderania ojca. On jest jak jakiś pieprzony nietoperz, wszystkiego się czepia. Nie dziwię się matce, że się z nim rozwiodła.

Objęłam Zuzkę ramieniem.

– Dobrze, że wróciłaś – powiedziałam i ruszyłyśmy w stronę wyjścia.

– A co u ciebie? Jak dzisiejsze sprawdziany? – Zuzka założyła czarną czapę na

głowę.

– Matma prosta jak drut, polski wyczerpujący, a historia… – zaczęłam opowiadać jej przebieg dzisiejszych wydarzeń. Wyszłyśmy na zewnątrz i gdy już prawie kończyłam zdawać relację z wizyty u Sempolskiej, przerwał mi dobiegający zza pleców drażniący głos Natalii:

– Zuzanno, czy to wypada tak opuszczać prace semestralne?

Odwróciłyśmy się i spojrzałyśmy na grupkę dziewczyn, na której czele stała blond piękność.

– Natalio? – przedrzeźniła ją ostentacyjnie Zuzka. – Czy to wypada być taką wredną suką?

Chwila konsternacji.

Zuzka miała poważny powód, by nie znosić Natalii. Nie cierpiały się jak pies z kotem, a to z jednej prostej przyczyny. Obu podobał się ten sam chłopak. Patryk, chociaż był bliskim sąsiadem Natalii, nigdy się nią nie interesował, czego szkolna gwiazda nie mogła znieść. Gdy tylko nadarzała się okazja, wpadała do jego mamy z wizytą. A to żeby obdarować ją ciasteczkami, a to żeby pożyczyć szklankę cukru. Tanie chwyty zaczerpnięte z amerykańskich komedii romantycznych nie miały końca, a częstotliwość nieuzasadnionych odwiedzin zwiększała się szczególnie podczas weekendów, kiedy to Patryk wracał do domu. Natalia nie przebierała w środkach, a ponieważ Zuzka nie miała talentu do intryg, to walczyła tym, czym potrafiła najlepiej – ciętym językiem i mocnym charakterem.

Odwróciłyśmy się na pięcie i ruszyłyśmy przez niewielki dziedziniec. Dziewczyny kroczyły za nami, szepcząc coś między sobą. Niemal czułam ich oddechy na plecach. Spojrzałam na spiętą twarz przyjaciółki, która zdawała się toczyć burzliwy dialog wewnętrzny.

I wtedy usłyszałam podekscytowany głos Natalii, która zwróciła się do swojej kliki:

– Ej, zobaczcie tego kolesia za ogrodzeniem.

Spojrzałam za siatkę boiska szkolnego i stanęłam jak wryta. Szturchnęłam Zuzę porozumiewawczo łokciem.

Zmrużyła oczy, patrząc w tym samym kierunku co ja.

– Ożeż ty! To on?! – spytała głośno na widok opierającego się o alfę mężczyznę.

Zbyt głośno.

– Znacie go? – Natalia podeszła bliżej nas.

W tym samym momencie Nieznajomy ruszył w stronę bramy. Śmiałym krokiem minął ogrodzenie i wszedł na teren szkoły. Nie mogłam oderwać od niego wzroku i chyba nie tylko ja.

– O cholerka, jaki przystojniak – odezwała się jedna z dziewczyn.

– Cicho, głupia, bo cię usłyszy – zgromiła ją Natalia. – Pewnie wpadłam mu w oko. Idzie tu. Edzia, jak wyglądam? – Poprawiła włosy.

Spojrzałyśmy na siebie z Zuzką i nagle poczułam, jak drga mi lewa powieka. Moje reaktywne ciało zaczęło świrować. Dłonie oblał mi pot, wewnętrzny głos rozsądku został zagłuszony przez łomot serca, które zamierzało wyskoczyć z piersi i rzucić się do ucieczki. Lecz było już za późno na dezercję. Nieznajomy stanął naprzeciw nas i spojrzał wprost na mnie. Był wysoki, dobrze zbudowany. Jego twarz wydawała się skupiona, a szare oczy zaintrygowane. Nieoczekiwanie poczułam szarpnięcie. To Natalia odepchnęła mnie na bok i wyszła na pierwszy plan.

– Hej, jestem Natalia, ale możesz mi mówić Natka. – Wyciągnęła ku niemu dłoń.

Nieznajomy uniósł brew, spoglądając na dziewczynę z góry, jakby była podeszwą jego butów. Lekceważąca mina mężczyzny sprawiła, że na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

– Chcę porozmawiać z Larysą – odparł.

Natalia się wzdrygnęła. Mężczyzna wychylił się i spojrzał na mnie wymownie.

– Laryso, możesz poświęcić mi chwilę?

Zaniemówiłam. Domyślałam się, skąd wiedział, jak mam na imię, ale o czym chciał, do licha, rozmawiać?

W jednej sekundzie milion dodatkowych pytań przemknęło mi przez głowę, lecz zamiast je zadać, zdołałam wydusić z siebie tylko jedno:

– Ja?

– Tak. Mogę cię prosić?

Zaledwie kilka minut później szliśmy obok siebie w stronę wyjścia z dziedzińca.

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną porozmawiać – zaczął Nieznajomy, gdy odeszliśmy na tyle daleko, by żadna z dziewczyn nas nie słyszała.

Choć uważałam się za całkiem wysoką, sięgałam mu do ramienia. Uniosłam głowę i spojrzałam na jego profil. Prosty nos, wydatne usta, łagodny podbródek.

Nieznajomy pochwycił moje spojrzenie.

Przełknęłam ślinę.

– Nie za bardzo wiem, o czym chcesz rozmawiać – zaczęłam. – Nie znamy się…

Gabriel uniósł kąciki ust.

– Nie owijasz w bawełnę, prawda? – Zmrużył oczy.

– Staram się raczej wiedzieć, na czym stoję.

– Rozumiem – odparł niskim głosem. – Dowiedziałem się nieco na twój temat od dyrektor szkoły.

– To ochrona danych osobowych już nie obowiązuje?

– Nie mnie – odparł.

Co za arogant.

– Słucham?

– Musiałem poznać listę nazwisk, adresy i telefony wszystkich uczniów z klasy maturalnej. Korzystając z okazji, dopytałem też, kim jest dziewczyna, która uratowała życie staruszce w zeszły piątek – wyjaśnił.

– Po co ci lista uczniów ostatniej klasy? – Umyślnie zignorowałam jego ostatnie zdanie.

– Ponieważ muszę wiedzieć, kto odwiedza moją stajnię.

– Stajnię?

– Rozumiem, że dyrekcja nic wam jeszcze nie mówiła.

– Nie mówiła o czym?

– Pozwolisz, że wytłumaczę ci to w drodze do domu? – zapytał i otworzył przede mną drzwi alfy romeo.

Popatrzyłam na jego sportowy wóz, potem na niego. Czy on uważa, że postradałam zmysły? Mam się wozić po Lesie z kimś, kogo zupełnie nie znam? Jeszcze czego.

– Nie wsiądę z tobą. – Poprawiłam torbę na ramieniu.

– Rozumiem, obawiasz się. – Zawiesił głos i spojrzał na dziedziniec. – Chyba nie myślisz, że byłbym tak nierozsądny i zrobił ci krzywdę, podczas gdy sześciu świadków widzi, jak wsiadasz ze mną do auta?

Spojrzałam w kierunku dziedzińca, na którym stały osłupiałe dziewczyny gapiące się w naszą stronę.

– Nie wsiadam. A świadkowie przydają się dopiero po fakcie.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Nie wiem, za kogo mnie uważasz, ale jeśli się mnie obawiasz, to Sempolska za

mnie poświadczy.

– Być może ona cię zna, ale ja nie.

– W takim razie postaraj się mi zaufać i mnie poznać – ściszył głos i zmrużył oczy.

Przeklęte srebrzyste oczy!

Przygryzłam wargę. Chyba zupełnie zgłupiałam, skoro w ogóle rozważałam podwózkę. Mało to zboczeńców jeździło po Polsce? Tylko nie takimi rzucającymi się w oczy autami i raczej nie uprowadzali swoich ofiar w biały dzień w obecności gapiów. Pojawiło się we mnie uczucie rozdarcia – rozsądek podpowiadał: „Musisz być ostrożna, nie wsiadaj", a ciekawska natura podżegała: „Jedź z nim, jedź!".

Wyjęłam komórkę z kieszeni i zrobiłam zdjęcie auta z tablicami rejestracyjnymi, po czym nieoczekiwanie pstryknęłam fotkę Nieznajomemu, który popatrzył na mnie jak na wariatkę, ale się nie odezwał.

Wyślij do: Zuzka.

Załączniki: 2 zdjęcia.

Treść wiadomości: Ten koleś, na którego właśnie się gapisz, podwiezie mnie do domu. Gdyby okazał się jakimś zbokiem i nie było ze mną kontaktu do wieczora, to masz jego zdjęcie i numer tablicy rejestracyjnej auta.

Wyślij.

Spojrzałam w stronę Zuzki, która obserwując mnie z dziedzińca, wyjęła z kieszeni telefon. Odczytała wiadomość, uśmiechnęła się i odpisała: *Spokojna głowa, ma zbyt śliczną buźkę, by okazać się zbokiem. Daj znać, jak dojedziesz.*

Machnęłam do niej, schowałam telefon do kieszeni i rzuciłam w stronę Nieznajomego:

– Mieszkam przy Sosnowej trzynaście.

– Tak, wiem.

Przewróciłam oczami. Cholerna Sempolska. Powinnam zaskarżyć szkołę za udostępnianie danych osobowych bez mojej zgody.

Usiadłam i zapadłam się w jasnobeżowy fotel z miękkiej skóry. Nowoczesne, ale przytulne wnętrze lśniło chromowanymi dodatkami. Mężczyzna wsiadł do samochodu i odpalił silnik. Usłyszałam tuningowe warczenie, które spowodowało, że przeszedł mnie dreszcz ekscytacji.

Wychodzący ze szkoły uczniowie raz po raz spoglądali z zaciekawieniem

w naszą stronę, pokazując palcami na poszczególne części samochodu. Nieznajomy uśmiechnął się szeroko i nacisnął dwukrotnie pedał gazu. Turkoczący silnik zaryczał jak lew. Szpanerskie przedstawienie, które niezwykle rozbawiło jego autora, wywołało zamierzony skutek – nastolatkowie z rozdziawionymi ustami zaczęli gapić się prosto na mnie. Nieznajomy wrzucił bieg i ruszył z piskiem opon, zerkając z rozbawieniem we wsteczne lusterko.

– To było bardzo dziecinne – stwierdziłam.

– Wiem, ale jakie poznawcze.

– Poznawcze?

– Mam na myśli ludzką naturę, to, jak bardzo jesteśmy interesowni i obłudni. Czy myślisz, że jakbym odjeżdżał rozpadającym się seicento, to ktoś zwróciłby na nas w ogóle uwagę? A tak przekonasz się, ilu nowych przyjaciół jutro zyskasz. Ludzie patrzą na drugiego człowieka jedynie przez pryzmat własnych korzyści.

– Mylisz się – odrzekłam stanowczo.

– Wiedziałem, że tak powiesz, dlatego chciałem cię poznać. Wydajesz się być inna. Bezinteresowna – ciągnął dalej, patrząc na drogę. – Wiele w życiu widziałem i rzadko się zdarza, by ktoś szczerze przejął się losem drugiego człowieka. A ty się przejęłaś. Dobrze wiem, że jeśli ludzie robią coś dobrego, to albo kierują się strachem, albo oczekują czegoś w zamian.

– To, co mówisz, nie ma sensu. Jak można komuś pomagać ze strachu?

– Ludzie uważają, że jeśli nie zareagują odpowiednio na czyjąś krzywdę, to spotka ich za to kara. Niektórzy współcześni ludzie, aby to sobie wyjaśnić, posiłkują się często zwrotem: „Karma wraca”.

– Powiedziałeś wcześniej o karze, nie o karmie.

– Bo to jest równoznaczne – kara w postaci pozbawienia wolności za nieudzielenie pierwszej pomocy, dezaprobata społeczeństwa za bycie objętym wobec ludzkiego cierpienia albo też odroczony w czasie sąd boży. Zauważyłem jednak, że w dzisiejszych czasach ludzie częściej kierują się żądzą zysku niż groźbą kary. Nim wyciągną do kogoś pomocną dłoń, weryfikują, czy będzie to dla nich opłacalne, zadają sobie wtedy pytanie: „Co z tego będę miał?”. Zupełnie jakby ludzkie życie było przedmiotem biznesowej transakcji – oznajmił.

Prychnęłam.

– Bezpodstawna teoria. Z góry zakładasz, że wszyscy są bez serca – odparłam z rozgoryczeniem. – Myślę, że po prostu spotkałeś w życiu niewłaściwych ludzi.

– Laryso… – Zaśmiał się cierpko. – Miałem sporo okazji, by poznać ludzi, i niestety na palcach jednej ręki mogę wymienić tych, którzy wykazywali się altruizmem. Z moich obserwacji wynika, że człowiek jest skomplikowaną istotą. Nie dość, że nie chce pomóc, to jeszcze obmyśla, jak tu skutecznie zaszkodzić.

Nieznajomy bardzo śmiało wydawał negatywne osądy, może sam został przez kogoś skrzywdzony albo był świadkiem obłudy i nienawiści.

– Dlaczego masz takie złe mniemanie o innych? Czy o swoich bliskich też tak myślisz?

– To co innego. Moi bliscy są… – zawahał się, jakby ważył słowa. – Nieistotne. To nie jest rozmowa na dzisiaj. Miałem opowiedzieć ci o stajni – zmienił temat.

Kusiło mnie, by pociągnąć go jeszcze za język, lecz on już mówił dalej:

– Sempolska pozyskała dotację na aktywizację młodzieży, jest jednak jeden warunek. Uzyskane środki mogą zostać wykorzystane tylko na zajęcia sportowe, podczas których uczniowie będą uczyć się jeździć konno. Dyrektorka znalazła wykwalifikowaną kadrę, na wynagrodzenia której zostanie przeznaczona dotacja. Potrzebowała jednak właściciela stajni, by ten udostępnił bezpłatnie wierzchowce do nauki jazdy. Dowiedziała się, że kilka miesięcy temu zakupiłem majątek Leszczyńskiego. Skontaktowała się ze mną, a ja się zgodziłem jej pomóc.

Zdębiałam. I to nie z powodu darmowych lekcji jazdy konnej. Nieznajomy był właścicielem zabytkowej posiadłości. Myślałam, że czeka ona na renowację, ale widocznie wystawiono ją już jakiś czas temu na sprzedaż. Dwór wraz ze stajnią należał niegdyś do Stanisława Leszczyńskiego – króla Polski, księcia Lotaryngii i Baru. Stanowił on letnią rezydencję władcy oraz miejsce jego miłosnych schadzek. Aby skryć się przed podejrzliwym wzrokiem świty i umilić sobie spacery z kochankami, postanowił założyć prywatny ogród, który przetrwał do dzisiaj i stanowił południową część Narodowego Parku Jodłowego. Był to ogromny teren – ponad sto kilometrów kwadratowych porośniętych głównie jodłami i bukami, z których najgrubsze – Buk Stach i Jodła Alina – były podziwianymi pomnikami przyrody.

– Kupiłeś ziemię Leszczyńskiego? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Kupiłem, szukałem odpowiedniego miejsca dla moich wierzchowców – wyjaśnił.

Och, cóż za wspaniałomyślność, wydać majątek, by dogodzić gromadce koniczków.

– Czyli zajmujesz się hodowlą koni, tak?

– Nie. Jestem jedynie właścicielem czterech folblutów.

– Folblutów?

– Koni pełnej krwi angielskiej.

– Ach…

Zachodziłam w głowę, skąd go stać na konie, królewską posiadłość i jeden z najdroższych samochodów na świecie. Może pochodzi z bogatej rodziny potentatów naftowych albo jest biznesmenem czy synem jakiegoś magnata.

Im dłużej rozmawiałam z Nieznajomym, tym więcej miałam pytań. Nie mogłam się doczekać, by wyszperać o nim jakieś informacje w necie. Ale żeby cokolwiek znaleźć, musiałam najpierw poznać jego nazwisko. Może chociaż to uda mi się z niego wyciągnąć. Gdy już miałam się go zapytać, jak właściwie się nazywa, zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział.

Rozejrzałam się dookoła. Znajdowaliśmy się u mnie na podjeździe.

– Faktycznie.

Nieznajomy wysiadł, przeszedł na drugą stronę auta i otworzył mi drzwi.

– Wygląda na to, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, prawda? – Spojrzał na mnie zaczepnie.

– Słucham?

– Tak jak obiecywałem, dowiozłem cię całą i zdrową – wyjaśnił.

– Na to wygląda. Pozostaje mi jedynie podziękować, szkoda tylko, że nie wiem do końca komu. – Przechyliłam głowę i uśmiechnęłam się wyczekująco.

Poskutkowało.

– Oczywiście, gdzie moje maniery? – odparł całkiem serio, jakby jego zachowanie było czymś niewybaczalnym. – Najmocniej cię przepraszam, miałem się przedstawić pod szkołą, ale przez groteskowe zachowanie twojej koleżanki zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– Koleżanki?

– Tej jasnowłosej…

– A! Natalia – rzuciłam rozbawiona. – To nie jest moja koleżanka. Tak między nami, to niezbyt za nią przepadam.

– Chyba domyślam się dlaczego. – Uśmiechnął się wymownie. – Mniejsza o nią.

Nazywam się Gabriel Dunkeld – powiedział z obco brzmiącym akcentem i ukłonił się szarmancko.

– Dunkeld pisane przez „a” czy przez „u”? – dopytałam, by nie popełnić błędu podczas poszukiwań.

– Przez „u”.

– To jest angielskie nazwisko?

– Szkockie.

– Jesteś Szkotem?

– Nie do końca. Mam szkocko-włoskie pochodzenie.

– O! To ciekawe… – Patrzyłam na niego, oczekując dalszych wyjaśnień.

Moje wścibstwo nie uszło jego uwadze. Skrzywił się lekko i dodał po chwili:

– Niestety, póki co nie mogę ci za dużo o sobie powiedzieć…

Dlaczego? O nie, panie tajemniczy Nieznajomy, nie ze mną takie gierki.

– I o Nowakowej i wypadku na szosie też mi nic nie powiesz? – Założyłam ręce na piersi.

Musiałam w końcu to z siebie wyrzucić. Nie potrafiłam udawać, że nic się nie stało, że nasze wcześniejsze spotkania były czyś normalnym, bo nie były. A on, jak gdyby nigdy nic, podwiózł mnie pod dom i prowadził ze mną swobodną rozmowę, jakbyśmy spotkali się pierwszy raz.

– Wiem, że wygląda to nieco dziwnie, proszę cię o trochę cierpliwości. Jak tylko uzyskam pewność co do jednej kwestii, wszystko ci wyjaśnię. Ale teraz nie mogę.

– Bardziej enigmatycznie się nie da?

– Mam swoje powody, by nie mówić ci wszystkiego – odparł.

– Z pewnością są niezwykle istotne – mruknęłam pod nosem.

– Przepraszam, chyba nie dosłyszałem?

Zacisnęłam zęby.

– Wydaje mi się, że dosłyszałeś.

Nieznajomy nabrał powietrza.

– Masz rację. Należą ci się wyjaśnienia. Ale nie mogę ci teraz nic zdradzić – powiedział. – Mam związane ręce i potrzebuję trochę czasu. Zapewniam cię jednak, że nie musisz się mnie obawiać. Wiem, że podczas naszego pierwszego spotkania dałem ci pewne powody do niepokoju, ale byłem bardzo zaskoczony… – zawahał się i przeczesał dłonią włosy. – Chcę się z tobą znowu spotkać. Czy moje słowo honoru,

że możesz mi zaufać, ci wystarczy?

Zdębiałam. Nikt wcześniej nie prosił mnie, bym uwierzyła mu na słowo honoru. Zwrot ten kojarzył mi się raczej z dziewiętnastowiecznymi pojedynkami albo patriotyczną dewizą: „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

Patrzyłam w mieniące się srebrem oczy, starając się rozszyfrować tego faceta. Jeśli nie spotkam się z nim już nigdy więcej, nie poznam odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Prócz tego było w Gabrielu coś, co sprawiało, że moje serce biło szybciej. Wydawał się tajemniczy, a każda tajemnica wzbudzała we mnie ekscytację.

– Dobrze, spotkajmy się – odparłam.

– Czy w takim razie mogę cię jutro odebrać ze szkoły?

– Może być. W piątki kończę o…

– …o drugiej, jeśli się nie mylę – dokończył za mnie.

– Nie wierzę, to też wyciągnąłeś od Sempolskiej? – Przechyliłam głowę.

– Muszę ustalić terminy jazdy konnej, a do tego potrzebny mi plan lekcji wszystkich klas – wyjaśnił, unosząc figlarnie kąciki ust.

Z upływem rozmowy blaknął mroczny obraz Nieznajomego, którego wcześniej spotkałam.

– Dobrze, w takim razie będę jutro na ciebie czekał. Do zobaczenia, Laryso.

– Do zobaczenia, Gabrielu – odpowiedziałam, a wypowiedzenie na głos jego imienia okazało się zaskakująco przyjemne.

Zrzuciłam z siebie kurtkę i buty, po czym wpadłam do kuchni. Otworzyłam lodówkę, wyjęłam paczkę parówek, dynamicznym krokiem opuściłam kuchnię i zaczęłam biec co drugi stopień na górę.

– Ejże! Panno Laro, nie będziesz jeść obiadu?

– Mama? – Odwróciłam się zdziwiona, bo wcześniej jej nie zauważyłam. – Zjem parówki, dzięki.

– A powiesz mi, kto cię odwiózł do domu? – spytała, podchodząc do schodów.

– Znajomy pani dyrektor – wyjaśniłam zgodnie z prawdą, która powinna ją zadowolić. Nie miałam czasu na wyjaśnienia. – Muszę teraz coś sprawdzić, pogadamy później.

Weszłam do swojego pokoju, zatrzasnęłam drzwi, rzuciłam torbę na łóżko i podeszłam do biurka, na którym stał pomarańczowy laptop. Uniosłam klapę i włączyłam komputer. Równie dobrze mogłam skorzystać z wyszukiwarki

w smartfonie, jednak szybciej i wygodniej korzystało mi się z wielu kart na komputerze, a coś podpowiadało mi, że będzie ich naprawdę dużo. Oczekując na pojawienie się pulpitu, rozerwałam zębami paczkę parówek i wyjęłam cienki serdelek. Usunęłam przezroczystą osłonkę, wrzuciłam ją do kosza i patrząc na ukazujące się ikonki, zaczęłam jeść. Ruszałam z niecierpliwością myszką, lecz leniwa klepsydra za nic nie chciała zamienić się w żwawą strzałkę. W końcu się udało. Wpisałam: *Gabriel Dunkeld*. Moim oczom ukazały się słowa, których się nie spodziewałam: *Nie znaleziono żadnych wyników wyszukiwania dla hasła Gabriel Dunkeld*.

Jak to nie znaleziono?

Zupełnie nic?

Nie ma nawet konta na Facebooku?

Wpisałam samo słowo *Dunkeld*. Scrollowałam po wynikach, lecz wszystkie dotyczyły szkockiego miasta, jego map, zakwaterowania i zabytków. Już wiedziałam, że nie mam czego szukać na polskich stronach. Wklepałam: *Dunkeld name*. I znów spotkał mnie zawód. Jedynymi osobami, jakie znalazłam, byli władcy jedenastowiecznej Szkocji. Zrezygnowana wpisałam od niechcenia imię Gabriel. Jako pierwszy wyskoczył link do Wikipedii dotyczący Archanioła Gabriela. Spragniona jakichkolwiek informacji zaczęłam czytać opis z zapartym tchem, wyłapując poszczególne fragmenty: *Jest aniołem zemsty, śmierci i objawienia…*

Czy ja już do reszty zgłupiałam? Po co to w ogóle czytam? Zamknęłam klapę komputera i przesunęłam dłońmi po twarzy.

– Laro! – dobiegło z dołu wołanie mamy.

Wstałam leniwie i otworzyłam drzwi na korytarz.

– Tak?

– Chcesz obiad? – zapytała.

Mama nigdy mnie do niczego nie zmuszała, jedynie proponowała. Wychodziła z założenia, że jak będę miała na coś ochotę, to po prostu jej o tym powiem. Nieważne, czy chodziło o zjedzenie obiadu, czy szczegółową informację, kto odwiózł mnie do domu. Widocznie wierzyła, że jestem na tyle rozsądna, by nie umrzeć z głodu lub nie dać się poćwiartować zboczeńcowi na kawałki.

– Najadłam się parówką. – Wychyliłam się za barierkę. – Teraz wezmę się za odrabianie lekcji. Może później zjem obiad – odpowiedziałam i zdałam sobie sprawę z tego, że po całym dniu w szkole nie czułam większego głodu.

Weszłam z powrotem do pokoju, wyjęłam z torby zeszyty z psimi mordkami na okładkach i położyłam na łóżku. Przed oczami zaczęły mi przelatywać obrazy z tego dnia: zdziwione miny dziewczyn, Gabriel zmierzający w moją stronę, jego szarmancki ukłon…

Muszę to opisać!

Zrzuciłam zeszyty z łóżka, położyłam się na brzuchu i sięgnęłam ręką do szuflady, by wyciągnąć z niej pamiętnik i długopis.

Promienie porannego słońca muskały moją twarz, dając znać, że rozpoczął się nowy dzień. Otworzyłam oczy i z uśmiechem na ustach się przeciągnęłam. Uwielbiałam takie poranki, kiedy świat wydawał się piękniejszy niż zwykle. Odsunęłam ciepłą kołdrę i usiadłam na łóżku, zanurzając stopy w miękkim dywaniku. Jaką piosenką umilić sobie taki cudny poranek?

Sięgnęłam po telefon i zaczęłam przeglądać swoją playlistę. O, jest idealny kawałek odzwierciedlający moje dzisiejsze samopoczucie. Wybrałam piosenkę, a chwilę później z głośników bezprzewodowych popłynął dźwięk skrzypiec, który przeniósł mnie na skąpaną w południowym słońcu łąkę. Czerwone maki i bławatkowe chabry kołysał lekki wietrzyk. Upojona zapachem lata, w ten listopadowy dzień, poddałam się sielskiej melodii i zaśpiewałam:

– Cała jesteś w skowronkach, cała jesteś w skowronkach. Śpiewają twoje włosy, włosy. Śpiewa twoja sukienka i pantofelek biały.

Tanecznym krokiem podeszłam do szafy, otworzyłam na oścież oba skrzydła i przesuwając wieszaki, rozważałam, w co się ubrać. Normalnie bez zastanowienia chwyciłabym za dżinsy i koszulę, ale dzisiaj chciałam, by mój wygląd odzwierciedlał pogodny nastrój, w jakim się obudziłam.

– Cała jesteś… – zanuciłam pod nosem, wyjmując turkusową bluzkę i spódnicę w beżowe kwiaty.

Odłożyłam na krzesło przygotowany zestaw i ruszyłam do łazienki. Po wykonaniu podstawowych zabiegów higienicznych stanęłam przed trudnym wyborem koloru cienia do powiek.

Liliowy, złoty, brązowy? To ci dopiero dylemat. Tak rzadko się malowałam, że nie miałam pojęcia, który wybrać. Może liliowy?

– Śpiewają twoje włosy… – Przeciągnęłam jasnym różem po obu powiekach

i musnęłam błyszczykiem usta.

O siódmej, czyli dwadzieścia minut przed czasem, wyszłam ze swojego pokoju i zeszłam na dół.

– Jakoś wcześnie dzisiaj wstałaś – zagadnął ojciec pochłonięty wiązaniem buta.

– Jejku, jakaś ty piękna! – Rozległo się westchnienie mamy, która wychyliła się z kuchni. – Janek, spójrz na swoją córkę.

Ojciec podniósł oczy.

– O, no proszę.

Oboje wpatrywali się we mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Co, proszę? – Nie zrozumiałam.

Mama zerknęła karcąco na ojca.

– Tata chciał pewnie powiedzieć, że bardzo ładnie dzisiaj wyglądasz, wręcz kwitnąco.

– No właśnie. Tylko żeby nikt cię przypadkiem nie zapylił – dodał tata.

– Nie wiem, o co wam chodzi. Po prostu mam dzisiaj dobry humor – skwitowałam i zaczęłam schodzić na dół.

– Laro, nie musisz się wstydzić swoich uczuć. My też mieliśmy kiedyś osiemnaście lat. To normalne, że w twoim wieku ludzie się zakochują – powiedziała mama.

Omal nie spadłam ze schodów.

– Co?! Skąd w ogóle taki pomysł? – zapytałam.

Ojciec sięgnął po płaszcz i odrzekł:

– Wstałaś dzisiaj godzinę wcześniej niż zwykle, puściłaś na cały regulator tkliwą pieśń z lat sześćdziesiątych, twój ubiór i twarz wyglądają jak z okładki pisma o modzie, mama mówiła, że nic wczoraj nie jadłaś. Na koniec dodam, że wszystkie te anomalie nastąpiły niecałą dobę po tym, jak nieznany nam chłopak odwiózł cię po szkole do domu.

Rzuciłam mamie gniewne spojrzenie.

– Mówiłam ci przecież, że to znajomy dyrektorki.

– Co nie oznacza, że nie jest stosunkowo młody i przystojny – podsumowała mama. – Może chociaż powiesz, jak ma na imię? Chyba możemy wiedzieć, z kim się spotykasz? – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się łagodnie.

– Z nikim się nie spotykam! To tylko znajomy, który organizuje zajęcia z jazdy

konnej dla maturzystów.

Rodzice spojrzeli po sobie.

– Hm, ciekawe – zainteresował się tata. – Czytałem, że konie to całkiem niezły interes. Wspominał, jaki zysk generuje taki biznes? Może warto zainwestować, jeśli…

– Tato! – Czułam, że tracę cierpliwość. – On tego nie robi dla pieniędzy. Udostępnia swoją stajnię za darmo. Poza tym to jest człowiek, który ceni sobie bezinteresowność.

– Pfiu, prawdziwy książę z bajki – podsumował tata. – Mama wspominała, że odwiózł cię na niezłym rumaku. Pamiętasz może markę?

Załamka. Ojciec wyznawał zasadę: „Powiedz mi, czym jeździsz, a powiem ci, ile zarabiasz". Gdybym teraz zdradziła mu nazwę samochodu, to nie uwierzyłby w zapewnienie o bezinteresowności Gabriela.

– Po pierwsze, to nie jest mój chłopak, a po drugie, czy nie spóźnisz się przypadkiem do pracy? – spytałam, unosząc brew.

Ojciec podciągnął rękę do góry, odsłaniając zegarek.

– Ożeż! Faktycznie muszę lecieć.

Cmoknął nas na pożegnanie i wyszedł pośpiesznie z domu.

Tego dnia postanowiłam zrezygnować z podwózki mamy i przemierzyć pieszo leśną drogę do szkoły. Pogoda była przepiękna, świeciło słońce, chociaż czuło się chłód, jak to w listopadzie.

Właśnie wchodziłam na teren ogólniaka, gdy usłyszałam wołanie Pawła. Odwróciłam się i ujrzałam, jak biegnie w moją stronę.

– Kurczę, ledwo cię poznałem – powiedział, zipiąc jak chart wyścigowy goniący za zającem. – Mamy dzisiaj jakiś apel?

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

Paweł zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, unosząc gęste brwi.

– Po prostu rzadko chodzisz w sukience, więc pomyślałem, że to na jakąś specjalną okazję.

– To nie jest sukienka, tylko spódnica – sprostowałam i ruszyłam przed siebie.

– Tak? A czym to się różni? – zapytał, dotrzymując mi kroku.

– Tym, że pod kurtką mam bluzkę.

– Tak czy siak, ładnie ci w tej… spódnicy. W ogóle cała ładnie wyglądasz –

skomplementował. – A czy dałabyś mi przy okazji spisać pracę domową z matmy?

Stanęłam, wytrzeszczając na niego oczy. A niech to wszystkich diabli!

– Kurde! – Sięgnęłam do przepastnej torby i zaczęłam w niej grzebać. Wyjęłam zeszyt i otworzyłam go na ostatniej lekcji.

– Niech to szlag! Mieliśmy zrobić zadanie w domu. Na śmierć zapomniałam.

– Jak to zapomniałaś? – dopytał zdziwiony.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Zupełnie wyleciało mi z głowy.

– Dziewczyno, kimkolwiek jesteś, oddawaj Larysę z powrotem – powiedział z uśmieszkiem.

– Nieśmieszne.

– Jak nie, jak tak. Wyglądasz tak, że ledwie cię poznałem, i nie masz zrobionej matmy.

– Spoko. – Spojrzałam na zegarek w telefonie. – Jest jeszcze trochę czasu.

– To może skoczymy do sklepiku na gorącą czekoladę? – zapytał z podekscytowaniem w głosie.

– Ta. To idealne miejsce do odrabiania pracy domowej. Potrzebuję cichego kąta, żeby się skupić.

– Może stołówka? – zaproponował. – O tej porze jest tam spokój.

– Za bardzo będziemy rzucać się w oczy. – Ruszyłam w stronę szkoły. – Lepiej, żeby nikt nas nie widział. Wystarczy nam już jedno oskarżenie o oszustwo.

Przypomniałam sobie następstwa wczorajszego zdarzenia i serce załomotało mi w piersi.

Jeszcze tylko kilka godzin i go zobaczę – mimowolnie przebiegło mi przez głowę.

– Laryso, słuchasz mnie? – Usłyszałam głos Pawła.

– Tak, tak. A o co pytałeś?

– Serio, jakaś dziwna dzisiaj jesteś. Pytałem, czy szatnia przy sali gimnastycznej się nadaje.

– Tak! Superpomysł, to idealne miejsce. – Wrzuciłam zeszyt z powrotem do torby i zerknęłam ponownie na zegarek. – Chodźmy, mamy tylko dwadzieścia minut – dodałam i przyśpieszyłam kroku.

Pech chciał, że gdy skończyliśmy odrabiać matmę i wychodziliśmy właśnie z cuchnącego potem pomieszczenia, natknęliśmy się na Natalię.

– O, Larysa! – wyszczebiotała, mierząc nas podejrzliwym wzrokiem. – Czy twój

nowy facet wie, że ukrywasz się w ciemnych kątach szkoły z kimś takim? – Spojrzała z pogardą na Pawła, po czym przeniosła wzrok na mnie i przechyliła głowę. – Niełądnie tak kręcić na dwa fronty.

Przewróciłam oczami. Ostatnia rzeczą, na jaką miałam ochotę, były jej gierki.

– Natka! Właśnie cię szukaliśmy – skłamałam, uśmiechając się szeroko, co zupełnie zbiło ją z tropu. – Dobrze przypuszczałam, że to tu znajdę cię z samego rana.

Jej duże, niebieskie oczy patrzyły z dezorientacją to na mnie, to na Pawła.

– A gdzie indziej miałabym być o tej porze? Wszyscy doskonale wiedzą, że rano omawiam z wuefistką poprawki w polonezie – odparła dumnie, odrzucając wypielęgnowaną dłonią włosy z ramienia.

Natalia pełniła samozwańczą rolę choreografki studniówkowego układu. W próby zaangażowanych było pięćdziesiąt par, czyli trzy czwarte maturzystów. Tancerzy dobierała wyłącznie Natalia, z tego też powodu między innymi Zuzka, Paweł i ja nie zostaliśmy wcieleni do orszaku rozpoczynającego styczniową imprezę.

– No? Mów, czego chcesz. – Przestąpiła ostentacyjnie z nogi na nogę. – Albo nie, poczekaj! – Przekrzywiła głowę, przyglądając mi się wnikliwie. – Niech zgadnę. Wcale mnie nie szukałaś. Przyszłaś tu z tym zakochanym kundlem, by się migdalić, co? – Uśmiechnęła się chytrze. – Nie sądziłam, że taka z ciebie kokietka. I do tego taka pazerna. Szczerze ci się dziwię. Przecież ktoś mógł was tutaj zobaczyć i wszystko przekazać twojemu nowemu chłopakowi. Na przykład ja. – Roześmiała się złośliwie.

Jędza. Najchętniej rozkwasiłabym jej ten śliczny nosek.

– I tu się mylisz… – mówiłam powoli, opanowanym tonem, nie chcąc dać dziewczynie do zrozumienia, że jej groźby robią na mnie jakiekolwiek wrażenie. Z takimi hienami trzeba na spokojnie. Gdy tylko wyczują twoją niepewność, rozszarpią cię na strzępy. – Byliśmy ciekawi, jak udaje ci się opanować tak liczną grupę ludzi. I nawet się założyliśmy z Pawłem, czy kończyłaś jakiś specjalistyczny kurs. Taka choreografia wymaga przecież niezwykłej wyobraźni i ponadprzeciętnych zdolności organizacyjnych – rozprawiałam, mając na celu połechtanie jej próżności. – Ale skoro nie chcesz z nami rozmawiać, to zakład nie zostanie rozstrzygnięty.

Ów zabieg przyniósł natychmiastowy skutek, na twarzy Natalii pojawił się rumieniec i szeroki uśmiech.

– Cóż, nie kończyłam żadnego kursu… – zaczęła, lekko odchrząkując. – Chociaż muszę przyznać, że faktycznie to spore wyzwanie. W sumie jest nas setka, co z jednej strony ułatwia wykonanie przejścia par parzystych w prawo, a nieparzystych w lewo, z drugiej zaś utrudnia prawidłowe wykonanie tunelu. Do tego, przez gapowatość niektórych, rozłazi się pochód czwórkami – powiedziała na jednym wdechu, po czym dodała: – Zresztą, co ja ci będę opowiadać. Najlepiej będzie, jeśli sama to zobaczysz – zaproponowała.

Nie spodziewałam się aż tak pozytywnej reakcji. Nieco zszokowana jej przyjacielską postawą pokiwałam tylko twierdząco głową.

– Akurat dzisiaj po lekcjach mamy próbę – ciągnęła dalej, a jej oczy błyszczały z podekscytowania.

– Ach, dzisiaj. – Zmarszczyłam nos.

Ta reakcja najwyraźniej jej się nie spodobała, bo cmoknęła z niezadowoleniem i powiedziała:

– Słuchaj, jeśli masz już zajęte popołudnie przez któregoś z chłopaków… – Uniosła brew.

Natalia była osobą, która w mgnieniu oka potrafiła spłodzić absurdalną plotkę i tym samym zamienić czyjeś życie w koszmar. Jej dzisiejszy komentarz o moim „nowym facecie” był wystarczającym dowodem na to. Nawet wolałam nie myśleć, jakie bzdury mogła zacząć rozpowiadać w szkole. Najzwyczajniej w świecie nie miałam ochoty ich później prostować. Postanowiłam zastosować się do dewizy Corleone: „Trzymaj swoich przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej”.

– Oczywiście, że znajdę chwilę czasu, żeby zobaczyć cię przy pracy – oznajmiłam.

Będę tylko musiała wyskoczyć na przerwie do Gabriela i przełożyć nasze spotkanie o jakieś pół godziny. Jak kocha, to poczeka – przypomniałam sobie stare powiedzonko babci i sama z siebie zaśmiałam się w myślach.

– Wspaniale. – Natalia klasnęła w dłonie. – W takim razie od razu po niemieckim pójdziemy prosto na salę gimnastyczną.

– Masz na myśli, od razu po przerwie? – upewniłam się.

– Kochana, po jakiej przerwie?! – Natalia spojrzała na mnie jak na szaleńca. – Nie możemy tracić ani chwili czasu. Studniówka tuż-tuż. Każda minuta się liczy.

Genialny plan zniknął tak szybko, jak się pojawił. Może Zuzka mnie poratuje.

Zawieszony tuż nad naszymi głowami dzwonek zabrzęczał, zagłuszając moje

rozważania.

– O Boże, to już koniec przerwy?! – Natalia spojrzała na mały zegarek zdobiący jej nadgarstek. – A teraz matematyka… No co tak stoicie? Chodźcie, bo się spóźnimy. – Wystrzeliła niczym z procy.

Ruszyliśmy za nią, utrzymując bezpieczną odległość kilku metrów umożliwiającą nam swobodną rozmowę.

– Nie wiedziałem, że masz chłopaka – wymamrotał Paweł, który do tej pory jedynie przysłuchiwał się rozmowie.

– Bo nie mam.

– Ale Natalia mówiła…

– Natalia to hiena żywiąca się szczątkami informacji, które przerabia na kupę kłamstw – wysyczałam.

Paweł zachichotał, przykrywając dłonią usta.

Weszliśmy na korytarz w części południowej i moją uwagę przykuła grupka chłopaków zbliżających się do nas z naprzeciwka.

– Cześć, Lara – odezwali się zgodnie z szerokimi uśmiechami.

– Cześć – odpowiedziałam powoli.

– Znasz ich? – zapytał Paweł równie zdziwiony jak ja.

– Nie.

– To czemu powiedzieli ci „cześć”?

– Nie mam bladego pojęcia. – Wzruszyłam ramionami i weszłam do klasy za Natalią.

– Dzień dobry. Jak miło, że zaszczycili nas państwo swoją obecnością. – Głos matematyczki, wbrew temu, co powiedziała, nie brzmiał wcale miło.

Usiadłam w drugiej ławce obok Zuzki, która popatrzyła na mnie pytającym wzrokiem.

– Później ci wyjaśnię. – Wyjęłam z torby zeszyt i długopis.

– Co się tak wystroiłaś jak woźna na dzień nauczyciela?

Nim zdążyłam skarcić ją spojrzeniem, dobiegło mnie wołanie z ławki za mną.

– Cześć, Lara, jak się masz? – zagadnął do mnie Adam, jak gdyby nigdy nic, z przyklejonym uśmiechem na twarzy.

Tak miłe powitanie ze strony klakiera Natalii było co najmniej dziwne.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– O nic – odparł z miną niewiniątka. – Byłem tylko ciekaw, co u ciebie?

Zmrużyłam oczy, przyglądając się jego aktorskiej minie. W przypadku innej osoby pomyślałabym, że zależy jej na pracy domowej, ale to był przecież wszechwiedzący Adam.

– Nie ściemniaj, tylko mów, o co chodzi – burknęłam w jego stronę.

– Laryso – dobiegł mnie głos matematyczki. – Jaki ci wyszedł wynik? – spytała, spoglądając na mnie zza biurka.

Odwróciłam się przodem do tablicy i spojrzałam na gryzmoły poczynione czarnym flamastrem.

– Mmm…

– Rozumiem, że odrobiłaś pracę domową.

– Tak, pani profesor. – Bez wahania otworzyłam zeszyt.

– To podejdź, proszę, do tablicy – powiedziała, po czym zwróciła się do stojącego przy biurku Jarka: – Siadaj, kolejna jedynka. Nie wiem, co z tobą będzie. Za trzy tygodnie kończy się semestr, a ty masz same niedostateczne.

Chłopak spuścił wzrok i bez słowa poczłapał na swoje miejsce.

Podeszłam do tablicy i zaczęłam przepisywać z zeszytu ciąg liczbowy.

– Źle. – Matematyczką pokręciła głową. – Popraw się – dodała, po czym wróciła do uzupełniania dziennika szkolnego.

Cofnęłam się o krok, by objąć wzrokiem całość ciągu. Nigdzie nie dostrzegałam błędu. Przeciągnęłam dłonią po czole, próbując zmusić się do myślenia.

– Pst! – doszło do moich uszu.

Odwróciłam się przodem do klasy i ujrzałam Adama trzymającego w ręku rozłożoną kartkę, na której widniał napis: $an = -2 \cdot n + 13$. Przez moment sądziłam, że celowo chce mnie wyprowadzić w pole. Przyjrzałam się ponownie swoim zapiskom. A niech go. Zgadza się! Czym prędzej poprawiłam równanie i przeczytałam wynik na głos.

Matematyczka podniosła wzrok znad dziennika.

– Dobrze. – Wykrzywiła usta w grymasie przypominającym uśmiech. – Możesz usiąść. – Wstała od biurka, podeszła drobnymi krokami do tablicy i wychudzoną ręką chwyciła za gąbkę. – Zanotujcie kolejne zadanie – poleciła. – Miara jednego z kątów ostrych w trójkącie prostokątnym jest równa α. Oblicz wartość wyrażenia dla…

Powróciłam na swoje miejsce i odezwałam się do Adama:

– Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy – odpowiedział.

– Jakoś ci się odwdzięczę. – Mrugnęłam.

Ujrzałam błysk w jego wąskich oczach.

– W zasadzie jest jedna rzecz, którą…

– Lara, no! – Zuzka uszczypnęła mnie mocno w ramię.

– Ałaj! – Zerknęłam na przyjaciółkę. – Co jest?

– Mam iść do odpowiedzi – wycedziła przez zęby, wstając powoli z krzesła. – Jak to rozwiązać? – Wskazała brodą na tablicę.

Odwróciłam się i ujrzałam kilka liczb. Zerknęłam do zeszytu. Nie zanotowałam treści.

– Masz całe zadanie? – Odwróciłam się do Adama.

– Nie. – Rozłożył ręce.

Wychyliłam się na krześle w tył, szepcząc do ławki po skosie.

– Aniela, Magda! Macie treść zadania?

Skinęły twierdząco głową.

– Pożyczcie na moment.

Rudowłosa i urokliwie piegowata Aniela wyciągnęła się na ławce do przodu, by podać mi zeszyt. Odchyliłam się mocniej do tyłu i gruchnęłam z hukiem na podłogę.

Klasa zarechotała.

Leżałam jak długa na parkiecie. Nad głową widziałam kolana Adama, a między nogami miałam krzesło, na którym przed chwilą siedziałam.

– Laryso, nic ci nie jest? – Aniela pochyliła się nade mną.

– Nie wiem… – odparłam, unosząc głowę. – Chyba nic.

– Ty, akrobatka, żyjesz? – zapytała Zuza, zaglądając pod ławkę.

– Przepraszam – dodała Aniela. – Myślałam, że dosięgniesz.

– Sama sobie jestem winna – przyznałam.

– No pewnie, że sama – poparła Zuza. – Ale pieprznęłaś, że aż mnie kości zabolały. – Podała mi rękę i pomogła wstać. – Tak się guzdrałaś z tym zeszytem, że dostałam pałę.

W tym samym momencie rozległ się dzwonek.

– Laryso, wszystko w porządku? – zapytała nauczycielka zza biurka. Kąciki jej ust drgnęły lekko w górę.

– Tak, pani profesor – odparłam, otrzepując ubranie.

– Na przyszłość nie bujaj się, proszę, na krześle – powiedziała, po czym zerknęła na Zuzkę. – Dzisiaj nie postawiłam ci jedynki, choć powinnam. W ostatnim momencie uratował cię występ przyjaciółki – dodała z kwaśną miną. – Będę cię pytać w poniedziałek, więc powtórz przez weekend funkcje trygonometryczne.

– Dziękuję, pani profesor – powiedziała zdumiona Zuzka.

Matematyczka usiadła za biurkiem i zaczęła uzupełniać dziennik.

Wyszłyśmy na zatłoczony korytarz i ruszyłyśmy przed siebie.

– Nie mogę uwierzyć, że nie postawiła mi pały. – Zuzka odgarnęła grzywkę na bok.

– Widziałaś, jaką miała minę, gdy rąbnęłam? Przecież ona nigdy się nie uśmiecha – zauważyłam.

– Czyli ten grymas to był uśmiech?

Najwyraźniej w tym samym momencie przypomniałyśmy sobie twarz matematycy, bo obie parsknęłyśmy śmiechem.

– Wiesz, że odpowiadanie z trygonometrii cię nie ominie? – zapytałam ze współczuciem.

– Problem w tym, że ja tego za cholerę nie rozumiem.

– Nic się nie martw. Pomogę ci.

– Kiedy? W niedzielę mam rocznicę dziadków.

– No to kiepsko. A w sobotę?

– Umówiłaś się przecież na randkę z Danielem.

– Na śmierć zapomniałam. – Pacnęłam się w czoło. – W ogóle nie mam ochoty go widzieć.

– To nie jedź – stwierdziła Zuza.

– Nie mam nawet jego numeru, żeby odwołać spotkanie.

– Olej to, Lara. Po prostu wystaw go do wiatru.

– To świństwo. Jak ty byś się poczuła na jego miejscu?

– Ty i ta twoja empatia. Myślę, że nie ma w tym nic złego. Sama mówiłaś, że koleś jest dziwny.

Zastanowiłam się przez chwilę nad propozycją Zuzki. Była kusząca, lecz nie w moim stylu. Mimo że nie miałam ochoty na spotkanie z Danielem, postanowiłam osobiście odwołać randkę. Zresztą od samego początku wydawała się złym

pomysłem. Taka postawa będzie bardziej *fair* niż niezjawienie się w ogóle.

– Pojadę do Mokrych, powiem, że coś mi wypadło, i wrócę do domu – oznajmiłam. – Poza tym umówiłam się z nim dopiero na osiemnastą, więc mamy cały dzień na trygonometrię. Spotkamy się u mnie o dziesiątej i do siedemnastej będziesz obryta jak kret.

– Cześć, Laryso! – zawołał jakiś szczawik z niższej klasy.

– Cześć – rzuciłam.

– Kto to jest? – zapytała zdziwiona Zuza.

– Skąd mam wiedzieć? – Wzruszyłam ramionami.

– To czemu się z tobą przywitał?

– Nie wiem, ale nie jest dzisiaj pierwszy. Rano zagadnęło mnie kilku chłopaków, chyba z drugiej klasy.

– Dziwne. – Zuza zmarszczyła brwi. – A właściwie dlaczego weszłaś na pierwszą lekcję z Pawłem i Natalią?

– Zaczęło się od tego, że nie miałam pracy domowej z matmy…

Usiadłyśmy pod klasą od angielskiego, po czym przeszłam do opowiadania całej historii. Gdy byłam w połowie, zadzwonił dzwonek, a wkrótce po nim nadeszła sekretarka i oznajmiła, że Książę Karol zachorował i mamy poczekać na następną lekcję w stołówce. Wstałyśmy i ruszyłyśmy w kierunku holu.

– I co na to odpowiedziała Natalia? – zapytała Zuza, wracając do mojej opowieści.

– Że dzisiaj po lekcjach mają próbę.

– I w czym problem? Pójdziesz, popatrzysz i po sprawie – odparła, wskazując brodą na wolny murek przy pomniku Leszczyńskiego.

– W tym, że o czternastej mam się spotkać z Gabrielem.

– Co?! – Zuza zrobiła ogromne oczy, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Możesz mi powiedzieć, co cię tak bawi?

– To dla niego się tak odstawiłaś.

– Gadasz głupoty. – Łypnęłam na nią spode łba.

– Dlaczego nie napisałaś mi wczoraj, gdy rozmawiałyśmy na czacie, że się z tobą umówił? – spytała rozgoryczona.

– Zamierzałam, ale zmieniłam zdanie, kiedy nazwałaś go mizantropem.

– A jak niby miałam zareagować po tym, jak streściłaś mi waszą rozmowę?

Nazwałam go tak, bo sobie na to zasłużył. Nie istnieje właściwsze określenie dla człowieka, który nienawidzi ludzi.

– Och, bredzisz, on nie nienawidzi ludzi, tylko uważa, że są interesowni.

Ledwie zdążyłyśmy rozsiąść się na ławeczkach, podszedł do nas Adam.

– Laryso, sorry, że przeszkadzam… – zaczął niepewnie. – Pomyślałem, że może dokończymy naszą rozmowę.

– To znaczy? – zapytałam, bo nie do końca wiedziałam, o co mu chodzi.

Adam wcisnął się między mnie a Zuzkę.

– Na matematyce powiedziałaś, że mi się jakoś odwdzięczysz… – zaczął.

Popatrzyłam na niego pytająco.

– A więc jest jedna rzecz, która nie daje mi od wczoraj spokoju – przyznał z błyskiem w oku. – Chcę usiąść za kółkiem alfy romeo twojego chłopaka.

Omal nie spadłam z ławki.

– To nie jest mój chłopak – warknęłam i wstałam. Chciałam nawiązać kontakt wzrokowy z Zuzką, lecz przyjaciółka wwiercała się swoimi wielkimi oczami w Adama.

Miałam wrażenie, że zaraz pacnie go w ucho.

– Ale go znasz – ciągnął dalej Adam. – Widziałem was wczoraj razem. Przecież możesz z nim porozmawiać, nie? – dodał, po czym zaplótł ręce na piersi. – Nie zapominaj, że uratowałem ci skórę na matmie. Jesteś mi to winna.

– Nic ci nie jest winna, ty pieprzony obleńcu! – zrugała go Zuza. – Gdy tylko uniosłeś te swoje kościste ramionka z podpowiedzią do góry na matmie, wyczułam, że masz w tym jakiś interes.

– *Life is brutal* – odparł z podniesioną głową.

I wtedy zaczęłam kojarzyć wszystkie fakty, zrobiło mi się gorąco. Migawki błysnęły mi przed oczami: wczorajszy popis Gabriela, powitania obcych chłopaków, nieoczekiwana pomoc Adama. Wszystko to łączyło się w całość, która potwierdzała teorię Gabriela. W uszach zadźwięczały mi jego słowa: *Przekonasz się, ilu nowych przyjaciół jutro zyskasz*.

Czyli miał rację. Dlaczego wcześniej nie zwróciłam na to uwagi? Czy ludzie naprawdę są aż tacy obłudni?

Nie. Nie. Nie.

Nie wszyscy są tacy, jak on myśli. Zuzka jest inna, moja mama, ja… Nie zniżę

się do poziomu Adama i szczerze odwdzięczę się za nieszczerą przysługę.

– Okej – odpowiedziałam. – Jak tylko będzie ku temu okazja, zapytam, czy możesz zobaczyć wnętrze samochodu.

Adam roześmiał się lekceważąco.

– Słodka jesteś, ale chyba źle mnie zrozumiałaś. Wnętrze to ja sobie mogę zobaczyć na YouTubie. Chcę usiąść za kółkiem.

– Jako kierowca? – spytałam z niedowierzaniem.

– Dokładnie.

Zuzka zaśmiała się mu bezczelnie w twarz.

– Ty głupolu! Przecież nie masz prawka. Już z piętnaście razy oblałeś egzamin, więc co chcesz tu ugrać, skoro nawet nie umiesz jeździć?

Wujek Zuzy był egzaminatorem w Mokrych. Przyjaciółka miała więc informacje z pierwszej ręki.

Adam wstał i stanął zmieszany obok mnie.

– Skąd wiesz? – zapytał z zawstydzeniem.

– Nieważne skąd, tylko jak.

– Jak? – powtórzył zdezorientowany.

– Jak można podchodzić piętnaście razy do egzaminu i nie zdać?! – Odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się donośnie.

– Ciii! – uciszył ją, rozglądając się dookoła. – No już, dziewczyny, głupio wyszło. Może lepiej zapomnijmy o sprawie.

– O alfie czy o twoim prawku? – zapytałam.

– A raczej o jego braku – dodała głośno Zuzka.

– Ciii, no już, proszę… – wyjęczał Adam.

– Okej, twój sekret jest u nas bezpieczny – powiedziałam. – Zapominamy o całym tym dniu.

– Czyli o competizione też? – dopytał zrezygnowany.

– Adamie, a który manewr na placyku sprawia ci największą trudność?! – zapytała donośnie Zuzka, przykuwając umyślnie uwagę kilku osób siedzących przed jadalnią.

– Dobra, już dobra, zapominamy. – Uniósł ręce.

– Fajnie, że się rozumiemy – oznajmiłam. – A teraz pozwolisz, że dokończymy rozmowę, którą nam przerwałeś. – Usiadłam z powrotem na murku.

– Tak, pewnie. Na razie. To znaczy, do zobaczenia na lekcji – odparł spłoszony, odwrócił się i odszedł w kierunku jadalni.

Po wymianie kilku komentarzy na temat Adama, wróciłyśmy do mojego dzisiejszego spotkania z Gabrielem. Przedstawiłam Zuzce swój plan.

– A nie masz do niego telefonu? – wyjęczała chyba niezbyt zadowolona z mojej sugestii.

– Przecież ci mówię, że nie mam – syknęłam przez zęby.

– To najwyżej chwilę poczeka. Korona mu z głowy nie spadnie.

– A jak nie poczeka? Pomyśli, że go olałam? Albo że go nie lubię? Proszę, no zrób to dla mnie.

– Jezu, Lara, ty się w nim zabujałaś – stwierdziła bez ogródek.

– Nie. Przecież w ogóle go nie znam. Nie. Zdecydowanie i stanowczo nie. – Pokręciłam głową. – To, że szanuję jego czas, nie oznacza wcale, że, no wiesz, że coś do niego czuję.

Oczyma wyobraźni ujrzałam Gabriela wyczekującego na mnie pod szkołą i serce zaczęło mi uderzać szybciej.

– Nie pieprz mi tu farmazonów. Twoja buraczana buźka cię zdradziła. – Założyła ręce na piersi.

Dotknęłam dłońmi rozgrzanych policzków. Były rozpalone jak piec.

– Tu jest po prostu gorąco. Pewnie włączyli już ogrzewanie. – Wstałam z ławki. – Idę do łazienki, ty też?

Nadeszła ostatnia lekcja. Uderzałam ołówkiem w otwartą książkę, spoglądając co rusz na powolnie tykające wskazówki ściennego zegara umieszczonego nad tablicą.

– *Larysa, was denkst du?*[3] – zapytała z twardym akcentem krążąca po klasie nauczycielka niemieckiego.

Spojrzałam zdezorientowana na Zuzkę, która w tym samym momencie wskazała palcem na zdanie w swoim zeszycie.

– *Ich stimme dem Autor zu*[4] – przeczytałam.

– *Gut, und du Norbert*?[5] – kontynuowała odpytywanie w drugim końcu sali.

– Dzięki – powiedziałam cicho do Zuzy.

– Nie ma sprawy. Ale na przyszły raz, jak nie wiesz, co się dzieje na lekcji, to nie wal ołówkiem, jakbyś grała na bębnach.

Zerknęłam ponownie na zegarek, którego szare strzałki drgnęły, wskazując czternastą. Rozległ się dźwięk szkolnego dzwonka.

– Zuza… – Zerknęłam na przyjaciółkę.

– Osobiście dopilnuję, żeby wszystko zrozumiał i na ciebie poczekał – zapewniła.

– Dzięki wielkie – powiedziałam, przytulając ją spontanicznie.

– I nadal twierdzisz, że nic do niego nie czujesz? Szkoda, że się teraz nie widzisz. Wyglądasz jak pies, który czeka na miskę z żarciem.

Przerwał nam kłujący w uszy głos Natalii:

– Gotowa na show? – Chwyciła mnie pod ramię, obrzucając Zuzkę lekceważącym spojrzeniem.

– To ja lecę. Nie pozwólmy nikomu czekać. – Zuza puściła mi oko, zarzuciła torbę na ramię i wyszła dynamicznym krokiem z klasy.

– Kto na nią czeka? – zapytała z zaciekawieniem Natalia. – Czy to Patryk? Przyjechał już na weekend? – Jej twarz zaczęła się rumienić.

– Czy przypadkiem nie powinnyśmy już iść na salę? – starałam się odwrócić jej uwagę.

– Och, tak. Wszyscy już pewnie się zebrali i nie mają pojęcia, od czego zacząć. Chodźmy, chodźmy. – Pociągnęła mnie za ramię.

Chwilę później stałyśmy już w drzwiach sali gimnastycznej.

– Źle, źle, źle! – krzyknęła Natalia, wbiegając na środek parkietu, gdzie ćwiczyły pojedyncze pary.

Oparłam się o futrynę, przyglądając się miotającym się uczniom.

– Tyle razy wam powtarzałam, że bez muzyki to możecie sobie w nosie podłubać! Czemu robicie ten układ na sucho? – zapytała ostro Natalia.

– Może dlatego, że ty masz płytkę z nagraniem? – odparła z wyrzutem jedna z dziewczyn.

– Lidka, nie pyskuj! Pamiętaj, że na twoje miejsce czeka jeszcze tuzin trzecioklasistek – skutecznie uciszyła speszoną dziewczynę Natalia.

Wyraz jej twarzy i ton głosu wywołał we mnie negatywne emocje. Miałam ochotę solidnie nią potrząsnąć, ale nie zamierzałam zniżać się do jej poziomu.

– O, widzę, że już zaczęliście – rozległ się z drugiego końca sali młody głos wuefistki, która weszła drzwiami od strony zaplecza.

– Oczywiście, pani profesor. – Natalia przybrała maskę uroczej Królewny Śnieżki

opiekującej się czule setką nieporadnych krasnoludków.

– Znakomicie, Natalio. Usiądę tutaj z boku – odparła serdecznie wuefistka, przesuwając krzesło pod ścianę.

Czemu nikt z nauczycieli nie dostrzegał prawdziwego oblicza Natalii? Czy ogarnęła ich wybiórcza ślepota, czy też ta diablica potrafiła się tak świetnie kamuflować?

– Kochani! – Pobudzona pochwałą Natalia zaklaskała w ręce. – Ustawiamy się na krańcowej linii. Po lewej stronie sali dziewczyny, po prawej chłopcy.

Podbiegła do pozostawionej po dyskotece konsoli i podała znudzonemu drugoklasiście płytę. Wracając na swoje miejsce, zboczyła w stronę męskiego rzędu i chwyciła Adama za nadgarstek.

– Tu masz stać! – syknęła, pociągając go we właściwe miejsce. – Wyrównajcie do niego! – nakazała stojącym za nim chłopakom.

Podeszła do sznura dziewcząt i przyjmując postawę wyjściową, krzyknęła do ustawionych tancerzy:

– Tańczymy układ od początku! Jedną czwartą okręgu przemierzamy krokiem podstawowym w pojedynkę. Dochodzimy do krótszej linii i spotykamy się ze swoim partnerem. Łapiemy się za dłonie i podążamy posuwistym krokiem przez środek sali. Po dojściu do przeciwległego końca skręcamy wszyscy w lewo, zmieniając chwyt prawą ręką na lewą. Chłopcy prowadzą przed sobą partnerki. Cały korowód podąża oczywiście za mną i Adamem. Mijamy drzwi wejściowe, dochodzimy do połowy sali i rozchodzimy się na boki. Pary parzyste podążają w prawo, a nieparzyste w lewo. Po przejściu całego okręgu formujemy czwórki i przechodzimy środkiem parkietu. Potem tworzymy tunel, rozdzielamy się z partnerem i wracamy na końcowe linie. Po dwóch taktach łączymy się ponownie w pary, spotykając się na środku. Dotykamy się lewymi dłońmi na wysokości twarzy i obracamy się w prawo, a po trzech obrotach zmieniamy ręce i poruszamy się w lewo dookoła własnej osi. Pamiętajcie o kontakcie wzrokowym! Po tej ostatniej figurze kłaniamy się partnerowi i schodzimy parami z parkietu w objęciu podstawowym. Gotowi?!

Głośne pytanie wybudziło niektórych z głębokiego snu.

– Taaak… – odezwały się pojedyncze głosy.

– Uwaga! – Natalia uniosła dłoń do góry. – Poloneza czas zacząć! – zawołała, dając znak chłopakowi za konsolą.

Donośne dźwięki poloneza z filmu *Pan Tadeusz* wypełniły salę gimnastyczną.

Tancerze ruszyli płynnym krokiem w kierunku swoich partnerów, by po chwili ukłonić się z gracją i podać sobie wyprostowane jak struna ręce. Kolumna nastolatków stąpających w takt podniosłej muzyki podążała przez środek parkietu. Na ich czele kroczyli dumni Natalia z Adamem. Ten niecodzienny obraz tańczących par oraz majestatyczne dźwięki pięknej kompozycji sprawiły, że przez moment zrobiło mi się żal, że nie biorę w tym udziału. Chłonęłam każdą melodyjną nutę, spoglądając z zachwytem na zbliżającą się kolumnę. Gdy była zaledwie kilka metrów przede mną, poczułam, że ktoś ujmuje moją dłoń.

– Mogę prosić? – zapytał męski głos.

Moje serce podskoczyło. Gabriel objął mnie w talii i poprowadził przodem na parkiet. Szedł tuż za mną tak, że czułam ciepło bijące od jego piersi. Jego gorący oddech owionął moją szyję.

– Pięknie wyglądasz – powiedział niskim głosem, prowadząc mnie w tańcu, w rytm muzyki.

Przeszedł mnie przyjemny dreszcz. Dotyk dłoni Gabriela, jego bliskość sprawiły, że poddałam się całkowicie jego tanecznym rozkazom. Nie miałam pojęcia, dokąd i jakim krokiem podążać, lecz nie musiałam się o to martwić, bowiem Gabriel bezbłędnie mnie prowadził. Teraz to my byliśmy pierwszą parą poloneza.

– Zmiana rąk. – Dostojnie przeszedł obok mnie i ujął moją prawą dłoń. Nasze spojrzenia się spotkały, moje serce uderzało teraz jeszcze szybciej.

– Nie zdążyłeś zdjąć płaszcza – zauważyłam.

– Trochę się śpieszyłem – odpowiedział i puścił do mnie oko.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Twoja urocza przyjaciółka mi powiedziała – odparł, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy.

Zerknęłam w stronę drzwi, o framugę opierała się Zuzka susząca zęby. A miała go tylko uprzedzić, że się trochę spóźnię.

Kolejne kroki tańca, przejście w tunelu, dotyk Gabriela i podniosła muzyka przeniosły mnie w czasie i przestrzeni. Byłam Zosią w zwiewnej sukience i kwiecistym wianku tańczącą w towarzystwie Tadeusza, który prowadził ją dumnie w takt melodii, po czym skłonił się szarmancko w pas, dziękując tym samym za dostojny taniec.

– Brawo! Świetnie! – zawołała biegnąca w naszym kierunku wuefistka. – Panie Gabrielu, co za efektowne wejście. Laryso, nie podejrzewałam cię o takie zdolności

taneczne. Chociaż uważam, że dobry partner i z łamagi zrobi baletnicę – dodała, w moim odczuciu zupełnie niepotrzebnie. – Koniecznie musicie zatańczyć na balu studniówkowym.

– Jeśli o mnie chodzi, to bardzo chętnie – odpowiedział Gabriel. – Jednak nie zdążyłem jeszcze oficjalnie zaprosić Larysy na studniówkę. Nie wiem, czy przypadkiem nie ma już innych planów na ten wieczór. – Spojrzał na mnie, unosząc brew. – Nie chcę stawiać jej w niezręcznej sytuacji lub co gorsza, przymuszać do mojego towarzystwa.

Czy naprawdę tak uważa, czy też w elokwentny sposób unika zaproszenia mnie na bal? Myśl o spędzeniu wspólnie studniówki była nęcąca. Wolałam jednak, by propozycja ta wyszła od niego, a nie od wuefistki.

– Myślę, że zarówno ja, jak i Gabriel powinniśmy na spokojnie przemyśleć kwestię balu studniówkowego.

– Laryso, uważam, że nie masz się nad czym zastanawiać. Każda dziewczyna marzy o takim wyróżnieniu. Będziecie pierwszą parą poloneza.

Za moimi plecami rozbrzmiał jęk. Odwróciłam się i mym oczom ukazała się twarz Natalii, która wyglądała, jakby zamierzała eksplodować, siejąc całkowite spustoszenie i ostateczną zagładę gatunku ludzkiego. Mimo to dziewczyna starała się trzymać nerwy na wodzy.

– Pani profesor – odezwała się. – Jako twórca i reżyser całej choreografii uważam, że jest stanowczo za późno na wprowadzanie jakichkolwiek zmian. Kosztowało mnie sporo wysiłku… – Zaczął jej się łamać głos. – Proszę zrozumieć, prowadzenie całej kolumny przez pierwszą parę… – Niebieskie oczy napełniły się łzami, a kąciki ust drgnęły i wygięły się w podkówkę. Hiena żywiąca się stęchłą padliną przeobraziła się w bezbronnego szczeniaka.

Zrobiło mi się jej szkoda. Patrzyłam, jak Natalia za wszelką cenę stara się otrzeć łzy spływające po policzkach i odzyskać rezon.

– Nikt ci tego nie odbierze – oznajmiłam. – Nie wiem, jak inni, ale ja się nie odważę na oczach całej szkoły poprowadzić setki nieskoordynowanych nastolatków.

Natalia zaśmiała się przez łzy.

– Czyli nie chcesz prowadzić orszaku? – zapytała, jakby nie do końca rozumiała.

– Chcieć to może bym i chciała, ale dlaczego mam psuć pozostałym widok i dobrą zabawę?

Śmiech maturzystów rozluźnił atmosferę. Poczułam, jak Gabriel obejmuje mnie

w talii i zrobiło mi się gorąco. Podniosłam wzrok i napotkałam stalowe oczy, które patrzyły na mnie z lekkim niedowierzaniem, a zarazem nutą podziwu.

Promienie słońca wypełniły ciepłem jesienne powietrze. Myśl o romantycznym spacerze z Gabrielem napełniała mnie ekscytacją. Ruszyliśmy ulicą, minęliśmy szkołę oraz szeroki pas zieleni i weszliśmy na wąski chodnik. Niewielka odległość między nami sprawiała, że moje serce biło znacznie szybciej niż zwykle.

Rozmawialiśmy o szkole, o moich znajomych, o tym, że w Starym Lesie rzadko coś się dzieje. I gdy zrobiło się naprawdę miło, wspomniałam o incydencie z Nowakową. Gabriel zmarszczył brwi i nic nie odrzekł. Zeszliśmy w milczeniu z chodnika na polną drogę, wzdłuż której rosły sosny.

– Przepraszam. Miałam nie wspominać o Nowakowej – przyznałam.

– Nie przepraszaj. To zrozumiałe, że chcesz wiedzieć, co się wtedy wydarzyło. – Gabriel zapatrzył się daleko przed siebie.

– I wciąż nie możesz mi tego wyjaśnić?

– Przykro mi. – Przeniósł na mnie wzrok. – Mimo wszystko chcę, żebyś wiedziała, że przebywanie z tobą sprawia mi ogromną przyjemność.

Jego wyznanie obudziło rój motyli w moim brzuchu. Nie pamiętałam, bym kiedykolwiek wcześniej doświadczyła tak żwawego trzepotania ich skrzydeł.

Minęliśmy sosnowy lasek i naszym oczom ukazało się słońce, które oświetlało swoim blaskiem złotą łąkę. Stanęliśmy, wpatrując się w oranżową kulę. Widok zapierał dech w piersiach. W trawach szeleściły małe ptaki, gdzieś w lesie wieczorną pieśń wygrywał drozd. Miałam ochotę wziąć pędzel do ręki i uwiecznić na płótnie ten baśniowy krajobraz. Udzielił mi się romantyczny nastrój chwili.

– Nie wiem, co i dlaczego przede mną ukrywasz, ale ja też lubię z tobą przebywać – powiedziałam.

Gabriel spojrzał na mnie spod na wpół przymkniętych powiek, ujął moją rękę i splótł swoje palce z moimi. Poczułam ciepło jego dłoni, przebiegł mnie przyjemny dreszcz. Dotyk ten różnił się od tego, z którym spotkałam się podczas poloneza. Tamten był bardziej oficjalny, ten zaś emanował bliskością.

Spojrzałam na nasze splecione dłonie. Pasowały do siebie, uzupełniały się, jak dwie połówki jednej całości.

Ruszyliśmy nieśpiesznym krokiem w stronę słońca zniżającego się ku ziemi. Niebo nad nami malowało się pomarańczą, delikatnym różem i pastelowym fioletem. Gabriel opowiadał o swoich koniach. W każdym jego zdaniu dało się wyczuć pasję i miłość do tych zwierząt. Nigdy nie słyszałam, by ktoś mówił z takim zamiłowaniem o koniach. Później zeszliśmy na temat moich zainteresowań. Wspomniałam mu, że w wolnych chwilach lubię rysować, malować, szkicować, pisać i czytać. A że Gabriel okazał się dobrym słuchaczem, napomknęłam mu również o moich rozterkach związanych z wyborem studiów. Wtedy on wypowiedział zdanie, które wydało mi się bardzo dojrzałe,: „Życie ma sens jedynie wtedy, gdy robimy to, co kochamy". Zgadzałam się z nim całkowicie, przypuszczałam jednak, że wbrew pozorom nie tak łatwo jest robić wyłącznie to, co się kocha. Mimo to postanowiłam wziąć je sobie głęboko do serca.

Sposób bycia Gabriela, jego inteligencja i bezpośredniość sprawiały, że coraz lepiej czułam się w jego towarzystwie. Bardzo dobrze nam się rozmawiało. To, co mówiłam, zdawało się wzbudzać w nim zaciekawienie. Nie musiałam udawać przed nim mądrzejszej, dojrzalszej czy mniej emocjonalnej, niż byłam. Po prostu czułam, że przy nim mogę być sobą; czułam, że chcę z nim rozmawiać i słuchać jego głosu; czułam, że przyciąga nas ku sobie jakaś niewidzialna siła.

Wciąż jednak mało o nim wiedziałam. Skoro nawet wszechwiedzący Google okazał się bezsilny w zaspokojeniu mojej ciekawości, to wyglądało na to, że w taktowny sposób muszę zaczerpnąć informacji u samego źródła:

– Wspominałeś o swoim włosko-szkockim pochodzeniu… – zaczęłam i kopnęłam żwirowy kamyk, który potoczył się po polnej dróżce. – Czy to oznacza, że twoi przodkowie pochodzą z Włoch i ze Szkocji?

Gabriel uśmiechnął się i spojrzał na mnie z ukosa.

– To długa historia, Laryso.

– Doskonale. Uwielbiam długie historie – odparłam.

Rozważał chwilę, co powiedzieć.

– Dobrze. Tylko uprzedzam cię, że to jedynie stara legenda przekazywana z pokolenia na pokolenie.

– Uwielbiam stare legendy – oznajmiłam podekscytowanym głosem, na co Gabriel zaśmiał się szczerze.

– Skoro tak, to pewnie zaciekawi cię, że historia mojej rodziny sięga czasów średniowiecza – zaczął. – Wtedy to powstał chrześcijański nurt zwany waldyzmem.

Religia ta, stworzona przez francuskiego kaznodzieję, rozprzestrzeniła się w zawrotnym tempie po dwunastowiecznej Europie i trafiła nawet w odległe rejony Piemontu. Zetknął się z nią pewien uduchowiony włoski plantator winorośli Giovanni Verdiano. Pod jej wpływem postanowił złożyć śluby ubóstwa i ruszyć w świat, by szerzyć ideę tegoż wyznania. Cały swój majątek przekazał żonie i biednym, a swoim córkom polecił wstąpić do klasztoru, by złożyły tam śluby czystości. Wszystkie dziewczęta wykonały nakaz ojca, prócz najmłodszej Sussany. Ta ciemnowłosa, najpiękniejsza z córek marzyła o wielkiej miłości. Wierzyła, że gdzieś istnieje przeznaczony jej mężczyzna. Nie wiedziała, jak wygląda i gdzie go szukać, jednak w głębi serca czuła, że gdy tylko go zobaczy, pokocha go bezgraniczną miłością. Błagała ojca, by nie odbierał jej szansy na prawdziwe uczucie i pozwolił jej ruszyć ze sobą w świat. Ukochana córka rozmiękczyła wrażliwe serce Giovanniego i wybrała się razem z nim, by szerzyć ideę waldyzmu. Po kilku miesiącach wędrówki dotarli do Szkocji, gdzie trafili na dwór władcy Wilhelma I Lwa, znanego historii jako William Dunkeld. Niezwykła uroda Sussany zauroczyła przystojnego Szkota, który skradł jej serce. Na Williamie ciążyło jednak zobowiązanie wobec króla Anglii. Przyrzekł poślubić wnuczkę Henryka I, który miał prawo wyboru żony dla szkockiego władcy. Zerwanie tej przysięgi mogło oznaczać tylko jedno – wojnę. Wilhelm postanowił więc związać się z piękną Sussaną po kryjomu. Giovanni Verdiano był niepocieszony. Uroda, władza i majątek, które oczarowały młodziutką córkę, kłóciły się z jego filozofią ubóstwa i czystości. Był jednak bezsilny. Wiedział, że Sussana znalazła uczucie, o którym marzyła. Nie miał serca odmawiać jej prawa do miłości. Miłości od pierwszego wejrzenia, rozkwitającej na przekór wszystkim i wszystkiemu. Ojciec postanowił pogodzić się z losem, jaki wybrał dla jego córki Bóg. Wyruszył samotnie w dalszą drogę, wypełniając swoje własne przeznaczenie. Sussana Verdiano pozostała z Williamem. Zakochani wzięli potajemnie ślub i spotykali się po kryjomu w małym, oddalonym od miasta pałacyku, który stał się nowym domem włoskiej dziewczyny. Ich miłość dała początek nowemu pokoleniu. Z ich związku zrodził się chłopiec o ciemnych włosach i szaroniebieskich oczach. Rodzice nazwali go Destin, co w języku galicyjskim oznaczało „przeznaczenie”. Sussana jednak bardzo ciężko zniosła długi poród. W noc narodzin, która okazała się jej ostatnią nocą, wzięła na ręce syna i zwracając się do męża, powiedziała: „Królu, oto twój potomek. Choć nie zasiądzie nigdy na tronie, nosi w sobie twoją krew. Ma oczy szkockiego władcy i włosy piemonckiej dziewczyny. To twój syn. Zrodzony na przekór wszystkiemu. Zrodzony

z przeznaczenia. Zrodzony z miłości od pierwszego wejrzenia. Zapoczątkuje klan Dunkeldów, który będzie istniał tylko dzięki *l'amore a prima vista*[6]. To właśnie ona nas połączyła. Ukochany mój królu, mężu. Gdy nasz syn dorośnie, przekaż mu, by szukał przeznaczonej mu miłości. Dzięki niej przyszedł na świat i tylko ona da mu szczęście. Tylko *l'amore a prima vista*". – Gabriel zmrużył powieki, wpatrując się w zachodzące słońce. – Były to jej ostatnie słowa – wyznał i przeniósł na mnie wzrok. – Sussana zamknęła oczy na zawsze. Po jej śmierci król Wilhelm ograniczył swoje kontakty z synem, który zbyt mocno przypominał mu ukochaną żonę. Destin dorastał więc bez rodziców w pałacu zmarłej matki, otoczony służbą i piastunkami, dzięki którym odebrał książęce wychowanie. Nikt, prócz nich, nie wiedział jednak o istnieniu potomka króla Szkocji. W grudniowy dzień 1214 roku Wilhelm I wezwał na dwór Destina. Leżący na łożu śmierci ojciec, poruszony swoją wcześniejszą obojętnością, okazał skruchę ukrywanemu synowi i wyznał mu ostatnie słowa Sussany. Tego samego dnia król Wilhelm I zmarł, pozostawiając Destinowi w spadku majątek godny księcia, o czym wiedzieli jedynie nieliczni. Na tronie Szkocji zasiadł Aleksander II, jeden z wielu przyrodnich braci Destina spłodzonych po śmierci Sussany. Nieznany nikomu książę wyruszył natomiast w podróż po Europie w poszukiwaniu miłości od pierwszego wejrzenia. Długo błąkał się po świecie, jednak nigdzie nie mógł jej odnaleźć. Po wieloletniej tułaczce trafił w końcu w rodzinne strony swojej matki, gdzie spotkał tę jedyną, z którą zamieszkał w Monferrato. Zgodnie z przepowiednią matki Destina jego ród istniał, wierząc w moc przeznaczenia. Potomkowie Sussany i Williama, kontynuując tradycję, łączyli się w pary jedynie z osobą pokochaną od pierwszego wejrzenia. Niektórzy spotykali ją w dzieciństwie, inni czekali na nią kilkanaście lat, a jeszcze inni nie poznawali jej nigdy i umierali samotnie. *L'amore a prima vista* było jednak mottem każdego Dunkelda. Tak właśnie mój praprapradziad Destin rozpoczął budowę nowego szlacheckiego klanu Dunkeldów, w którym płynie szkocko-włoska krew. Ot i cała legenda.

– Poczekaj. – Starałam się poukładać sobie wszystko w głowie. – Skoro książę Destin Dunkeld, potomek króla Szkocji, był twoim praprapradziadem, to dziedziczysz tytuł do tronu?

Gabriel się zaśmiał.

– Od tamtych czasów wiele się zmieniło. Nie dość, że nikt nie wiedział, że książę Destin w ogóle istnieje, to w dodatku Szkocja od dawna nie jest niezależnym

królestwem.

– Rozumiem. Ale gdyby nadal nim była i gdyby istnienie Destina wyszło na jaw, to byłbyś księciem?

– Myślę, że gdybanie nie ma większego sensu. Historia potoczyła się inaczej.

– Tak, ale czy to nie ma znaczenia, że jesteś potomkiem króla?

– Obecnie? Nie. Jedyne, co pozostało po naszym klanie, to ja i majątek. Prawie cały ród zniknął z powierzchni ziemi w Wielkanoc piemoncką.

– Jak to zniknął?

Gabriel zapatrzył się na schodzące z widnokręgu słońce. Jego twarz spochmurniała, rysy się wyostrzyły, srebrzące się dotąd oczy przygasły i pociemniały.

– Destin Dunkeld postanowił przyjąć waldyzm, który rósł w siłę w całej Europie – zaczął mówić. – Wyznanie zapoczątkowane w stronach Monferrato przez Giovanniego Verdiana stanowiło na tyle duże zagrożenie dla papieża, że wyznawcy waldyzmu stali się obiektem krucjat krzyżowych. Klan Dunkeldów, dzięki temu, że zamieszkiwał trudno dostępne rejony Piemontu, sprawnie opierał się prześladowaniom. Do czasu. To był krwawy okres, przepełniony ciemnością, strachem i śmiercią. – Czoło Gabriela przecięła zmarszczka, grdyka zafalowała. Przestał mówić i spojrzał mi w oczy. Uderzył mnie ogrom emocji, jakie w nich ujrzałam: gniew, smutek, ból.

– Wszystko w porządku?

– Zrobiło się już późno, chyba powinniśmy wracać.

– Nie dokończysz opowiadać? To takie ciekawe…

– To opowieść na inną porę. Wracajmy, powoli się ściemnia.

Spojrzałam na horyzont. Słońce już zaszło, a nad Starym Lasem zawisła listopadowa mgła. Chyląca się ku końcowi jesień zdawała się kłócić z wczesną zimą. Poczułam przenikający chłód i zadrżałam.

– Zimno ci? – zapytał Gabriel.

– Odrobinę – odparłam i w tej samej chwili machinalnie zaszczękałam zębami.

Roześmialiśmy się. Nasz śmiech wypełnił wieczorną ciszę i odbił się od ściany lasu.

– W aucie włączę ogrzewanie, póki co musisz się zadowolić moim płaszczem. – Rozpiął guziki.

– Daj spokój, przecież mam kurtkę – zaoponowałam.

Gabriel stał już jednak w samej koszuli, która opinała jego klatkę piersiową i ramiona. Kołnierzyk miał lekko rozchylony, rękawy podwinięte powyżej nadgarstka.

– Proszę. – Zarzucił mi płaszcz na ramiona.

Spowił mnie ciepły korzenny zapach. A więc tak pachnie Gabriel – pomyślałam i bezwiednie wtuliłam twarz w kołnierz palta.

– Cieplej? – zapytał, odwijając pośpiesznie rękaw swojej koszuli.

– Tak, dziękuję – odparłam i wtedy mój wzrok przykuła blizna na wewnętrznej części przedramienia, którą Gabriel tak skutecznie starał się zasłonić. – Skąd ją masz? – Bez zastanowienia dotknęłam białej szramy ciągnącej się od nadgarstka aż po łokieć. – Wygląda na poważną ranę. To od noża?

– Nie. – Momentalnie jego twarz przybrała surowy wyraz.

Cofnęłam rękę, a wtedy on zakrył bliznę rękawem koszuli. Przez moment miałam wrażenie, że czarujący Gabriel zniknął, a w jego miejsce powrócił obcy Nieznajomy. Lecz wtedy on spojrzał na mnie i odpowiedział:

– To blizna od rany zadanej mieczem. – Na jego policzku drgnął mięsień.

– Mieczem? – Próbowałam to sobie wyobrazić. Rozumiałam rodzinną historię średniowiecznego rodu, ale skąd mu się wziął miecz w dwudziestym pierwszym wieku?! – Od takiego prawdziwego jak w *Ogniem i mieczem*? – dopytałam.

– No może nie do końca od takiego olbrzymiego, jakim walczył Longin Podbipięta herbu Zerwijkaptur, ale tak, od prawdziwego miecza.

– Jak to się stało? Ktoś cię zaatakował? Skąd miał miecz?

Gabriel przewrócił oczami.

– Tak sądziłem, że zarzucisz mnie lawiną pytań.

– A ty co byś zrobił, gdybym ci wyznała, że mam w nodze dziurę od średniowiecznej maczugi?

– Uznałbym, że kłamiesz.

– Dlaczego?

– Ponieważ wówczas nie tańczyłabyś z taką gracją poloneza. – Uśmiechnął się szeroko.

Piękny uśmiech, panie Gabrielu, ale ja nie zamierzam tak łatwo odpuścić.

– Nie rozumiem. Co w tym złego, że chcę cię lepiej poznać?

– Absolutnie nic. Co więcej, to mi schlebia. Po prostu zadajesz pytania, na które nie mogę udzielić ci odpowiedzi. Uwierz mi, szczerze żałuję, że nie mogę wyznać ci całej prawdy. A jeszcze bardziej obawiam się chwili, w której wreszcie ją poznasz i uznasz, że nie chcesz mnie znać.

Spojrzałam na niego, nie do końca pewna, czy się nie przesłyszałam. Do głowy napłynęła mi niespokojna myśl: Co takiego musiałby zrobić Gabriel, żebym nie chciała go znać?

Dreszcz przeszedł mi po plecach.

Cofnęłam się pamięcią do wieczora, którego to Nieznajomy opierał się obojętnie o samochód, podczas gdy Nowakowa umierała na jego oczach. Po chwili, w wyobraźni, ujrzałam go stojącego na poboczu, kiedy kilkanaście metrów dalej ofiara wypadku samochodowego wykrwawiała się na śmierć.

Poczułam niepokój. Czym prędzej odrzuciłam od siebie czarne myśli. Ciągłe rozpamiętywanie i karmienie się domysłami było bez sensu. Musiałam to w końcu wyjaśnić.

– Gabrielu, czy możesz mi odpowiedzieć tylko na jedno pytanie? – odezwałam się.

Dostrzegłam wahanie na jego twarzy. Przesunął dłonią po włosach i spojrzał w niebo, na którym zdążyły zabłysnąć już pierwsze gwiazdy.

– Dobrze. Jedno pytanie.

– Czy twoja obecność wtedy, gdy zasłabła Nowakowa i tamten chłopak uległ wypadkowi, była przypadkowa, czy miałeś w tym jakiś udział?

Gabriel wziął wdech przez nos, wstrzymał powietrze i wypuścił chmurę pary z ust.

– Trudne pytanie – odparł.

– Trudne? Dla większości zwykłych ludzi banalnie proste.

– Może ja nie jestem zwykłym człowiekiem.

– Co masz na myśli? – Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

– To, że posiadam pewne cechy, które wykraczają poza ludzkie możliwości – oznajmił.

– Jakie cechy?

– Laryso, miało być jedno pytanie – przypomniał stanowczo.

– Na które nie odpowiedziałeś – zauważyłam. – Jakie cechy? – zapytałam

ponownie i wtedy z nieba huknął ogłuszający grom. Oślepił mnie błysk pioruna. Zasłoniłam uszy i zobaczyłam twarz Gabriela rozświetloną blaskiem. Niepokojąco piękną, przypominającą woskową maskę jak na mistycznych obrazach El Greca.

Zamarłam.

Oczy Gabriela przybrały ciemnografitową barwę i pochwyciły moje spojrzenie. Serce waliło mi szybko i mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Gabriel ujął moje dłonie i odsunął je od uszu.

– Już po wszystkim. Chodź, odwiozę cię do domu.

Rozejrzałam się dookoła. Spokój i cisza. Nie dostrzegłam żadnego śladu po uderzeniu pioruna, tylko echo grzmotu łomotało jeszcze w mojej głowie. Popatrzyłam pytająco na Gabriela.

– Co to było?

– Wyładowanie atmosferyczne.

– Przecież na niebie nie ma ani jednej chmurki. Jak to możliwe?

– Laryso, koniec z pytaniami na dzisiaj – powiedział z wyraźną stanowczością. – Czy możesz to dla mnie zrobić?

Aż mnie skręcało w środku, żeby drążyć temat dalej. Nie miałam pojęcia, co właściwie się zadziało. Zamiast dowiedzieć się dzisiaj czegoś o Gabrielu, dostałam jeszcze więcej niewiadomych. Wiedziałam jednak, że teraz nic już od niego nie wyciągnę.

– Tak, mogę – odpowiedziałam.

Resztę drogi do auta spędziliśmy w milczeniu.

Przyjemne ciepło wypełniło wnętrze samochodu, gdy Gabriel wycofywał alfę ze szkolnego parkingu.

Odtwarzacz na desce rozdzielczej zaczął czytać płytę, która była w środku. Rozbrzmiały melancholijne dźwięki sonaty Księżycowej.

– Zostawić? – zapytał Gabriel. – Nie każdy toleruje taką muzykę. – Ruszył łagodnie spod szkoły.

– Mnie się podoba – przyznałam. – Lubisz Beethovena?

– Miałaś nie zadawać więcej pytań. – Uniósł kąciki ust.

Poczułam ulgę, że chwilowo napięta sytuacja ulega rozluźnieniu.

– Tym razem nie wymigasz się tak łatwo – odpowiedziałam z uśmiechem. – Lubisz?

– Lubię, chociaż dużo zależy od nastroju i od utworu.

– A teraz jesteś w odpowiednim nastroju? – spytałam, przechylając głowę.

Spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– Żeby słuchać sonaty Księżycowej? – Przyglądał mi się przez chwilę, po czym uśmiechnął się tajemniczo. – Myślę, że tak. Kojarzy mi się z miłością. – Przeniósł wzrok z powrotem na drogę.

Momentalnie zrobiło mi się gorąco. Wątpiłam, by przyczyną było włączone ogrzewanie w aucie. Spojrzałam przez szybę. Zrobiło się już zupełnie ciemno. W oknach mijanych domów paliły się światła, a zza wierzchołków drzew przyglądała mi się twarz księżyca.

– Zawsze myślałam, że ten utwór opisuje piękno księżycowej nocy – powiedziałam.

– Nazwa, której wszyscy używają, jest myląca – odparł Gabriel. – Pierwotny tytuł brzmiał *Sonata quasi una fantasia*, czyli *Sonata na kształt fantazji*. Beethoven stworzył ten utwór dla swojej pierwszej miłości, hrabiny Giulietty Guicciardi.

– Pierwszej? Musiał być zatem bardzo młody, komponując utwór.

– Miał trzydzieści lat.

– O, sporo.

Gabriel uniósł brew.

– Trzydzieści lat to twoim zdaniem dużo? – zapytał zaintrygowany.

– No chyba dużo, jak na pierwszą miłość – odrzekłam.

– Czyli uważasz, że w tym wieku jest już za późno na przeżycie prawdziwej miłości?

– Nie mówiłeś, że chodzi o prawdziwą miłość, tylko o pierwszą – sprostowałam.

Zastanowiło mnie, jak w wieku osiemnastu lat, kiedy nie dane mi było wcześniej prawdziwie kochać, mogłam mieć już wyrobione zdanie na ten temat? Popatrzyłam na profil Gabriela i serce zabiło mi mocno. A on? Czy przeżył już swoją prawdziwą miłość?

Pochwycił moje spojrzenie.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział i zgasił silnik auta.

Wyjrzałam przez okno.

– Faktycznie, dziękuję.

– Proszę bardzo. – Patrzył na mnie tak intensywnie, że gdybym stała, musiałabym

usiąść.

– Może masz ochotę na herbatę? – zapytałam, zaskakując samą siebie.

Gabriel uśmiechnął się, jakby zamierzał przyjąć moje zaproszenie, lecz nagle jego twarz stężała niczym marmurowy posąg. Oczy mu pociemniały, brwi zbiegły się ku sobie. Wyglądał, jakby odpłynął myślami gdzieś daleko, a jednoczenie nasłuchiwał czegoś uważnie w skupieniu.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Ocknął się niczym ze snu i popatrzył na mnie rozkojarzony.

– Najmocniej cię przepraszam… – Zmarszczył czoło, jakby koncentrował myśli. – Obawiam się, że muszę już jechać.

Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wysiadł z samochodu, obszedł auto szybkim krokiem, otworzył drzwi od mojej strony i podał mi dłoń. Przyjęłam ją i wysiadałam.

– Dziękuję za płaszcz. – Zdjęłam odzienie Gabriela, obserwując jego spiętą twarz.

Ubrał się od razu i ponownie ujął moją dłoń.

– Laryso, wybacz, proszę. To naprawdę nagła sytuacja – powiedział takim głosem, jakby ktoś ściskał go za gardło.

– W porządku. Na pewno masz ważny powód.

– Twoja wyrozumiałość wiele dla mnie znaczy. – W jego oczach pojawił się lazurowy blask.

Przybliżył moją dłoń do swoich ust i złożył na niej pocałunek. Poczułam na skórze jego oddech i ciepło miękkich warg. Nigdy bym nie przypuszczała, że tak niewinnie złożony pocałunek może być tak przyjemny i ekscytujący. Zapragnęłam, by ten moment trwał wiecznie.

Ale nie trwał.

– Dziękuję za urocze towarzystwo i do zobaczenia – powiedział.

Chwilę później odjechał spod mojego domu i pognał przed siebie, jakby gonił go sam diabeł.

[3] Co o tym sądzisz, Laryso? (niem.).

[4] Zgadzam się z autorem. (niem.).

[5] W porządku, a ty, Norbert? (niem.).

[6] Miłość od pierwszego wejrzenia. (wł.).

Gabriel

Zatrzymałem samochód tuż za rogiem, zgasiłem silnik i zamknąłem powieki. Wystarczyły trzy sekundy, abym przed oczami ujrzał skałę brzegową w hrabstwie Anrim w Irlandii. Nie minęło pięć, jak poczułem na twarzy deszcz i słony wiatr od morza. Było zimno, wilgotno i szaro. Zapiąłem płaszcz i poczułem na kołnierzu delikatny, kwiatowy zapach. Jej zapach. Przed oczami stanęły mi szmaragdowe oczy Larysy. Ich kolor przywodził mi na myśl rodowy pierścień Dunkeldów.

Lecz teraz nie był moment, by o tym myśleć, teraz musiałem skupić się na zadaniu. Kilkanaście kroków przede mną przemoknięty Colin z gitarą w ręku stał na skraju zbocza, wpatrując się w zimne wody Morza Północnego. Byłem pierwszy, Marou jeszcze nie dotarł. Od Posłańca uzyskałem zaledwie kilka szczegółów, które mogły mi pomóc. Chłopak miał szesnaście lat, mieszkał tylko z ojcem, matka zmarła trzy lata temu. Zakochał się w zeszłe wakacje w Rosie. To była jego pierwsza poważna miłość. Komponował dla niej piosenki i grał na gitarze. Dwa dni temu zerwała z nim, by spotykać się z jego przyjacielem.

Podszedłem do Colina i usiadłem na głazie zaledwie metr od niego.

– Podobno świetnie grasz na gitarze – zacząłem przemawiać do niego w myślach. – Szkoda, aby taki talent się zmarnował przez jakąś dziewczynę niepotrafiącą dochować wierności. Są setki innych, które docenią, jakim świetnym jesteś facetem.

– Ona była wyjątkowa, jedyna. Nie wyobrażam sobie bez niej życia. Bez niej nic nie ma sensu. – Usłyszałem jego myśli.

– Rozumiem, próbowałeś z nią rozmawiać? Jesteś pewien, że to skończone?

– Widziałem ich razem, to mi wystarczyło. Wszyscy mnie opuszczają. Najpierw mama, a teraz Rosie, i ten zdrajca Ben! – Twarz Colina wykrzywił grymas gniewu, zamachnął się gitarą i wyrzucił ją w powietrze. Instrument poleciał niesiony wiatrem, po czym opadł na skały i roztrzaskał się na kawałki. Resztki gitary zabrała fala, która odbiła się od brzegu.

– Wiem, że jest ci ciężko – powiedziałem – i przyznam, że świetnie sobie radzisz.

Ja bym już dawno udusił drania. Szkoda tylko gitary.

– Nie będzie mi już potrzebna.

– Grałeś na niej, zanim pojawiła się Rosie?

– Grałem na niej, odkąd skończyłem siedem lat.

– I o czym wtedy myślałeś?

– O wszystkim. O deszczu, który uderza od szyby; o słońcu, które ogrzewa twarz; o psie, który goni za patykiem.

– Masz psa? Jak się wabi?

– Home.

– Home, jak dom?

– Tak.

– Wróć do niego. W domu jest jeszcze ktoś inny, kto na ciebie czeka.

– Tata…

– Przypomnij sobie wasze wspólne chwile w domu. Pewnie macie jakieś swoje ulubione gry, robicie samoloty z papieru, rozwiązujecie krzyżówki…

– Lubimy oglądać *Przyjaciół*. Codziennie dwa odcinki. Gdy skończymy ostatnią serię, puszczamy serial od nowa. Mama często śmiała się do łez, gdy go oglądała. Dzięki niemu mamy wrażenie, że wciąż jest z nami.

– Szkoda by było przerwać taką fajną tradycję. A tak w ogóle, trochę przypominasz mi z wyglądu Chandlera. To świetny gość. Może też masz takie poczucie humoru, jak on?

– Uwielbiam go. A zażartować czasem mi się zdarza. – Colin zrobił niewielki krok w tył.

– Kojarzę, że nie miał za dużego powodzenia w miłości, zawsze trafiał na jakieś dziwne dziewczyny.

– Tak. Zwłaszcza na Janice. Jej głośne: *Oh my God!* jest fenomenalne. – Przez twarz Colina przebiegł uśmiech.

– Ale w końcu znalazł szczęście z Monicą – przypominałem. – Może i w twoim otoczeniu jest dziewczyna, której nie zauważasz, która okaże się twoją prawdziwą miłością. Albo dopiero się pojawi, gdy pójdziesz na studia, do pracy. Chandler miał prawie trzydzieści lat, jak zszedł się ze swoją ukochaną. Na każdego przyjdzie pora, wszystko ma swoje miejsce i czas.

Colin zrobił kolejny krok w tył.

– Szkoda, że nie nakręcili więcej odcinków – przyznał. – Za każdym razem, jak widzę końcowe napisy ostatniego odcinka, chce mi się płakać, chociaż wszystko dobrze się skończyło.

– To naturalne, ogarnia cię uczucie smutku i tęsknoty za tym, co minęło i już nie wróci. I jest to normalny ludzki odruch. Wszystko przemija, miłość do pierwszej, ukochanej dziewczyny, ale również tęsknota za nią, wyobrażenie o wspólnej przyszłości. Życie podsuwa nam jednak nowych ludzi, których poznajemy, tworzy nowe sytuacje, które dają radość, dodają otuchy, napawają nadzieją na przyszłość. Smutek przeminie, zobaczysz, wszystko się ułoży.

Colin postąpił krok w tył. Wstałem z głazu w tym samym momencie, gdy chłopak dał jeszcze jeden krok do tyłu. Usiadł ciężko na kamieniu, jego ramiona opadły z rezygnacją, usta wykrzywił grymas. Colin zaczął płakać – a ja już byłem niemal pewien, że udało mi się zrealizować moje zadanie.

– Dobrze, potrzebujesz łez, one pomogą ci się uporać ze smutkiem – powiedziałem.

Wnet usłyszałem znienawidzony, szorstki głos:

– Nie becz, tylko skacz! – Marou zjawił się za plecami Colina. – Wstań i skończ z tym przeklętym życiem. Matka czeka na ciebie, ona ukoi twój smutek. Tylko na nią możesz liczyć. Wszystkie inne kobiety to kłamliwe suki, takie jak Rosie – wysyczał.

– Colinie, ojciec czeka na ciebie. Wstań i idź do domu. Ogrzej się, wysusz, przytul do taty, do psa. Wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży.

– Bzdury! – parsknął Marou. – Nic się nie ułoży, no chyba że mówimy o związku twojej byłej dziewczyny z twoim najlepszym przyjacielem…

Lecz Colin już go nie słuchał. Wstał z pochyloną głową i ruszył wydeptaną ścieżką w stronę domu. Wrażliwy, dzielny dzieciak oparł się kuszeniu Marou. Miałem ochotę go uścisnąć i mu pogratulować. Ale nie mogłem. Odprowadziłem go wzrokiem i zapewniłem ostatni raz:

– Jesteś świetnym kolesiem, wszystko się ułoży.

Marou zaśmiał się w głos.

– Zawsze jak słyszę te twoje brednie, Dunkeld, to chce mi się puścić pawia.

– Udanej zabawy w takim razie – odparłem. – Nic tu po mnie.

I gdy już miałem wrócić do auta, złapał mnie za rękę. Jego ciemne oczy ciskały we mnie błyskawice, czarne długie włosy przykleiły mu się do mokrego czoła, pooranego bruzdami.

– Poszczęściło ci się, dzieciaku. Gdybym się nie spóźnił, chłopak byłby mój – wysyczał mi w twarz.

Odrzuciło mnie od odoru siarkowodoru. Cofnąłem się, lecz on przytrzymał mnie mocno.

– Puszczaj, bo nie ręczę za siebie. – Krew mi zawrzała.

– Dunkeld, gorączka. Chyba nie zamierzasz ze mną walczyć, co? – Roześmiał się i puścił moją rękę. – Jestem od ciebie starszy, bardziej doświadczony, nie masz szans.

– Chcesz się przekonać? – Poczułem, jak pod koszulą materializuje się zimna stal.

– Szkoda czasu i wysiłku na ciebie. – Marou splunął w bok. – Do następnego. – Zasalutował niechlujnie i rozpłynął się w powietrzu.

Rozpiąłem koszulę i wyciągnąłem miecz Askalona, przytwierdzony do pasa rzemieniem. Wbiłem ostrze w ziemię i usiadłem na tym samym kamieniu, na którym płakał wcześniej Colin. Nie przeszkadzał mi wiatr ani deszcz. Nie przeszkadzało mi również zimno.

Zatopiłem wzrok w morskich wodach i powróciłem myślami do zdarzeń z dzisiejszego popołudnia, nim dostałem wezwanie.

– Larysa… – Zdawało mi się, że wiatr przywiał to imię. Dopiero co ją poznałem, a już lekkomyślnie zdradziłem jej zbyt wiele o sobie. Znałem wiele dziewczyn, obcowałem z wieloma kobietami, lecz przy żadnej z nich nie czułem się tak, jak przy niej. Źle ją na początku oceniłem. Co więcej, za każdym razem, gdy spotykałem Larysę, zaskakiwała mnie jej odwaga, wrażliwość, dobroć. To, że bezinteresownie uratowała Nowakową; to, w jaki sposób potraktowała Natalię, chociaż za nią nie przepadała; to, że zaufała mi na słowo honoru, choć nic o mnie nie wiedziała. Niezwykła dziewczyna. I piękna.

Larysa

Sobotnie popołudnie minęło jak z bicza strzelił. Przez kilka dobrych godzin pomagałam Zuzce w zgłębianiu tajników wiedzy matematycznej, po czym podwiozłam ją do domu i ruszyłam do Mokrych. Pomimo ulewnego deszczu udało mi się w niecałą godzinę dotrzeć na miejsce.

Stałam zziębnięta pod kinem, wypatrując wśród przechodniów twarzy Daniela. Na próżno. Mijały minuty, a on się nie zjawiał. Skryłam się w zaciemnionej wnęce przed deszczem i po raz kolejny pożałowałam, że nie posłuchałam rady przyjaciółki.

Zuza miała rację, trzeba było go olać. Tylko że olewanie ludzi jakoś nigdy nie przychodziło mi łatwo. Złożyłam parasolkę i zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Żadnych połączeń, piętnaście minut spóźnienia – ewidentnie zostałam wystawiona do wiatru i w związku z tym bez wyrzutów sumienia mogłam ulotnić się do domu. Gdy już miałam opuścić wnękę i udać się na parking, ktoś zasłonił mi oczy.

– Zgadnij kto to – rozległ się szept tuż przy moim uchu, poczułam cedrowy zapach, od którego zakręciło mi się w głowie.

– Ktoś, kto lekceważy drugą osobę, spóźniając się na umówione spotkanie? – odpowiedziałam.

Daniel opuścił ręce i stanął naprzeciwko mnie. W jego hebanowych oczach czaił się mrok, a na ustach wił uśmiech, który wcale mi się nie podobał. Po raz kolejny pożałowałam, że postanowiłam się z nim zobaczyć. Chciałam już jak najszybciej wrócić do ciepłego domu i dokończyć rozpoczęty portret Gabriela.

– Byłem ciekaw, czy poczekasz. Poczekałaś, czyli ci zależy – odparł, przeczesując dłonią mokre od deszczu włosy.

– Poczekałam, bo jestem dobrze wychowana, czego nie można powiedzieć o tobie. Przyjechałam, żeby odwołać nasze spotkanie. Widzę jednak, że niepotrzebnie zużyłam benzynę i straciłam swój cenny czas.

Daniel odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

– Lubię na ostro. Czy coś jeszcze? – zapytał rozbawiony.

– Nie było mi miło cię poznać i mam nadzieję, że już nigdy się nie zobaczymy – odparłam i ruszyłam przed siebie.

– Hej, coś taka nerwowa? – odpowiedział i zaszedł mi drogę. – Zapomnijmy o wszystkim i chodźmy obejrzeć jakiś dobry film.

– Miłego seansu. Ja wracam do domu. – Chciałam go ominąć, lecz stanął naprzeciwko mnie.

– Niepotrzebnie się ekscytujesz, złotko. Muszę jednak przyznać, że do twarzy ci z tą zawziętością. Lubię ostre kobietki. – Złapał mnie za rękę. – No chodź, nie drocz się, mała.

– Zostaw mnie! – Wyszarpnęłam dłoń z jego uścisku. – Nigdzie z tobą nie idę.

Daniel spojrzał na mnie spod jasnych brwi. W jego hebanowych oczach pojawił się niepokojący błysk.

– Chyba znam sposób na poskromienie twojej wrogości. – Złapał oburącz moją głowę i wpił się boleśnie swoimi wargami w moje. Poczułam drażniący odór siarkowodoru i palący smak, który wypełnił wnętrze moich ust. Upuściłam parasolkę i zaczęłam odciągać ręce Daniela.

Nadaremnie. Trzymał mnie zbyt mocno, bym mogła oswobodzić się z jego uścisku. Przerażał mnie. Co więcej, znajdowaliśmy się w ustronnym miejscu, gdzie mało kto zwracał na nas uwagę. Najgorszy scenariusz przemknął mi przez głowę. Musiałam się od niego uwolnić, nim przejmie nade mną całkowitą władzę. Zaczęłam okładać go pięściami, lecz im większy stawiałam opór, tym silniejsze podniecenie w nim wzbudzałam. Nacierał pocałunkami coraz drapieżniej i mocniej, aż w końcu wsunął język do wnętrza moich ust.

Smród zgniłych jaj i palący smak były nie do zniesienia. Nie mogłam oddychać, czułam, że się duszę. Zaczęłam go kopać, wbijałam paznokcie w jego skórę, nie mogłam dać mu rady. Daniel napastliwie wpychał coraz głębiej język, który drażnił, piekł i palił podniebienie, gardło, krtań.

Czułam, że tracę siły, że lada moment moje ciało mu się podda. I wtedy Daniel mnie puścił.

Nabrałam łapczywie powietrza i chrapliwy kaszel wyrwał się z moich oskrzeli. Pociemniało mi w oczach, po twarzy popłynęły łzy. Wszystko wokół było zamazane, jakbym patrzyła przez denka od butelki.

– Aleś ty wrażliwa – mruknął Daniel. – Nieczęsto spotyka się kogoś z tak wyostrzonymi zmysłami. Jestem pełen uznania – uśmiechnął się łajdacko.

Przełknęłam z trudem ślinę. Gardło mnie rozbolało jak podczas anginy.

– Zostaw mnie w spokoju – wyrzęziłam. – Ominęłam go, opuszczając wnękę i ruszyłam w stronę parkingu.

– Idź sobie, idź. Na razie wystarczy tej słodyczy. Ale pamiętaj, że to nie koniec! – zawołał za mną. – Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz!

Kwaśna treść żołądka podeszła mi do gardła. Wyjęłam szybko telefon z torebki z zamiarem zadzwonienia na policję. Ta napaść nie ujdzie draniowi płazem. Obróciłam się przez ramię, ale jego już nie było. Rozglądałam się uważnie, wchodząc na parking, czy przypadkiem ten świr nie czai się za którymś z aut. Podeszłam do ravki, wyłączyłam alarm i wsiadłam do środka. I wtedy zaczęłam dygotać na całym ciele. Odpaliłam silnik, włączyłam ogrzewanie na najwyższy poziom i ruszyłam z zatłoczonego parkingu do Starego Lasu.

Gdy dotarłam do domu, moim jedynym marzeniem było położenie się do ciepłego łóżka, od którego dzieliły mnie już tylko schody. Każdy drewniany stopień okazywał się jednak równie stromy jak zbocze Mont Everestu. Gdy byłam już w połowie męczącej wspinaczki, usłyszałam tatę wychodzącego z kuchni.

– O! Ale z ciebie cicha myszka. Nawet nie wiedziałem, że wróciłaś. Co słychać? – zapytał.

– Idę się położyć – odparłam zachrypniętym głosem.

Tata ugryzł jabłko.

– Źle się czujesz? – zapytał, przeżuwając soczysty owoc.

– Boli mnie gardło.

– Poczekaj. Dam ci tabletkę. – Wszedł z powrotem do kuchni.

Nie miałam siły oponować. Usiadłam na stopniu i czekałam, nasłuchując, jak ojciec otwiera przepastną szufladę z lekami.

– Mam! – zawołał rozradowany swoją zaradnością. Wyszedł z kuchni, trzymając w jednym ręku blister z tabletkami, a w drugim jabłko. Wziął ostatni kęs owocu, po czym odwrócił się i rzucił ogryzek w stronę kosza. Ogryzek poleciał po zgrabnym łuku i… rozpaćkał się na ścianie, pozostawiając po sobie żółtą smugę.

– I tak zamierzałem ją pomalować. – Tata wszedł na schody i dotknął ręką mojego czoła.

– Wyglądasz nieciekawie, ale nie masz gorączki – postawił diagnozę tonem eksperta. – Też cię podkusiło. – Pokiwał głową i wyciągnął w moją stronę blister z pastylkami w kolorze spadziowym. – Pogoda, że psa by z domu nie wygonił, a ty

się wybrałaś na wycieczkę do miasta.

Przypomniałam sobie o Gali i ogarnęły mnie dodatkowe wyrzuty sumienia. Jutro jej poszukam, dzisiaj już nie dam rady – przyrzekłam sobie.

Nadstawiłam dłoń, na którą tata wypchnął pachnącą propolisem kapsułkę.

– Dzięki. – Włożyłam tabletkę do buzi. Miodowo-cytrynowa drażetka niczym nektar rozlała się balsamem po zaognionej krtani.

– Po co w ogóle pojechałaś do Mokrych w taki deszcz?

– Ech, szkoda gadać – odpowiedziałam, ssąc słodki cukierek. – Byłam umówiona z kimś, kto okazał się nędzną kreaturą.

– Z chłopakiem? – dopytał.

– Raczej z potworem.

– Potworem? – Ojciec uniósł brwi. – Ale chyba nic ci nie zrobił? – dopytał głosem pełnym rodzicielskiej troski.

Wyznanie mu prawdy uznałam za nie najlepszy pomysł. Co miałam mu niby powiedzieć? To, że spotkałam się z chłopakiem, który zionął siarką jak smok ogniem i był napastliwy?

– Nie, nic mi nie zrobił – odpowiedziałam.

Tata nie dał się jednak zmylić. Oparł się o poręcz i uniósł brwi.

– Laro, wiesz, że zawsze cię z mamą wysłuchamy.

– Wiem, ale ten odpychający typek nawet nie zasługuje na to, żeby sobie strzępić język.

Ojciec westchnął.

– Cóż, przykro mi, że spotkało cię rozczarowanie. Niestety, tak już w życiu bywa, że trafiamy na różnych ludzi. Jedni są przyjaźni i możemy na nich liczyć, inni zaś nas ranią i takich należy się wystrzegać. Tamten najwyraźniej okazał się drugim typem. Gabriel z kolei wygląda mi na porządnego człowieka – stwierdził.

– Co?! – Miałam wrażenie, że się przesłyszałam.

– Przyszedł do ciebie, jak pojechałaś do Mokrych.

– Był tutaj?!

Tata potaknął głową.

– Zrobiłem rundkę jego alfą romeo – oznajmił, przybierając luźny ton. – Pogadaliśmy sobie o samochodach i finansach. Wiedziałaś, że Gabriel gra na giełdzie? Muszę przyznać, że ma całkiem imponującą wiedzę na temat debiutujących

spółek.

Nie wierzyłam własnym uszom. Spróbowałam wyobrazić sobie swobodnie gaworzącego tatę z Gabrielem i ogarnęło mnie dziwne uczucie. To był dość przyjemny widok…

– O! Byłbym zapomniał – dodał po chwili. – Zostawił ci list na biurku.

Rozdziawiłam usta.

– Wpuściłeś go do mojego pokoju?

– A co, nie powinienem był?

Ujrzałam w pamięci bałagan, jaki zostawiłam na podłodze po korepetycjach z Zuzką, po czym przypomniałam sobie o niedokończonym portrecie Gabriela leżącym na biurku.

– Dobry Boże – jęknęłam.

Oczami wyobraźni zobaczyłam Gabriela przyglądającego się z politowaniem swojej podobiźnie. Widok mojego szkicu w jego dłoni spowodował, że w jednej sekundzie wstąpiły we mnie pokłady energii, które zasiliłyby wszystkie latarnie Starego Lasu. Zerwałam się na równe nogi i ruszyłam na poddasze, przeskakując co drugi stopień. Gdy byłam już prawie na górze, ktoś zadzwonił do drzwi.

Zatrzymałam się. Może to on?

– Otworzę – powiedział tata.

Przez chwilę nasłuchiwałam, lecz nie docierały do mnie żadne słowa, tylko intonacja męskich głosów.

– Do ciebie – zawołał tata i wszedł do kuchni.

Serce zabiło mi dwa razy szybciej. Zeszłam ze schodów, minęłam korytarz i zamarłam.

W progu stał Daniel. Opierał się o futrynę i uśmiechał szelmowsko, trzymając w ręku parasolkę.

– Witaj, piękna. Zostawiłaś to pod kinem.

– Wynoś się! – wysyczałam przez zęby i złapałam za klamkę.

Daniel zablokował drzwi nogą.

– Czemu jesteś taka drażliwa? Przecież cię uprzedzałem, że nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

– Dosyć tego, wzywam policję – zagroziłam.

– I co im powiesz, że grożę ci parasolką? – Zaśmiał się szyderczo.

Ciarki przeszły mi po plecach.

– Że mnie napastowałeś i nachodzisz.

– Laryso, może zaprosisz gościa do środka?! – dobiegł głos ojca z kuchni.

– Mój gość właśnie wychodzi. – Szarpnęłam mocniej za drzwi.

Daniel ponownie je zablokował.

– Czemu się opierasz? Przecież mogę ci dać, czego tylko zapragniesz… – Przybliżył się.

Poczułam ten sam piękny zapach, który wyczułam od niego przy naszym pierwszym spotkaniu. Zmysłowa woń cedru sprawiła, że twarz Daniela wydała mi się piękna, sylwetka erotycznie kusząca, głos zaś zdawał się nęcący.

– O tak, chodź tu, maleńka. – Ujął mnie w talii i przyciągnął do siebie.

I wtedy wyczułam smród siarkowodoru, który w sekundę przywrócił mi jasność umysłu.

– Zostaw mnie! – Odepchnęłam go, lecz Daniel naparł na mnie całym ciężarem ciała.

– Nie rób scen, skarbie. Przed chwilą tego chciałaś. – Przycisnął się do mnie mocniej.

Odciągałam od siebie jego ręce, lecz on ściskał mnie jak imadło. Nie mogłam dać sobie z draniem rady. Już miałam wołać tatę na pomoc, gdy męski głos odezwał się zza pleców Daniela:

– Puść ją – nakazał.

Daniel odwrócił się i wzdrygnął.

– To ty.

– To ja – odparł znajomy baryton, któremu zawtórował odgłos ciosu.

Daniel zachwiał się i runął na podłogę. Nad nim, z zaciśniętą pięścią, stał Gabriel.

– Laro, co tam się dzieje? – zawołał ojciec.

Gabriel pokręcił głową, jakby nie chciał, żebym zdradzała ojcu, co tu zaszło. Rozejrzał się szybko po holu i wskazał na stojak na parasolki.

– Stojak na parasolki się przewrócił! – zawołałam, widząc, jak Gabriel ciągnie Daniela po podłodze ganku. – Odprowadzę kolegę do furtki i zaraz wracam – rzuciłam i zamknęłam za sobą drzwi.

– Wstawaj, gnido. – Gabriel szturchnął Daniela butem.

Ten stęknął i podniósł się ociężale ze skrzywioną miną. Przytrzymał dłonią

spuchniętą od uderzenia twarz.

Dobrze mu tak – pomyślałam.

– Jeszcze raz ją tkniesz, jeszcze raz spróbujesz swoich diabelskich sztuczek, a Bóg mi świadkiem, gorzko tego pożałujesz – powiedział do niego Gabriel.

Daniel prychnął i otarł rękawem strużkę krwi sączącej się z rozciętej wargi.

– Akurat. Najpierw musiałbyś mnie wyzwać. – Uśmiechnął się drwiąco.

– Nie omieszkam – odparł Gabriel.

Obaj stali nieruchomo, świdrując się nienawistnym wzrokiem.

– Nie odważysz się – odezwał się niepewnie Daniel.

– Tylko się do niej zbliż, a się przekonasz.

Daniel rozszerzył nozdrza i splunął krwią w bok. Przyjrzałam się uważnie wardze chłopaka i otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia. Rana na jego ustach zaczęła się zasklepiać, opuchlizna zanikać. Wyglądał prawie tak, jak przed ciosem, który powalił go na ziemię.

– Jak zawsze honorowy – odezwał się do Gabriela. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek, Dunkeld. W dzisiejszych czasach dżentelmeneria jest *passé*. Lepiej zacznij się zachowywać jak współcześni ludzie, bo wszystkim przysporzysz kłopotów. I nam, i wam.

Przez moment miałam wrażenie, że się przesłyszałam.

– Czy wy się znacie? O czym on mówi? – spytałam, kierując wzrok na Gabriela. Jego lodowate oczy wpatrywały się z nienawiścią w Daniela.

– Wynoś się stąd, pókim łaskaw – powiedział do niego.

Daniel uśmiechnął się, dotknął nosa palcem wskazującym, po czym skierował go w stronę Gabriela. Nic nie powiedział, ten gest i zmrużone oczy zrobiły to za niego. Zaśmiał się, odwrócił i odszedł w stronę furtki. Z ulgą patrzyłam, jak wsiada na motocykl zaparkowany na podjeździe i odjeżdża.

– Nic ci nie jest? – Gabriel powiódł wzrokiem po mojej twarzy.

– Nic, prócz tego, że jestem w szoku. Skąd wy się znacie? O co tu chodzi?

Gabriel przesunął dłonią po włosach.

– Trudno to wytłumaczyć.

– Spróbuj.

Zmarszczył brwi.

– Nie mogę.

– Czemu mnie to nie dziwi? – skwitowałam.

– Czy ten bydlak coś ci zrobił?

– Nie. Tylko mnie wystraszył – odparłam.

Zimny wiatr zawiał i poczułam, jak dreszcz przechodzi mi po karku. Nic dziwnego, stałam na zewnątrz w samym swetrze i do tego bez butów.

– Może wejdziemy do środka? – zaproponowałam.

Pojedyncze iskry zapaliły się w srebrnych oczach i po chwili zgasły.

– Bardzo chętnie, ale nie mogę dłużej zostać. Wyjeżdżam.

– Wyjeżdżasz? – spytałam zaskoczona.

– Tak. Dostałem pilne wezwanie. Nie powinno w ogóle mnie tu być, ale… – zawahał się. – Musiałem cię zobaczyć.

Puls mi przyśpieszył.

– Na długo jedziesz?

– Na kilka dni. Wyjaśniłem ci wszystko w liście. Naprawdę muszę już iść.

– Skoro musisz…

Gabriel popatrzył mi w oczy i pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż nad moją. Jego spojrzenie, bliskość, korzenny zapach przyśpieszyły bicie mego serca. Nachylił się jeszcze odrobię i dotknął swoim czołem mojego.

– Czy…? – zaczął niskim głosem, a ja poczułam na twarzy jego ciepły oddech.

Byliśmy teraz tak blisko, że tylko centymetry dzieliły nasze usta.

– Tak? – szepnęłam.

Nie potrzebowaliśmy więcej słów.

Gabriel ujął moją twarz i pocałował mnie. Delikatnie musnął moje wargi, po czym odsunął się, nie przestając na nie patrzeć. Oddech mi przyśpieszył, poczułam na twarzy gorąco. Przez myśl przebiegło mi, że to muśnięcie ust było pożegnaniem, że pozostawi mnie z niedosytem.

A wtedy on pocałował mnie ponownie. Tym razem mocniej, namiętniej. Dreszcz ekscytacji przeszył moje ciało. Położyłam dłoń na jego piersi i wyczułam przyśpieszone bicie serca. Zapragnęłam całą sobą, by ta chwila trwała wiecznie, lecz mój rozum podpowiadał mi, że tak nie będzie. Pocałunek się za chwilę skończy i wtedy on wyjedzie na kilka dni.

Gabriel zajrzał mi w oczy.

– Muszę jechać. – Odgarnął kosmyk włosów z mojego czoła i przesunął dłonią

po policzku.

– Wiem. – Przechyliłam głowę i wtuliłam się w jego dłoń.

Staliśmy tak przez dłuższą chwilę zapatrzeni w siebie. A ja zrozumiałam, że nasze spotkanie dobiegło końca.

Nie chciałam się żegnać. Nie gdy wciąż czułam smak pocałunku, który rozbudził we mnie chęć na więcej.

Lecz to nie było jeszcze pożegnanie.

Gabriel przygarnął mnie do siebie i zatopił swoje usta w moich. Czułam zapach jego skóry, ciepło warg, dotyk rąk. Jego zmysłowość zniewoliła mnie do reszty. Rozchyliłam usta, a wtedy on pogłębił pocałunek. Złączyliśmy się w miłosnym splocie, dotykając się namiętnie i zachłannie.

– Lara… – zamruczał. – Powstrzymaj mnie.

Jego oczy wprost płonęły z pożądania.

– Nie – szepnęłam i pocałowałam go równie namiętnie, jak on wcześniej mnie.

Przyparł mnie do ściany. Poczułam na plecach zimny mur. Ręce Gabriela wsparły się przy mojej twarzy, a rozszerzone źrenice zajrzały mi głęboko w oczy. Czułam, że mnie pragnie, a ja pragnę jego. Po raz pierwszy w życiu tak mocno pożądałam mężczyzny. Całowaliśmy się tak, że brakowało mi tchu. Wsunęłam palce w jego włosy, a on zanurzył dłoń w moich. Byliśmy jak dwa ogniwa złączone cudowną nicią. Nic nie mogło nas powstrzymać. Nic i nikt.

A jednak…

Nieoczekiwanie Gabriel zamarł. Jego twarz stężała, jakby wykuto ją z marmuru, jego oczy spowiła mgła. Odsunął się ode mnie i zmarszczył czoło.

– Coś nie tak? – zapytałam.

Lecz on mnie nie usłyszał, jakby odpłynął myślami gdzieś daleko.

– Gabrielu?

Przeniósł na mnie rozkojarzony wzrok. Przesunął dłońmi po twarzy.

– Wybacz. Nie mogę dłużej zwlekać – powiedział.

Wiedziałam, że już go nie zatrzymam. Nawet nie starałam się próbować.

– Dziękuję za wybawienie od Daniela i miłe pożegnanie – powiedziałam.

Gabriel się uśmiechnął, choć w jego oczach jakby czaił się niepokój.

– To ja dziękuję. Pamiętaj, że w pokoju czeka na ciebie list. – Ujął moją twarz i pocałował mnie na pożegnanie.

Odprowadzałam go wzrokiem do momentu, aż zniknął za wysokim żywopłotem. Nadal czułam na sobie jego zapach, a na ustach jego smak. Zupełnie jakby Gabriel wciąż był przy mnie. Ale jego już nie było.

I nagle sobie przypomniałam.

List!

Wpadłam do pokoju, zapaliłam światło i podeszłam do biurka, na którym leżał niedokończony portret Gabriela. Tuż obok niego dostrzegłam zgiętą na pół kartkę papieru przysłoniętą bukietem świeżych konwalii. Wzięłam do ręki owinięte różową wstążką kwiaty i zatopiłam twarz w drobnych dzwoneczkach. Ich zapach wywołał wspomnienie wilgotnego od majowej rosy lasu, skąpanego w promieniach porannego słońca.

Skąd on wziął konwalie w listopadzie?

Odłożyłam bukiet na biurko i sięgnęłam po list. Moim oczom ukazało się kaligraficzne pismo, naniesione na papier przy użyciu mojego piórka i czarnego atramentu, którym wykonywałam szkice. Nie znałam nikogo, kto potrafiłby pisać odręcznie w tak staranny i piękny sposób. Usiadłam na krześle i z walącym sercem zaczęłam czytać list od Gabriela:

Droga Laryso!

Zapewne powinienem Cię uprzedzić o swojej wizycie, ale mimo licznych prób nie potrafię się przekonać do telefonów komórkowych i wiadomości elektronicznych. Preferuję bezpośredni kontakt, choć coraz częściej nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w obecnych czasach należałoby się przestawić na nowocześniejsze formy komunikacji.

Twój szanowny ojciec był na tyle uprzejmy, że pozwolił mi skorzystać z Twoich przyborów i zostawić dla Ciebie wiadomość. Żałuj, że nie widziałaś wyrazu jego twarzy, gdy zasugerowałem, że napiszę do Ciebie list.

Zdecydowałem się na tę dzisiejszą wizytę, ponieważ zmuszony jestem pilnie opuścić Stary Las na kilka dni. Wybieram się służbowo na jedną z koreańskich wysp. Niestety, nawet jeśli zdecydowałbym się na skorzystanie z dobrodziejstw technologii, nasz kontakt nie byłby możliwy, ponieważ prowadzone tam działania zbrojne spowodowały uszkodzenie lokalnych linii i anten przekaźnikowych. Nie wiem, kiedy dokładanie się zobaczymy, ale postaram się wrócić jak najszybciej, tym bardziej że w tygodniu czeka mnie jeszcze oficjalna wizyta w szkole.

Póki co zostawiam Ci bukiet moich ulubionych kwiatów, mając nadzieję, że ich

wiosenny zapach umili Ci najbliższe jesienne dni.

Gabriel Dunkeld

PS Żałuję, że nie zastałem Cię w domu, ale sam sobie jestem winien. Obiecuję, że po powrocie zaopatrzę się w telefon komórkowy. G.D.

PPS Co prawda wspominałaś, że w wolnych chwilach rysujesz, ale nie chwaliłaś się, że jesteś aż tak bardzo uzdolniona. Patrząc na Twój szkic, miałem wrażenie, że przeglądam się w lustrze. Nawet się nie domyślasz, jak mi schlebia, że wybrałaś mnie na swojego modela. Winszuję talentu, artystko. G.D.

Przyłożyłam list do piersi. Informacja o tajemniczej podróży Gabriela w niebezpieczny rejon świata wywołała we mnie niepokój. Z żalem pomyślałam, że wyjechał właśnie teraz, kiedy się do siebie zbliżyliśmy. Byłam wewnętrznie rozdarta. Rozsądek mówił mi, że zbyt mało wiem o Gabrielu, żeby myśleć o nim poważnie. Intuicja natomiast podpowiadała, że mogę mu zaufać. Chciałam wierzyć, że Gabriel ma poważne powody, by skrywać przede mną tak wiele tajemnic. Rzuciłam okiem na nieukończony portret. Szlachetne rysy, prosty arystokratyczny nos, zmysłowe usta i te oczy. Nie potrafiłam w pełni oddać ich magnetyzmu, jednak uchwyciłam ich smutek, odbijający się w nich ból istnienia. Patrzyłam na nie przez dłuższy czas. Gdzieś już u kogoś wcześniej widziałam ten rodzaj spojrzenia. Zasłoniłam dolną część portretu. Te oczy. Skąd ja znam to spojrzenie?

Chwila namysłu…

Otworzyłam laptopa i weszłam w folder ze zdjęciami siedemnastowiecznych fresków sfotografowanych kilka lat temu na wakacjach we Włoszech. Przeglądałam fotografie, poszukując tej jednej, która wywarła na mnie wtedy ogromne wrażenie.

Znalazłam.

Makabryczny obraz męczennika. Młody, zakrwawiony mężczyzna leżący w ciemnościach na żeliwnych kolcach, które przeszywają na wskroś jego poranione, martwe ciało. Obca twarz, lecz to samo znane mi, głębokie spojrzenie przepełnione bólem i brakiem nadziei.

Gabriel

Nie było nawet sensu wracać do domu. Musieliśmy być w ciągłej gotowości. Posłaniec, po trzydziestu wezwaniach, wreszcie zamilkł. Co nie oznaczało, że lada chwila nie odezwie się ponownie. Wszyscy padali ze zmęczenia. Rozpaliliśmy z Adzirem ognisko, Semena z Tatianą przygotowały gorącą herbatę. Część znajomych Guardianów dołączyła do naszego kręgu, inni założyli własne, małe obozy. Wokół zapanowała przyjemna cisza. Ogromna ulga dla zbolałych od huków i wystrzałów uszu. Niektórzy zasypiali na siedząco, inni kładli się na gołej ziemi, żeby choć na chwilę dać odpocząć napiętym mięśniom. Oparłem się o wyburzony mur budynku i przymknąłem powieki. Koszmarne obrazy zjawiały mi się przed oczami. Rozczłonkowane ciała żołnierzy, pomordowane matki i leżące na nich ranne dzieci, wszędzie krew, smród palonych ciał, pożoga.

Otworzyłem oczy. Musiałem skupić myśli na czymś przyjemnym, na czymś, co zażegnałoby koszmarne wspomnienia, które lada moment mogą znów powrócić na jawie.

I wtedy wyobraziłem sobie twarz Larysy, poczułem na ustach smak jej ust, w nozdrzach jej słodki zapach. To, co zadziało się między nami… Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy, zachowałem się jak napalony dzieciak, ale to było silniejsze ode mnie. Doskonale wiedziałem, czym grozi takie zbliżenie i jakie będą jego konsekwencje. W końcu dojedziemy do momentu, w którym Larysa postawi mi warunek – albo wyznam jej prawdę, albo to koniec. Do tej pory guardiańskie obowiązki nie kolidowały aż tak znacząco z moim życiem prywatnym. Umawiałem się z dziewczynami, fakt, nie zdradzałem im, czym naprawdę się zajmuję. Udawało mi się utrzymywać to w tajemnicy. Z nią jednak było zupełnie inaczej – widziała mnie podczas posługi, co więcej, czułem jakiś wewnętrzny opór przed tym, by ją okłamywać. Nie znałem jej dobrze, ale coś podpowiadało mi, że jest wyjątkową dziewczyną. Z każdym naszym spotkaniem czułem do niej coraz większe przyciąganie. Dzisiaj, gdy ujrzałem Daniela na jej ganku, krew zawrzała mi w żyłach. Nie mogłem uwierzyć, że mnie znalazł, że posłużył się Larysą, by mścić

się za przeszłość. Co więcej, gdy tylko uświadomiłem sobie, że mógł ją skrzywdzić, ogarnęły mnie niepojęty gniew i uczucie strachu o życie Larysy. Zapragnąłem ją chronić. Być z nią, obok niej, strzec jej, trzymać ją w ramionach. Właśnie wtedy, gdy musiałem zostawić ją samą. Cóż za paradoks.

– Gabrielu, wszystko porządku? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Semeny.

Podniosłem wzrok. Stała przede mną z dwoma kubkami parującego naparu.

– Tak. – Przesunąłem się i zrobiłem jej miejsce.

Podała mi kubek i usiadła obok mnie.

– Herbata z żeń-szenia czerwonego na wzmocnienie sił witalnych – wyjaśniła.

Upiłem łyk i zapatrzyłem się w ogień, przy którym siedzieli przytuleni Tatiana z Adzirem.

Szczęściarze.

– Jesteś bardzo zamyślony od kilku dni. Czy coś się dzieje? – zapytała Semena.

– Sam nie wiem.

Poczułem jej ciepłą dłoń na nadgarstku. Była drobna i pomarszczona.

– Cokolwiek cię trapi, na pewno jest na to jakieś rozwiązanie.

Spojrzałem w jej mądre oczy. Już wcześniej zastanawiałem się, czy nie zasięgnąć u niej porady. Semena wiele widziała, była najbardziej doświadczoną osobą, jaką znałem. Nie chciałem jednak zajmować jej swoimi sprawami, zawsze sam sobie radziłem z problemami.

– Gabrielu, czasami sformułowanie na głos tego, co cię nurtuje, pomaga w znalezieniu odpowiedzi – odezwała się, jakby dostrzegła moje wahanie.

Patrzyłem na jej spokojną, pełną dobroci twarz. Byłem wdzięczny za to, że mam tak wspaniałą osobę w swoim życiu. Nie raz ratowała mnie z opresji, dzięki niej zyskałem nową rodzinę, którą utraciłem niegdyś bezpowrotnie. Może i tym razem jej słowo okaże się pomocne.

– Semeno, czy spotkałaś się kiedyś z sytuacją, że Guardianin był widzialny podczas wezwania? – zapytałem.

Jej oczy się rozszerzyły.

– Straciłeś dar niewidzialności? – zapytała szczerze zaniepokojona.

– Nie, to znaczy, wydaje mi się, że nie. Żaden ze śmiertelników nie widzi mnie podczas posługi, prócz jednej osoby. – Wziąłem kolejny łyk herbaty i odstawiłem kubek.

– Przyznam, że pierwszy raz słyszę o takim przypadku. Kim on jest?

– Ona. To dziewczyna – oświadczyłem. – Spotkałem ją podczas wezwania, w którym uratowała życie pewnej kobiecie. Widziała mnie, rozmawiała ze mną. Początkowo uznałem ją za Tentatorkę, później jednak okazało się, że to zwykła śmiertelniczka.

– Później? Czyli spotkałeś ją ponownie? – dopytała Semena.

– Tak, nawet kilka razy.

– Przypadkowo?

– Niezupełnie, chciałem ją bliżej poznać, dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

– I czego się dowiedziałeś?

– Na pierwszy rzut oka to normalna nastolatka. Chodzi do szkoły, ma przyjaciółkę, zrównoważonych rodziców. Przy bliższym poznaniu dowiedziałem się, że jest bardzo wrażliwa, stara sobie radzić z emocjami, przelewając je na papier, nadając im postać rysunków. Odniosłem wrażenie, że jest nad wyraz szczera, bezinteresowna i ma dobre serce. Jej bezpośredniość i nieziemska ciekawość przysparza mi sporo wyzwań. Utrzymać przed nią tajemnicę to jak ukrywać prezenty gwiazdkowe przed sześciolatkiem.

– Podoba ci się – stwierdziła Semena bez ogródek.

Uniosłem brew. Takiej odpowiedzi się nie spodziewałem.

– Skąd ta myśl?

– Słyszę to w twoim głosie, w sposobie, w jakim o niej mówisz. Uśmiechasz się, co jest u ciebie rzadkością. Robią ci się takie rozkoszne dołeczki w policzkach. – Złapała mnie za policzek jak małego szkraba. – To mi wystarcza, by wysnuć taki wniosek.

Nie przywykłem rozmawiać z Semeną o sprawach damsko-męskich. Ale nigdy wcześniej nie byłem też w podobnej sytuacji.

– Nie zaprzeczam, ta dziewczyna ma w sobie coś, co mnie do niej przyciąga.

Semena napiła się i uśmiechnęła.

– A nie przyszło ci na myśl, że to może być ona? – Popatrzyła na mnie znacząco.

– Co masz na myśli?

– Wiesz dobrze, co mam na myśli. Czy to może być ona?

Przypomniałem sobie moment, gdy zobaczyłem Larysę pierwszy raz, jak wbiegła na ulicę, jak na mnie spojrzała. Nasze późniejsze rozmowy, spacer, dzisiejszy

pocałunek, jej gorące usta na moich, nasze przyśpieszone oddechy…

Przesunąłem dłońmi po twarzy.

– Istnieje taka możliwość – przyznałem.

Semena jedynie uśmiechnęła się i poklepała mnie po plecach.

– Więc dobrze wiesz, co powinieneś robić dalej. – Wstała i wyprostowała spódnicę. – A teraz dopij herbatę i się szykuj. Zapewne niebawem się zacznie – zdążyła wymówić te słowa, gdy za naszymi plecami rozbrzmiał potężny huk. W mojej głowie rozległ się głos Posłańca wzywający do działania.

Larysa

Kolejny rysunek był prawie gotowy. Maznęłam dwie czarne kreski, uwidaczniając tym samym kości policzkowe mężczyzny zerkającego z półprofilu w moją stronę. Z jego kocich oczu biła dojrzałość, ale ich wyrazistość przesłonięta była mgłą tajemniczości.

Zanurzyłam stalówkę w kałamarzu i szybkimi pociągnięciami zakreskowywałam sztywno postawiony kołnierz, który zasłaniał dolną część twarzy. Włożyłam drewnianą końcówkę obsadki do ust i podziwiałam z zadowoleniem własne dzieło. Mimo tego, że rysunek został ukończony, czułam nieodpartą pokusę dorysowania kreski, postawienia kropki, przeciągnięcia magicznej linii, dzięki której mogłabym zmaterializować niedostępnego mężczyznę. Marzyłam, by wreszcie wtulić się z utęsknieniem w jego ramiona, poczuć na sobie dotyk zmysłowych ust. Przygryzłam trzymane w zębach piórko, aż zatrzeszczało, po czym podniosłam gotowy rysunek i zmrużyłam oczy. Moje przypuszczenia co do tego, że portret stworzony piórkiem najdokładniej odzwierciedli charakter Gabriela, okazały się słuszne.

Zatopiłam wzrok w głębokim spojrzeniu i poczułam trzepotanie w sercu.

Myśl o tym, że Gabriel od tygodnia jest w jakimś niebezpiecznym miejscu, daleko stąd, doprowadzała mnie powoli do szału. Od naszego pożegnania na ganku nie miałam od niego żadnej wiadomości, żadnego znaku życia.

Usłyszałam szelest dobiegający z korytarza, odłożyłam rysunek na biurko i podeszłam do drzwi.

Do pokoju wszedł obładowany zakupami tata.

– Następnym razem, jak będziesz chciała, żebym odebrał ze sklepu twoje przybory do malowania, uprzedź mnie, ile będą ważyły. – Postawił torby na dywaniku.

– Zamawiałam przez internet, nie sądziłam, że będą aż takie ciężkie. – Rozejrzałam się w poszukiwaniu reszty zakupów. – A podobrazia i sztaluga? – dopytałam.

– Są w samochodzie. Nie dałem już rady wnieść na górę.

– No to chodźmy! – Wyszłam podekscytowana z pokoju.

– Laryso? – Ojciec ruszył za mną. – Wiedziałem, że lubisz rysować, ale powiedz mi, skąd to nagłe zainteresowanie malarstwem?

– Muszę do połowy czerwca namalować pięć prac, więc stwierdziłam, że im wcześniej zacznę, tym lepiej. Mam już nawet pomysł na pierwszy krajobraz – wyjaśniłam.

– Jakie prace? Do jakiego czerwca? Nic nie rozumiem.

– Na Akademii Sztuk Pięknych wymagają pięciu prac malarskich i dziesięciu rysunkowych – odparłam, zdejmując kurtkę z wieszaka. – Rysunków mam sporo, więc coś z nich wybiorę. Gorzej z obrazami. Nie mam ani jednego, więc czeka mnie dużo pracy, jeśli chcę przejść pierwszy etap.

– Co? – Ojciec zrobił wielkie oczy. – Zamierzasz studiować na ASP? A co z finansami na uniwerku?

– Tato… Nie interesuje mnie świat biznesu. Chcę zostać artystką.

– I być biedna jak mysz kościelna? – burknął. – Czy wiesz, ile zapłaciłem za twoje przybory malarskie?

– Oddam ci z kieszonkowego – odparłam i otworzyłam drzwi.

Poczułam na twarzy chłodne powietrze, które dodało mi jeszcze więcej wigoru i ruszyłam w kierunku zaparkowanej pod garażem toyoty.

– Wiesz, że nie o to chodzi. – Ojciec dotrzymywał mi kroku. – Chcę ci tylko uświadomić, że malarstwo jest zajęciem, w którym jeśli się nie ma talentu, to klepie się biedę.

– Ale ja mam talent – oświadczyłam pewnie, choć zrobiło mi się przykro, że rodzony ojciec we mnie nie wierzy. Wzięłam głęboki oddech. A niech sobie nie wierzy! Niektórzy uważają mnie za artystkę – pomyślałam, wspomniawszy list od Gabriela.

Złapałam za klamkę bagażnika, ale klapa nie chciała się otworzyć.

– Nie przeczę, że masz talent. – Tata nacisnął na pilota, otwierając centralny zamek. – Ale czy nie może to być twoja dodatkowa pasja? No wiesz, takie hobby? Maluj sobie w wolnym czasie, ale zdobądź zawód, który kiedyś pomoże tobie i twojej rodzinie wieść dostatnie życie.

Zajrzałam do bagażnika, gdzie znalazłam sztalugę i białe jak śnieg podobrazia.

– Nic nie rozumiesz – odpowiedziałam, odwracając się przodem do ojca. – Dla ciebie liczy się biznes – cyferki, papiery i pieniądze. Ja natomiast chcę studiować to, co kocham i w czym jestem dobra.

– Myślałem, że lubisz matematykę.

Prychnęłam.

– Tato, lubię matematykę, bo ty ją lubisz, ale nigdy nie wiązałam z nią przyszłości.

– Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? Zawsze myślałem, że chcesz iść na studia ekonomiczne.

– Po pierwsze, nie chciałam ci robić przykrości, a po drugie nie, do końca wierzyłam, że posiadam wystarczający talent, by ubiegać się o status studenta ASP. Czuję jednak, że jeśli nie spróbuję swoich sił, to będę tego żałować przez resztę życia.

Ojciec popatrzył mi w oczy.

– Laryso – zaczął spokojnym tonem. – Jesteś mądrą, dorosłą dziewczyną. Nie chcę podcinać ci skrzydeł. Pragnę jedynie dla ciebie jak najlepiej. Czy wiesz, co może nieść za sobą twoja decyzja? Czy jesteś pewna, że to najlepszy wybór?

– Jestem pewna – oznajmiłam. – Chcę studiować malarstwo.

Ojciec westchnął.

– Nie powinienem tego mówić, bo sam siebie pogrążę, ale myślę, że w gruncie rzeczy jesteś szczęściarą. Niewiele osób w twoim wieku wie, co chce robić po szkole średniej. Ja nie wiedziałem.

– Czyli nie potępiasz mojej decyzji? – spytałam.

– Powiedzmy, że masz moje błogosławieństwo.

Schody do mojego pokoju zdawały się nie mieć końca. Ostrożnie stawiałam krok za krokiem, widząc spod piramidy płócien jedynie fragmenty stopni. Monotonne stękanie idącego przede mną ojca nadawało powolny rytm wspólnej wspinaczce.

– Ciężkie cholerstwo – jęknął, pokonując kolejny schodek.

– Moje też – odpowiedziałam.

Gdy znajdowaliśmy się w połowie schodów, dobiegł nas dźwięk otwieranych drzwi.

– Już jestem! – zawołała mama.

Dynamiczny stukot obcasów rozbrzmiał w korytarzu.

– Co wy tak dźwigacie? – zapytała, podchodząc do schodów.

– Larysa postanowiła zostać malarką, więc targamy do jej pokoju sztalugę i podobrazia – wyjaśnił tata.

– To ciekawe… – odparła zdumiona mama. – Nic, kochanie, nie wspominałaś, że zamierzasz rozszerzyć swoje hobby o malarstwo.

– Eluniu, tyle że tu nie chodzi jedynie o hobby. Nasza córka postanowiła studiować na Akademii Sztuk Pięknych.

– Naprawdę? Kiedy się zdecydowałaś? – Mama była pozytywnie zaskoczona.

– W sobotę – odparłam niewyraźnie, bo sterta płócien przechyliła się, zasłaniając mi usta.

– Też byłem zdziwiony – przyznał ojciec i przez dalszą drogę do mojego pokoju streszczał mamie zdyszanym głosem naszą dzisiejszą rozmowę.

Tego wieczoru po raz pierwszy zaprezentowałam rodzicom niektóre swoje szkice. Część z nich wykonałam bardzo dawno temu, ale wstydziłam się je komukolwiek pokazywać. Jedne przedstawiały martwą naturę, na innych znajdowały się zwierzęta, a pozostałe stanowiły głównie portrety.

– Jezu, Laro – westchnęła mama. – Nie sądziłam, że twoje prace są takie…

– …dojrzałe – dokończył ze zdumieniem tata, trzymając w ręku arkusz ziarnistego papieru ze swoją podobizną. – Nie miałem pojęcia, że jestem taki podobny do George'a Clooneya.

Mama parsknęła śmiechem, po czym dodała z zachwytem:

– Twoje rysunki są naprawdę dobre, kochanie. Nie rozumiem, czemu nam ich wcześniej nie pokazywałaś – oznajmiła, przekładając kolejne szkice.

– Nie sądziłam, że można je uznać za wartościowe – przyznałam.

– Kochanie, po kim ty jesteś taka skromna? – Mama westchnęła i zerknęła znacząco na tatę, który przyglądał się z zadowoleniem swojemu portretowi.

Roześmiałyśmy się na widok narcystycznej miny ojca.

– Cieszę się, że podjęłaś tę decyzję – powiedziała. – Gdy trzymam w ręku twoje rysunki, widzę, że jest to najlepszy wybór, jakiego mogłaś dokonać. Pamiętaj tylko, że przed egzaminami na studia należy najpierw zdać maturę. Póki co postaraj się przeznaczać więcej czasu na naukę niż na malowanie.

– Dobrze – zapewniłam ją.

– Chodź, mężu, pomożesz mi zrobić kolację. – Mama klepnęła tatę w kolano. –

Zawołam cię, jak jedzenie będzie na stole – powiedziała w moją stronę, po czym oboje wyszli na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Rozejrzałam się po pokoju. Na środku dywanika leżały nieodpakowane farby, pędzle, owinięta taśmą sztaluga i podobrazia. Tata się nie mylił – malarstwo wymagało znacznych nakładów finansowych. Podeszłam do leżącej sztalugi i zaczęłam rozrywać kawałki taśmy zabezpieczającej. Po kilku zwinnych ruchach bukowy trójnóg stanął dumnie pod sufitowym skosem przy oknie. Odpakowałam jedno z podobrazi i postawiłam je na drewnianej listwie. Naciągnięte, gładkie, bawełniane płótno wabiło nieskazitelną czystością. Z radością pomyślałam o chwili, w której biała płachta materiału zmieni się w przesycony ciepłymi kolorami obraz przedstawiający parę zakochanych spacerującą polną dróżką w kierunku zachodzącego słońca.

Dni bez Gabriela płynęły w żółwim tempie. Pomijając poniedziałkowe napięcie związane z odpytywaniem Zuzki na matematyce, które zakończyło się sukcesem zwieńczonym czwórką z plusem, reszta tygodnia była spokojna. Dzięki sprzyjającej pogodzie codziennie po południu wsiadałam na rower i kontynuowałam poszukiwania Gali. Jej podobizna, wraz z moim numerem telefonu, wisiała już na co trzecim słupie w Starym Lesie i w każdym sklepie. Mimo to telefon milczał.

Wieczorami zamykałam się w swoim pokoju i po odrobieniu lekcji poświęcałam się bez reszty malowaniu pejzażu. Gdy wreszcie nadeszła chwila, kiedy postanowiłam nanieść na obraz dwie postacie, które trzymając się za dłonie, zmierzają w stronę horyzontu, zadzwonił telefon. Spojrzałam na pulsujący jaskrawym światłem ekranik. Widniał na nim napis: *numer zastrzeżony*. Serce zaczęło mi mocniej bić. Albo to ktoś w sprawie Gali, albo Gabriel, który obiecał przecież zakupić po powrocie komórkę. Sięgnęłam po telefon, odchrząknęłam i odebrałam:

– Słucham.

Odpowiedziała mi głucha cisza.

– Halo? – odezwałam się ponownie.

– Witaj, złociutka. – Męski głos w słuchawce przyprawił mnie o mdłości. – Chyba nie sądziłaś, że pozbędziesz się mnie tak szybko?

– Daniel. Skąd masz mój numer?

– Od ciebie, piękna.

Próbowałam przywołać w pamięci obraz pachnącego cedrem chłopaka z parkingu, lecz zamiast niego zobaczyłam belzebuba ze smolistymi oczami i siarkowym oddechem.

– Zostaw mnie w spokoju.

Daniel roześmiał się szyderczo.

– Nie ma mowy. Świetnie się bawię. Dobrze trafił ten zapchlony kundel. Nie dość, że jesteś kusząca, to jeszcze do tego żywiołowa. Myślę, że dzika noc z Tentatorem przyniesie ci stanowczo więcej rozkoszy niż nudny związek z Guardianem.

– Co ty bredzisz?

Jadowity śmiech Daniela sprawił, że ciarki przeszły mnie od czubka głowy aż po same pięty.

– Czyli Dunkeld nie zdradził ci jeszcze, kim jest – oznajmił z lekkim zdziwieniem.

Kropla zimnego potu spłynęła mi po plecach.

– Znasz Gabriela?

– Słowo „znam” jest zbyt ubogie, by opisać moją znajomość z tą łajzą. Zastanawiam się tylko, czemu wciąż czeka z wyznaniem ci prawdy. Czyżby nie był pewien swoich uczuć, a może spotyka się z kimś innym? Z tego, co wiem, Dunkeld wyjechał na kilka dni. Nie zdziw się więc, jak wróci z inną cizią, a ciebie odstawi na boczny tor. Lubi dziewczyny, a one lubią jego.

– Gabriel nie zrobiłby czegoś takiego.

– Mówisz, jakbyś go znała – prychnął. – Sama się niedługo przekonasz. A gdy poczujesz żal rozrywający ci serce i zapragniesz ukoić rozpacz po rozstaniu, pamiętaj, że najlepszym sposobem na złagodzenie miłosnego rozczarowania jest żywiołowo spędzona noc w dobrym towarzystwie. Z przyjemnością rozbudzę w tobie pożądanie i napełnię twoje ciało rozkoszą – mówił niskim głosem, a wypowiadane przez niego słowa zdawały się posiadać uwodzicielską moc. – Mogę dać ci, czego tylko zapragniesz. Czego tylko chcesz. Wyobraź sobie…

Jego głos przeszedł w zmysłowy szept, który przeniósł mnie do barokowej sypialni z bogato zdobionym łożem. Na bordowej atłasowej pościeli leżał półnagi Daniel kuszący szarmanckim uśmiechem i atletycznym ciałem. Czarne oczy patrzyły pożądliwie w moją stronę, jakby chciał zedrzeć ze mnie ubranie.

– Jak ci się podoba taka wizja? – Jego chrapliwy głos wyrwał mnie ze stanu hipnozy.

Przełknęłam ślinę, przypominając sobie palący smak, który pozostał mi w ustach po naszym spotkaniu.

– Nigdy w życiu – syknęłam.

– Twarda z ciebie sztuka, ale znajdę na ciebie sposób.

– Idź do diabła!

Daniel zasyczał jak wąż.

– Nieważne jak, ale w końcu zdechniesz. Słyszysz, suko? Zdechniesz!

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, przerwałam połączenie i rzuciłam telefon na łóżko. Usiadłam w fotelu, podciągnęłam kolana pod brodę i objęłam je rękoma. Nie minęło kilkanaście sekund, jak telefon zadzwonił ponownie.

Numer zastrzeżony.

Odrzuciłam połączenie, jednak po chwili znowu zadzwonił. Brzęczał natarczywie przez następnych kilka minut. Moje serce biło coraz szybciej, tętno pulsowało w skroniach, jakby Daniel miał lada moment, za sprawą dzwonka telefonu, zmaterializować się w moim pokoju. Jego groźba wciąż rozbrzmiewała złowrogim echem w mojej głowie.

…zdechniesz. Słyszysz, suko?

Dość!

Wzięłam komórkę do ręki i przytrzymałam kciukiem klawisz z czerwoną słuchawką. Wyświetlacz pociemniał, dzwonek zamilkł. Rzuciłam telefon na poduszkę i sama padłam na łóżko.

Ogarnęło mnie piekielne zmęczenie.

– Laryso. Laryso. Obudź się.

Uchyliłam ciężkie powieki, po czym zamknęłam je z powrotem.

– Laryso! – Mama szarpnęła mnie za ramię.

– Zostaw. Chcę spać. – Zakryłam głowę kołdrą.

– Wstawaj, no już! – Mama ściągnęła ją ze mnie. – Jest ósma.

– Ósma… – powtórzyłam bezmyślnie. Przebłyski rozmowy telefonicznej mąciły mi umysł. Przekręciłam się na drugi bok.

– Nie zamierzasz iść dzisiaj do szkoły?

– Jest noc, po co mam iść do szkoły? – wymamrotałam sennie.

– Laro. Jest ósma rano.

Uchyliłam zlepione powieki. W pokoju było widno, a mama siedziała w szlafroku na skraju łóżka.

– Cholera. – Zerwałam się na równe nogi. – Czemu mnie wcześniej nie obudziłaś?

– Sama dopiero co wstałam.

– Tata cię nie obudził? – Podeszłam do biurka i wrzuciłam pośpiesznie zeszyty do torby.

– Nie słyszałam, jak wychodził. Spałam jak zabita. Te wieczorowe studia strasznie mnie męczą. – Mama podeszła do mojej szafy.

– Dzisiaj znów prowadzisz zajęcia po południu? – spytałam, zdejmując z siebie wygniecioną bluzkę.

– Niestety tak, ale na szczęście najbliższy weekend mam wolny. – Podała mi czystą koszulę w kratę.

– Idę umyć zęby – oświadczyłam i pośpiesznie, zapinając guziki, wyszłam z pokoju.

– A ja zrobię ci płatki i przygotuję kanapki do szkoły.

Dzięki ekspresowej podwózce mamy udało mi się zdążyć na drugą lekcję.

– Już się bałam, że coś ci się stało – powiedziała Zuzka, gdy wchodziłyśmy do sali informatycznej.

– Dlaczego? – Ziewnęłam. Mimo tego, że przespałam ciurkiem całą noc, czułam się śpiąca i niespokojna.

– Dzwoniłam na komórkę, ale byłaś niedostępna. Domowego nikt nie odbierał – wyjaśniła.

– Widocznie byłyśmy z mamą już w drodze do szkoły. – Włączyłam komputer na naszym stanowisku.

– A co z twoją komórką?

– Zostawiłam wyłączoną na łóżku. – Usiadłam na krześle i poczułam słabość.

– Wczoraj nie rozstawałaś się z nią na krok. Myślałam, że czekasz na telefon od Gabriela i w sprawie Gali – przypomniała.

– Tak było, dopóki nie zadzwonił Daniel.

Oparłam łokcie o blat i wsunęłam dłonie we włosy. Serce zaczęło mi walić, zrobiło mi się niedobrze. Wszystko wokół wydawało mi się niepokojące.

– Larysa, co się dzieje? – Zuzka nachyliła się, zaglądając mi w oczy.

– On mnie przeraża – wyznałam.

– Daniel? Dlaczego, co ci powiedział?

Za naszymi plecami przystanął nauczyciel.

– Dziewczyny, dość rozmów. – Jego oddech śmierdział papierosami i cebulą. Poczułam kolejny napływ mdłości. – Otwórzcie plik Excela i wpiszcie dane z tablicy. – Nachylił się i wtedy mój żołądek zrobił fikołka.

– Niedobrze mi. – Zakryłam dłonią usta, zerwałam się z krzesła i wybiegłam z klasy na korytarz.

Pędziłam do łazienki, a niestrawione resztki płatków śniadaniowych podchodziły mi do gardła. Wpadłam do ubikacji, otworzyłam drzwi kabiny, uniosłam klapę i zwymiotowałam. Całe moje śniadanie w jednej chwili znalazło się na dnie muszli klozetowej. Jęknęłam bezsilnie i klapnęłam na zimną posadzkę. Serce waliło mi jak młotem, w żołądku szalała karuzela.

– Larysa! – Usłyszałam głos Zuzki.

– Tutaj. – Oparłam się o ścianę.

Zuzka weszła do kabiny.

– Nic ci nie jest?

– Chyba nie – odparłam, czując dreszcze na całym ciele.

– Boże, czegoś ty się nażarła? – Zajrzała w głąb sedesu.

– Nikt ci nie każe analizować moich wymiocin – burknęłam.

Kucnęła obok mnie.

– Co cię tak ruszyło?

– Nie wiem. – Nagły skurcz żołądka szarpnął mną jak kukłą i kwaśna treść podeszła mi do gardła. Nachyliłam się nad muszlą i zwymiotowałam po raz drugi.

Zuzka przytrzymała mi włosy, które wysunęły się z kitki, i podała mi zwitek szarego papieru.

– Proszę, rzygulinko.

Wytarłam nos szorstkim kawałkiem, który śmierdział makulaturą, po czym oparłam się o ścianę.

– Jak się czujesz? – spytała troskliwie.

– Jakbym zwymiotowała – oznajmiłam, czując niesmak w ustach. – Masz może gumę do żucia?

Zuzka usiadła obok mnie i zaczęła grzebać w torbie.

– Cholera, nie mam. Ale może chcesz kanapkę z mortadelą?

Na samą myśl o wędlinie poczułam ponowny skurcz w żołądku.

– Chcesz tu ze mną siedzieć cały dzień? – zapytałam.

Zuzka się uśmiechnęła.

– Kuszące, ale nie skorzystam.

– Zabrałaś może moje rzeczy z pracowni? – zapytałam.

Zuzka uniosła leniwie prawy pośladek i wyciągnęła spod siebie moją torbę i kurtkę.

– Trzymaj.

– Siedziałaś na nich?

Przyjaciółka spojrzała na mnie spod ciemnych rzęs wzrokiem niewiniątka.

– Tak jakoś wyszło. Strasznie tu ciasno, musiałam je gdzieś upchnąć.

Było mi zimno, więc założyłam kurtkę na siebie, po czym zaczęłam szukać w torbie gumy do żucia, którą znalazłam na samym dnie. Wycisnęłam białą drażetkę do ust i rozgryzłam słodką glazurę. Orzeźwiający smak mięty poprawił mi odrobinę samopoczucie. Odetchnęłam głęboko.

– Lepiej ci?

– Trochę.

Resztę informatyki przesiedziałyśmy w ubikacji, a gdy dzwonek oznajmił przerwę, skończyłam opowiadać Zuzce o wczorajszym telefonie od Daniela.

– Po takim tekście też bym pewnie puściła pawia – oznajmiła ze współczuciem i oparła głowę o ścianę.

– Myślisz, że to ze strachu?

– Na pewno się zestresowałaś. Pamiętam, że mama po każdej awanturze z ojcem miała sensacje żołądkowe. – Zapatrzyła się w jeden punkt i posmutniała, jakby przywoływała bolesne wspomnienia z dzieciństwa.

– Wszystko w porządku? – Zajrzałam w jej duże, ciemne oczy.

– Życie nie jest w porządku. Jest pokręcone, jak cholera, ale trzeba to jakoś znieść. – Wzruszyła ramionami.

W tej samej chwili ktoś zawołał z korytarza:

– Dziewczyny! Lara, Zuzka, jesteście tam?! To ja, Paweł. Możecie wyjść?! To ważne.

Spojrzałyśmy na siebie pytająco.

Podniosłyśmy się leniwie i wyszłyśmy z kabiny na przestrzeń łazienkową. Paweł nieśmiało zaglądał przez drzwi.

– Co się urodziło? – spytała Zuzka, otrzepując spodnie z tyłu.

– Dyrektorka zwołała apel dla trzecioklasistów. Chyba będzie mówić coś o maturach – wyjaśnił.

– Okej, dzięki – odpowiedziałam.

– Chodźcie, już się zaczyna – dodał i zniknął za drzwiami.

Niewielki hol po brzegi wypełniali maturzyści, którzy tłoczyli się jak śledzie w beczce. Niektórzy słuchali z nikłym zainteresowaniem chrypliwego głosu Sempolskiej, część rozmawiała szeptem między sobą, inni pisali SMS-y bądź uzupełniali wpisy na Facebooku, a pozostali oddawali się pierwotnym odruchom ziewania, dłubania w nosie i grzebania w uchu.

– Nigdzie z przodu nie ma miejsca – jęknął Paweł.

– Chodźcie! Tu jest trochę luzu. – Zuzka poszła pod ścianę.

Ulokowaliśmy się na samym końcu, gdzie doskwierał nam brak tlenu i marny widok.

– Ale miejscówka – wymamrotałam. Próbowałam dojrzeć z przodu dyrektorkę, ale jedyne, co widziałam, to plecy stojących przed nami osób.

– Nie marudź, tylko słuchaj – rzuciła Zuza.

Zrezygnowana oparłam się o ścianę i zastosowałam się do jej rady.

– …dlatego dzięki uprzejmości naszego dzisiejszego gościa i zatrudnionym instruktorom od następnego semestru będziecie uczęszczać na zajęcia jazdy konnej – powiedziała dyrektorka.

Wytężyłam słuch.

– Mam pytanie – odezwał się dziewczęcy głos z przodu. – Czy pan Gabriel również będzie prowadził zajęcia?

Co?

Poczułam falę gorąca. Wychyliłam się w przód tak, że zaledwie milimetry dzieliły mnie od pleców postawnej dziewczyny stojącej przede mną.

– Raczej nie – odpowiedział ciepły baryton, na którego dźwięk ugięły się pode

mną kolana.

Co poniektóre żeńskie głosy stęknęły, manifestując w ten sposób swoje rozczarowanie.

– Panie Gabrielu, a kiedy rozpoczną się zajęcia? – zapytała kolejna trzecioklasistka.

– Po pierwsze, jestem niewiele starszy od was, więc proponuję, żebyście mówili mi po imieniu. A o grafiku decyduje pani dyrektor. Ja udostępniam konie i stajnię, które są do waszej dyspozycji – wyjaśnił.

To Gabriel, na bank. Wrócił?

Cofnęłam się pod ścianę i podskoczyłam niezdarnie do góry.

– Kurczę, nic nie widzę – zakwiliłam, spoglądając bezradnie na przyjaciółkę.

– Nie jęcz, tylko słuchaj, co mówi – odparła.

Spojrzałam na nią wymownie.

– Nie patrz tak na mnie – burknęła. – Przecież nie wezmę cię na barana.

– Może ja cię podsadzę? – zaproponował ochoczo Paweł.

Przewróciłam oczami, wzięłam dwa kroki rozbiegu i zamiast odbić się w górę, zderzyłam się z przepoconą koszulką wyrośniętej dziewczyny, która stała przede mną.

– Przepraszam – odparłam, nim dziewczyna zdążyła otworzyć usta.

Spojrzała na mnie z góry, po czym odwróciła się z powrotem.

Zuzka zanosiła się śmiechem, zakrywając ręką usta.

– Ha, ha, ha, bardzo zabawne – odpowiedziałam, mrużąc oczy.

Nagle zbiorowy żeński śmiech rozległ się z przednich rzędów.

– Cóż, pozostaje mi tylko podziękować za komplement – powiedział Gabriel.

– Jaki komplement? – zwróciłam się do Zuzki. – O co chodzi?

Wzruszyła ramionami.

– A czy uważasz, że… – zaczęła kolejna maturzystka.

– Dość tych pytań, moje drogie – przerwał jej głos Sempolskiej. – Gabriel i jego przyjaciółka Tatiana są zmęczeni po długiej podróży.

– Przyjaciółka Tatiana? – Spojrzałam pytająco na Zuzkę, lecz ona ponownie wzruszyła ramionami.

Okej, muszę się do niego jakoś dostać.

– Przepraszam. – Poklepałam przysadzistą dziewczynę w plecy. – Możesz mnie

przepuścić?

Krępa nastolatka spojrzała bez wyrazu i odsunęła się na bok.

Ruszyłam do przodu, przepraszając co chwilę napotykane osoby i przeciskając się między nimi. Czułam, jak wzmaga się we mnie niecierpliwość.

– Przepraszam. Przepraszam. – Poszturchiwałam co chwilę maturzystów.

– Czego tu? – burknął jeden z nich i popchnął mnie do przodu.

Puszczona w ruch jak piłka przeleciałam przez rozrzedzone przednie rzędy i wpadłam z impetem na kilka osób stojących na początku.

– Sorry. – Zachwiałam się.

Trzy dziewczyny z sąsiedniej klasy zerknęły na mnie, po czym skierowały maślane oczy w przeciwnym kierunku. Podążyłam wzrokiem za ich spojrzeniem i ujrzałam Gabriela.

Stał w swobodnej pozie, z nonszalanckim uśmiechem na ustach.

Nachylił się i szepnął coś do ucha stojącej obok dziewczynie. Była ładna. Niebezpiecznie i denerwująco ładna. Odpowiedziała Gabrielowi śnieżnobiałym uśmiechem, a mnie coś ścisnęło w klatce piersiowej. Wyglądali razem jak z żurnala. I wtedy usłyszałam w głowie echo głosu Daniela: *Nie zdziw się więc, jak wróci z inną cizią, a ciebie odstawi na boczny tor. Lubi dziewczyny, a one lubią jego*.

Mdłości powróciły, zrobiło mi się gorąco i zakręciło w głowie.

Nieważne jak, ale w końcu zdechniesz. Słyszysz, suko? Zdechniesz!

Serce zaczęło dudnić mi w piersi, krew szumiała w skroniach. Czułam, że muszę stamtąd wyjść. Było mi duszno, niedobrze. Musiałam jak najszybciej zaczerpnąć świeżego powietrza. Ciemne plamki zaczęły migotać mi przed oczami, widziałam wyłącznie obrysy sylwetek i kształtów. Słyszałam jedynie szum, zbitkę słów, chaos. Minęłam pierwszy rząd i szybkim krokiem ruszyłam ku wyjściu. Dopadłam do drzwi, otworzyłam je i wyszłam na skąpany w słońcu plac.

Serce waliło mi, jakby zamierzało wyskoczyć z piersi. Stanęłam na dziedzińcu i wzięłam głęboki wdech. Jesienne, chłodne powietrze mnie orzeźwiło. Sięgnęłam do torby, wygrzebałam z zakamarków gumę do żucia i włożyłam ją do ust. Tak jak poprzednio, poczułam lekką ulgę. Wzięłam kolejny głęboki wdech, zrobiłam skłon i się wyprostowałam. Zaczęłam odzyskiwać ostrość widzenia, moje tętno stopniowo spowalniało. Uspokajałam oddech, a w miejsce paniki pojawiło się zmęczenie. Moje nogi stały się ciężkie jak z ołowiu.

– Laryso! – Usłyszałam męski głos i poczułam ucisk w żołądku.

Gabriel podszedł i stanął przede mną.

– Wołałem cię. Co się dzieje? – spytał, zaglądając mi w oczy. – Źle się czujesz?

– Miałam ciężki dzień. Idę do domu.

– Odwiozę cię. Zostawiłem auto na parkingu…

Nie zdziw się więc, jak wróci z inną cizią, a ciebie odstawi na boczny tor. Lubi dziewczyny, a one lubią jego – głos Daniela ponownie rozległ się w mojej głowie.

– Nie. Chcę być sama, przemyśleć kilka spraw. – Potarłam ręką czoło. Nie mogłam się skupić, nie chciałam z nim rozmawiać, miałam mętlik w głowie.

– Na pewno. Tylko cię podrzucę, wyglądasz na zmęczoną. – Objął mnie ramieniem.

Chciałam się wtulić w jego pierś i pozwolić mu, by się mną zaopiekował. I wtedy znowu powróciło do mnie wspomnienie słów Daniela: *Czyli Dunkeld nie zdradził ci jeszcze, kim jest?*

Podniosłam wzrok na Gabriela. Patrzył na mnie tak, że miałam ochotę go pocałować. Tęskniłam za nim, chociaż wcześniej spotkaliśmy się zaledwie kilka razy. Chciałam wierzyć, że to, co zaistniało między nami, było czymś szczególnym. Chciałam wierzyć, że Gabriel, patrząc teraz na mnie, czuje się podobnie jak ja. Ale tak naprawdę nie miałam pojęcia, co on do mnie czuje. Nie miałam pojęcia, dokąd i po co wyjechał, z kim był oraz z kim wrócił. Nie miałam pojęcia, kim jest, bo każde moje pytanie zbywał wymijającą odpowiedzią. A ja do tej pory zgadzałam się być zbywaną. Wystarczy.

– Gabrielu, możesz mi powiedzieć, dlaczego i dokąd dokładnie wyjechałeś? – zapytałam wprost.

Uniósł brwi.

– Do Korei Południowej, do pracy – odpowiedział.

– A czym się dokładnie zajmujesz? – Przechyliłam głowę.

Przesunął dłonią po włosach.

– To skomplikowane…

– Oczywiście. – Zaśmiałam się cierpko. – A co robiłeś na ulicy wtedy, gdy Nowakowa miała zawał, albo na trasie podczas wypadku?

Gabriel przymknął powieki, jakby wiedział do czego zmierzam.

– Laryso, proszę cię…

– Tak, wiem. Nie możesz odpowiedzieć – wtrąciłam. – A ta dziewczyna, z którą

wróciłeś, poznałeś ją na wyjeździe? I skąd znasz Daniela? Może wiesz również, dlaczego mnie nęka?

Oczy Gabriela przybrały kolor zimnej stali.

– Nie dał ci spokoju? – Jego głos zabrzmiał nisko, jakby wydobył się spod ziemi.

– Uświadomił mi kilka spraw. Zdradził co nieco na twój temat.

– Laryso, nie rozumiesz…

– Nie rozumiem? – weszłam mu w słowo, czując ukłucie gniewu. – Uważasz, że jestem za głupia, żeby zrozumieć? Masz mnie za pustą lalę, którą można zwodzić? Daniel to kanalia, ale mnie przed tobą uprzedzał. Ja jednak nie chciałam mu wierzyć.

Gabriel zaklął i przeczesał rozwichrzone włosy.

– To nie tak.

– A jak? Od początku nie byłeś ze mną szczery. Starałam się zrozumieć, że masz ważne powody, by ukrywać, kim naprawdę jesteś. Ale już wystarczy. Mam dosyć tajemnic. Muszę to wszystko przemyśleć na spokojnie. Nie powinniśmy się więcej spotykać.

Zmarszczył brwi.

– Na pewno tego chcesz? – upewnił się i przybliżył. Był teraz tak blisko, że wystarczyłoby, bym uniosła głowę, by nasze usta się spotkały.

Tętno mi przyśpieszyło. Gabriel jakby czytał w moich myślach – ujął mój podbródek, spojrzał mi w oczy i pocałował mnie w usta. Słodycz jego pocałunku okazała się zniewalająca. Ulegnięcie jej oznaczało rozkosz, ale i ogromny ból.

Nie. Nie mogę, to prowadzi donikąd.

Czułam się, jakbym miała rozpaść się na kawałeczki. Cofnęłam się, lecz on mnie objął.

– Nie odchodź, proszę. Tęskniłem. – Przygarnął mnie do siebie i wtopił się w moje usta.

Żar jego pocałunku mnie oszołomił. Zabrakło mi tchu. Rozchyliłam bezwiednie usta i poddałam się rozkoszy, przyrodniej siostrze gniewu. Nasze języki splotły się w zmysłowym tańcu. Byłam rozdarta. Miotały mną namiętność i rozsądek. Spierałam się z samą sobą. Zupełnie jakby dwie różne osoby mieszkające w moim ciele mówiły: *Pragnę cię* i *Nie znam cię*.

Walka serca i rozumu.

Zastanawiam się tylko, czemu wciąż czeka z wyznaniem ci prawdy. Czyżby nie był

pewien swoich uczuć, a może spotyka się z kimś innym? – Powrócił do mnie głos Daniela.

Przerwałam pocałunek.

– To się nie uda. To nas nigdzie nie zaprowadzi – powiedziałam i poczułam w sercu ukłucie żalu.

Gabriel przesunął dłońmi po twarzy. Wyglądał na rozdartego.

– Daj mi jeszcze trochę czasu.

– A co to zmieni? Mówisz, żebym dała ci więcej czasu, ale nie wyjaśniasz, dlaczego go potrzebujesz. Nie chcę żadnych tajemnic, pragnę szczerości i zaufania.

Cisza zapadła między nami.

Gabriel popatrzył na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Rozumiem. Nie będę ci się wobec tego narzucał, jeśli takie jest twoje życzenie – oświadczył.

– Tego właśnie chcę – odparłam ze ściśniętym gardłem.

– Mam do ciebie tylko ostatnią prośbę – dodał. – Wystrzegaj się Daniela jak ognia, dobrze?

– Postaram się.

– To za mało. Obiecaj. – Ujął moją dłoń.

– Obiecuję – odparłam, czując jego ciepły dotyk.

– To była niewymowna przyjemność przebywać z tobą, Laryso. – Uniósł moją rękę do swoich ust i ją pocałował.

Moje serce zabiło jak szalone. Nie mogłam jednak ulec ponownie. Byłam zauroczona Gabrielem, może nawet się w nim zakochałam, ale jak miałam budować z nim związek, skoro nie posiadał on fundamentów, jakimi są zaufanie i szczerość? Chwile, które razem spędziliśmy, były magiczne. Nigdy nie czułam się tak przy żadnym chłopaku, ale czy jest sens w pielęgnowaniu związku, w którym kryje się tak wiele tajemnic?

– Jeśli kiedyś zechcesz się bardziej otworzyć, to wiesz, gdzie mnie szukać. – Wysunęłam dłoń z jego dłoni, ominęłam go i ruszyłam w stronę domu, połykając po drodze łzy.

Gabriel

Gdy tylko ją zobaczyłem wychodzącą z tłumu maturzystów, pomyślałem, że chce się ze mną przywitać. Ona podążyła jednak prosto na dziedziniec, jakbym nie istniał. Zawołałem ją, a gdy się nie obróciła, ruszyłem za nią.

To, co wydarzyło się później, przykro mnie zaskoczyło.

Podczas przerw w walkach w Korei wyobrażałem sobie, jak będzie wyglądało nasze spotkanie. Pragnąłem bliżej poznać Larysę, otworzyć się przed nią, na tyle, na ile zezwalało mi guardiańskie prawo. To okazało się jednak niewystarczające. Ona żądała pełnej szczerości, której nie mogłem jej podarować.

Nie powinniśmy się więcej spotykać – powiedziała. Nie takiego wyznania spodziewałem się z jej ust. Chciałem nakłonić ją do zmiany zdania, przekonać, by dała mi szansę. Pocałowałem ją i Bóg mi świadkiem, że poczułem wtedy, że to może być ona.

W pierwszym odruchu postanowiłem zaryzykować, wyznać jej, kim jestem. Jednak zdrowy rozsądek wziął górę. Zbyt długo żyłem na świecie, zbyt wiele historii słyszałem, by tak narażać Larysę. Najmniejsza pomyłka w ocenie naszych uczuć zakończyłaby się dla niej tragicznie. Potrzebowałem jeszcze czasu, może zaledwie kilku dni, paru spotkań, by zyskać stuprocentową pewność, lecz Larysa nie chciała czekać. To był nasz pożegnalny pocałunek.

– Jak się masz? – Tatiana weszła do gabinetu z talerzem gorącej zupy, odciągając tym samym moją uwagę od wspomnień z tego dnia. – Semena zrobiła rosół, podobno najlepiej leczy złamane serce.

– Nie mam złamanego serca, jeśli o to ci chodzi. – Spojrzałem na monitor, na którym wyświetlały się notowania giełdowe. Nie mogłem się na nich skupić. Zamknąłem wieko komputera.

– Myślę, że masz. Tylko nie chcesz się do tego przyznać. – Postawiła przede mną talerz i usiadła naprzeciwko w fotelu. – Larysa cię zraniła i chociaż miała poważne powody, by z tobą zerwać, masz prawo się na nią wkurzać.

– Nie mogła ze mną zerwać, bo nie byliśmy razem, a ja nie jestem wkurzony.

– Nie jesteś wkurzony? Powiedz to swoim brwiom. – Tatiana założyła nogę na nogę. – Gabrielu, nie ma nic złego w przyznaniu się do swoich emocji. Wręcz przeciwnie, uzewnętrznianie się pomaga. – Nachyliła się, patrząc mi w oczy. – Jak byś opisał swoje uczucia?

– Tatiano, to nie jest gabinet terapeutyczny, ty nie jesteś psychologiem, a ja twoim klientem. – Odsunąłem zupę, nie miałem ochoty na jedzenie.

Sapnęła.

– Znowu to samo. Wypierasz emocje, dławisz je w sobie. Myślisz, że gdy wsiądziesz na konia i pognasz w czarną noc, znajdziesz rozwiązanie swoich problemów?

– Tak właśnie sądzę.

– To tak nie działa, Gabrielu.

– To mi wystarcza.

– By przetrwać, ale nie by być szczęśliwym.

– Szczęście to ułuda, cień zwodniczy. – Wstałem od biurka i podszedłem do okna.

Zapadał zmierzch. Powietrze było szare, bezbarwne, ponure. Czubki jodeł kołysały się niespokojnie na wietrze. Niebo wyglądało na ciężkie i sine, jakby zamierzał spaść z niego pierwszy śnieg.

Tatiana podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę.

– Wiem, że czekasz na nią ponad trzysta lat, ale proszę cię, nie rezygnuj teraz tak łatwo. Znamy się długo, kocham cię jak rodzonego brata i nieczęsto widuję w twoich oczach taki błysk, jaki miałeś, opowiadając mi o tej nowo poznanej dziewczynie. Daj jej szansę.

– Tak zrobiłem, a ona jasno powiedziała mi, czego oczekuje.

– Może więc spełnij jej oczekiwania.

– Nie mogę ryzykować. – Odszedłem od okna. – Nie jestem dostatecznie pewien…

– Swoich uczuć? – Tatiana przechyliła z zaciekawieniem głowę.

– Swoich i jej – odpowiedziałem.

– Wiesz… – podeszła do mnie i popatrzyła mi w oczy – wydaje mi się, że ona darzy cię uczuciem, inaczej nie przeszkadzałoby jej to, że masz przed nią tajemnice. Weź pod uwagę, że ponad tydzień temu rozbudziłeś w niej nadzieję na coś więcej,

a potem wyjechałeś nagle, nie dawałeś znaku życia, po czym pojawiłeś się w szkole, do której chodzi, w towarzystwie nieznanej jej dziewczyny. I jeszcze ten piekielny Daniel, Bóg jeden wie, co nagadał Larysie. Miała prawo być zdezorientowana. Jej zachowanie, warunek, który ci postawiła, może świadczyć tylko o tym, że jej zależy, że myśli o tobie poważnie. Sądzę, że ty też tak o niej myślisz, bo wyglądasz jak zbity pies. Zastanów się na spokojnie, co czujesz do tej dziewczyny i czy nie warto podjąć ryzyka. – Pogładziła mnie po ramieniu. – Gdybyś chciał jeszcze porozmawiać, to jestem z Adzirem w salonie. A może masz ochotę się zresetować i obejrzeć z nami film? – zapytała z entuzjazmem.

– Dziękuję, poczytam książkę i pójdę wcześniej spać – odparłem, choć wątpiłem, bym mógł skupić się na czytaniu, a co dopiero zasnąć.

– Spokojnego wieczoru zatem. – Tatiana pocałowała mnie w policzek i udała się do wyjścia.

– Dobranoc. – Odprowadziłem ją wzrokiem, aż zniknęła za drzwiami.

Zostałem sam na środku gabinetu. Spojrzałem na regały z książkami. Mogłem z nich wyczytać setki historii, a dzięki nim przeżyć dziesiątki żyć. Przeniosłem wzrok na biurko, na którym stał komputer. Otwierał przede mną cały świat. Dawał mi możliwość poznania tysięcy ludzi. Tylko że ja nie miałem ochoty na cudze historie, nie chciałem poznawać świata ani nowych ludzi. W ciągu ostatnich trzech wieków słyszałem tysiące historii, przeżyłem pięć żyć, zwiedziłem cały świat i poznałem aż za dużo ludzi. Zaznałem wszystkiego, czego człowiek może doznać – narodzin, śmierci, radości, smutku, dostatku, ubóstwa, nadziei i rozczarowania, ulgi i cierpienia. Jedyne, czego mi brakowało, to Laristy.

Larysa

Zmierzałam w kierunku domu. Mijałam znajomych ludzi, lecz ich nie rozpoznawałam. Przed oczami widziałam tylko jego twarz, wyrażającą zdziwienie, zawód, rozczarowanie.

Miałam wrażenie, że jestem jak dziurawy balon, z którego ulatnia się powietrze. Moje ręce były ciężkie, nogi słabe, a czoło spięte. Przystanęłam na moment, zamknęłam oczy i potarłam zmęczone powieki. W tej samej chwili zjawił się ciąg obrazów: namiętny pocałunek, zwątpienie, nerwowo przeczesane włosy, dezorientacja, zgaszony wzrok, rozstanie. Do oczu napłynęły łzy. Pojawiła się gorycz utraconej szansy. Szansy na odwzajemnione uczucie. Szansy na miłość. Poczułam ukłucie w sercu, promieniujący ból rozszedł się po klatce piersiowej do obojczyka, skroni. Ruszyłam w dalszą drogę. Zapragnęłam zapaść w długi, kojący sen i obudzić się jutro rano tak, aby ostatnie dwa dni okazały się jedynie nocnym koszmarem.

Wreszcie dotarłam do ogrodzenia, za którym znajdował się mój dom. Oparłam czoło o chłodny słup od furtki i zamknęłam zmęczone powieki.

– Laro, źle się czujesz? – Głos sąsiada wyrwał mnie z chwilowego stanu wypoczynku.

Oderwałam czoło od żeliwnego pala i spojrzałam na Walińskiego.

– Nie. Wszystko w porządku – odparłam nieco zdziwiona jego widokiem. – Pan nie w pracy?

– Wykorzystuję zaległy urlop. – Oparł się o grabie, przyglądając mi się uważnie. – Wyglądasz nieciekawie. Na pewno wszystko gra?

– Miałam ciężki dzień w szkole.

– A, szkoła – odparł ze zrozumieniem. – Nie łam się. Dzisiaj już piątek, przed tobą cały weekend. Zobaczysz, że już jutro świat nabierze innych barw. – Uśmiechnął się.

– Pewnie tak. Póki co wszystko jest czarne – mruknęłam, otwierając torbę w poszukiwaniu kluczy.

– Okej. Nie męczę cię dłużej. Pewnie marzysz o tym, żeby wreszcie odpocząć.

Uniosłam z grzeczności kąciki ust i zajrzałam w głąb przepastnej torby.

– Jeśli tylko uda mi się dostać do domu. – Potrząsnęłam torbą. – Gdzie są te przeklęte klucze?

– O, widzisz! Dobrze, że mi przypomniałaś. Dorabiałem dzisiaj klucz w sklepie Malczewskiego. Pogadaliśmy trochę. Podobno w niedzielę wraca Nowakowa…

Żołądek podszedł mi do gardła. Co?!

– Niemożliwe. Rozmawiałam z nią kilka dni temu przez telefon. Mówiła, że jest u synów.

– Podobno pogodziła się z nimi na dobre i zamierza się do nich wprowadzić. Mają przyjechać w niedzielę, żeby spakować wszystkie rzeczy. Ciekawe, czy będą sprzedawać dom? Muszę koniecznie porozmawiać z twoim ojcem…

Dalsze wywody sąsiada zagłuszyła wewnętrzna panika. Nowakowa zjawi się pojutrze w Starym Lesie, a ja nadal nie znalazłam Gali. Telefonicznie zapewniałam kobietę, że psina jest cała i zdrowa.

A teraz okazuje się, że zostały mi niecałe dwa dni na znalezienie psa. Nie miałam czasu do stracenia.

Wyrzuciłam całą zawartość torby na trawnik, rozgarnęłam szpargały i wyłowiłam spomiędzy nich pęk kluczy.

– A nie widział pan może jej psa? – Wrzuciłam z powrotem wszystko do torby, wycelowałam w zamek i otworzyłam furtkę.

– Nie, ale obstawiam, że szwenda się gdzieś w głębokim lesie. Labradory to płochacze, kiedyś wykorzystywano je do wypłaszania zwierzyny. Pewnie gania za zającami gdzieś w puszczy i jest w siódmym niebie. – Zaśmiał się.

Podbiegłam do garażu i rozsunęłam metalowe drzwi. Opustoszałe wnętrze utwierdziło mnie w przekonaniu, że rodzice wciąż są w pracy. Rzuciłam w kąt torbę i chwyciłam oparty o ścianę rower. Nie wiem, skąd pojawił się ten przypływ energii. Widocznie potrzeba dotrzymania słowa danego Nowakowej była silniejsza niż zmęczenie. Wsiadłam na damkę, wyjechałam za ogrodzenie, pożegnałam się z Walińskim i wyruszyłam na poszukiwania Gali.

To, że Gala zapuściła się w gęsty las Jodłowego Parku Narodowego było najgorszym ze scenariuszy, jakie brałam pod uwagę. Perspektywa przemierzania ogromnych terenów boru nie napawała mnie optymizmem. Czułam jednak, że nie mam wyboru. Przeczesałam już Stary Las wzdłuż i wszerz. To było ostatnie miejsce,

gdzie mogłam ją znaleźć.

Mimo że miałam na sobie kurtkę i kozaki, ogarnął mnie chłód od mroźnego wiatru. Wystawiłam twarz do słońca, które schodziło coraz niżej, przebłyskując bladymi promieniami przez łyse konary drzew. W powietrzu czuć było zbliżającą się zimę. Ominęłam szlaban i wjechałam na czarną gruntową drogę. Olbrzymie, malachitowe jodły przesłaniały niemal całkowicie niebo. Wokół panowała przenikliwa wilgoć, a stęchły zapach runa unosił się w powietrzu. Złowrogi chłód bijący od ścian lasu spowił moje ciało. Uniosłam biodra do góry i zaczęłam dynamicznie pedałować. Energiczne ruchy rozgrzały nieco tułów, lecz powiew zimnego powietrza oziębił jeszcze bardziej twarz i ręce. Świszczący wiatr wkradał się boleśnie do uszu. Gdy przejechałam dobrych kilkaset metrów, stanęłam na pedałach i zawołałam:

– Gala! – Mój krzyk rozległ się po lesie. – Gala! – ponowiłam wołanie i zagwizdałam.

Odpowiedziało mi jedynie echo i jednostajne cykanie wolnobiegu w rowerze. Opadłam na siodełko. Robiło się coraz ciemniej. Sięgnęłam do spodni po komórkę, by sprawdzić godzinę. Prawa kieszeń była jednak pusta. Sprawdziłam lewą. Też pusta.

Niech to! Zostawiłam telefon na łóżku.

Ominęłam kałużę i impulsywnie przyśpieszyłam. Niepokojące myśli zaczęły krążyć mi po głowie: samotna dziewczyna – w ciemnym borze – odcięta od świata – zapada zmierzch – dziewczyna odwraca się i widzi nierealną zmorę – ucieka – zjawa podąża za nią… Wybujała wyobraźnia podsuwała mi czarne scenariusze. Dojechałam do rozdroża i się zatrzymałam. Tętno pulsowało mi w skroniach. Wzięłam głęboki wdech i wypuściłam nagrzane w ustach powietrze. Kłąb mglistej pary uniósł się ku górze. Spojrzałam na zaczerwienione od zimna dłonie, rozważając sens dalszych poszukiwań. Zapadający zmierzch, nasilające się zmęczenie oraz wszechogarniający chłód stanowiły wystarczające powody, by zawrócić do domu. Rozejrzałam się dookoła i jeszcze raz zawołałam Galę. Mój głos odbił się od stuletnich drzew.

Zwróciłam kierownicę w stronę drogi powrotnej, wsiadłam na rower i wtedy usłyszałam za plecami trzask gałęzi. Odwróciłam głowę, nasłuchując. Dźwięk łamanych patyków zdawał się słabnąć, jakby coś oddalało się od drogi, zmierzając głębiej w las. Skoncentrowałam wzrok na gęstwinach i wtedy ujrzałam biszkoptowy zadek.

– Gala! – Rzuciłam rower, przeskoczyłam wypełniony wodą rów i wbiegłam do lasu. Wstąpiły we mnie nowe pokłady energii. Zawołałam ponownie, podążając za niknącym w ciemnym gąszczu psem. W pewnym momencie krzaki i jeżyny zastopowały moją pogoń. Nie mogłam teraz odpuścić. Zaczęłam przedzierać się przeze nie, czując, jak kolce wbijają mi się w skórę nóg. W końcu znalazłam się w rzadkim fragmencie lasu. Zatrzymałam się, by uspokoić oddech i oparłam dłonie o kolana. Przeczesywałam wzrokiem okolicę w poszukiwaniu labradora. Wokół panowała absolutna cisza. Żadnego trzasku gałęzi, żadnych odgłosów ptaków. Jedyne, co słyszałam, to mój nierówny oddech, przyśpieszone dudnienie serca i szum wiatru. Mroźnie powietrze drażniło mi gardło, lecz najbardziej było mi zimno w stopy. Przenikliwie zimno i mokro. Spojrzałam w dół i zamarłam. Moje nogi zostały wessane do kostek w podłoże. Z sekundy na sekundę coraz bardziej zapadałam się w wilgotną masę ukrytą pod poszyciem. Wyciągnęłam z trudem nogi z błota i dałam krok do przodu. Grząska maź wessała moje nogi aż po łydki. Tętno mi przyśpieszyło. Starałam się wyciągnąć nogi, dać krok naprzód, lecz te ani drgnęły. Uniosłam odrobinę stopę do góry, a wtedy gęste błocko wylało się spod runa, zablokowało ruch i wessało mnie aż po kolana. Byłam w pułapce. Chwyciłam rękoma za udo i zaczęłam ciągnąć je w górę. Nie doceniłam jednak przeciwnika. Usztywniona lodowatą breją noga tkwiła sztywno w glebie niczym słup zalany betonem. Im mocniej szarpałam, tym bardziej pogarszałam swoje położenie. Każdy mój ruch pochłaniał resztkę energii, która mi pozostała. Było mi przeraźliwie zimno, walczyłam uparcie i zajadle kilkanaście minut, po czym opadłam z sił. Moje powieki stały się ciężkie, a oddech płytki. Zamknęłam na moment zmęczone oczy i przypomniałam sobie mroczne historie o torfowiskach, które pochłonęły już niejednego zbłąkanego wędrowca zapuszczającego się w dziewicze tereny puszczy. Wspomnienie nagłówków lokalnej gazety krzyczących: „Kolejne ludzkie szczątki na mokradłach!”, „Jodłowe torfowisko pochłonęło następną ofiarę!” zmroziło mi krew w żyłach. Ostatkami sił pobudziłam wycieńczony umysł do myślenia i ujrzałam w pamięci trzy rysunki umieszczone pod wywiadem ze strażnikiem leśnym ostrzegającym przed zdradziecką puszczą. Na pierwszym z nich widniał człowiek zanurzony po pas w trzęsawisku, na drugim ów człowiek leżał na plecach, na ostatnim zaś czołgał się po grząskiej powierzchni umorusany od pasa w dół w błocie.

To może się udać, pomyślałam i położyłam się na wznak. Mokre podłoże niczym miękki materac ułożyło się pod naciskiem moich pleców. Uniosłam z trudem lewą

nogę ku górze, a wtedy oblepiona zimną mazią kończyna z lekkim oporem wynurzyła się na powierzchnię. Odetchnęłam ciężko, po czym skumulowałam resztki sił i powtórzyłam tę samą czynność prawą nogą. Ubłocone po pas, zmarznięte ciało leżało teraz na torfie, jak pływak na wodzie poddany sile wyporu. Spięłam wszystkie mięśnie, przekręciłam się na brzuch i unosząc głowę w górę, zaczęłam się czołgać. Miękkie podłoże uginało się pod naciskiem łokci i kolan, lecz nie na tyle, by znów mnie pochłonąć. Pełzałam przed siebie aż do momentu, gdy gleba pode mną była wystarczająco ubita, by stanąć na niej na nogach. Byłam cała oblepiona błotem. Niemal zlewałam się z otoczeniem, które zdążyła okryć ciemność. Ociężałym krokiem ruszyłam w stronę drogi. Było mi obojętne, czy smagają mnie gałęzie krzaków, czy jeżyny szarpią nogawki. Przemarzłam i zmęczyłam się na tyle, że nic nie mogło już sprawić, bym poczuła się gorzej. W końcu przed moimi oczami zjawiła się skąpana w księżycowym blasku leśna droga. Jej widok mnie pokrzepił i dodał energii. Przyśpieszyłam kroku, zmierzając w stronę roweru porzuconego na środku drogi.

I wtedy wpadłam do rowu. Woda z mułem zakryły mnie aż po pierś. Poderwałam się jak za pociągnięciem sprężyny, a wtedy coś zablokowało mi nogę, sprawiając, że ponownie zanurzyłam się w szlamie.

Zaklęłam i sięgnęłam rękoma ku uwięzionej stopie. Gruby korzeń blokował nogę i ani drgnął. Uniosłam się na rękach, zaparłam prawą stopą o dno i poruszając lewą nogą na wszystkie strony, próbowałam wysunąć ją ze zdrewniałych kleszczy. Na próżno, musiałabym najpierw schudnąć w kostkach, by wyciągnąć ją w ten sposób. Zanurzyłam ręce w mętnej wodzie i zaczęłam ciągnąć za korzeń. Ani drgnął.

Ponowne próby oswobodzenia się z pułapki spowodowały skrajne wyczerpanie. Mimo to walczyłam, szarpałam, ciągnęłam, aż w końcu opadłam bezsilnie. Oparłam głowę o ścianę rowu. Nie miałam siły. Lodowata woda sparaliżowała całe moje ciało, bolał mnie każdy mięsień, każdy fragment skóry, każda kość. Zamknęłam oczy, dygocząc z zimna. Starałam się sobie wyobrazić, że gorące słońce wychodzi zza konarów drzew i przyjemnie mnie ogrzewa. Mój oddech się uspokoił, wargi przestały drżeć, fala ciepła napłynęła do twarzy. Miałam ochotę zasnąć, lecz wiedziałam, że nie mogę. Zapadnięcie w sen było najgorszym, co mogłabym w tej sytuacji zrobić. Otworzyłam powieki, lecz tylko na sekundę. Po chwili same opadły, wyczerpane.

– Tak… – rozległ się niespodziewanie męski szept. – Odpocznij sobie, droga Laryso. Nie ma sensu, byś walczyła. Pozwól, by ciemność ukoiła twe zmęczenie.

Chciałam uchylić powieki, ale okazały się zbyt ciężkie. Chciałam rozchylić usta, lecz były sztywne, jakby nasączono je krochmalem. Chciałam przemówić, ale język przywarł mi do podniebienia.

– Pozwól sobie odejść – powiedział ten sam głos. – Wystarczająco się już nacierpiałaś…

– Odrzuć złe myśli i posłuchaj siebie – przerwał mu inny. – Masz po co i dla kogo żyć. Istnieją ludzie, którzy cię kochają. Walcz, aby z nimi być. – Głos był ciepły, pokrzepiający. Przywołał znajome twarze. Ujrzałam mamę, która otula mnie ciepłą kołdrą, gdy jestem chora; tatę, który cierpliwie tłumaczy mi, czym jest popyt, podaż i cena równowagi; Zuzkę, jak śmieje się do łez, gdy oglądamy *How I met your mother*; i Gabriela… Odsuwa kosmyk włosów z mojego czoła, nachyla się i całuje mnie w usta.

Do oczu nabiegły mi łzy.

– Ból i łzy. Tylko tyle dostajesz od tego świata – odezwał się pierwszy głos nad moją głową. – Wystarczy twoja zgoda, a pomogę ci skończyć z cierpieniem.

– Nie poddawaj się – podpowiedział łagodny szept z boku. – Zaufaj swoim zmysłom, a przetrwasz. Zaufaj zmysłom – powtórzył.

Posłuchałam go i skupiłam całą uwagę na swoim ciele. Czułam zimne błoto wokół rąk i wodę, która ziębiła nogi, brzuch i pierś. Wsłuchałam się w powolne bicie swego serca. Uniosłam twarz i poczułam wilgoć na zmarzniętej twarzy. Wzięłam głęboki wdech, by zaczerpnąć zapachu lasu i wtedy dobiegł mnie smród zgniłych jaj. Wzdrygnęłam się, znajomy swąd mnie ocucił.

– Doskonale – pochwalił przyjazny głos. – O to chodziło. Teraz już jesteś bezpieczna – dodał i ucichł.

Otworzyłam powieki. Wokół było ciemno, ciężkie chmury zasłaniały blask księżyca. Miało się wrażenie, że lada chwila spadnie pierwszy śnieg. Przekręciłam głowę i zamarłam. Tuż nade mną pochylał się Daniel. W mroku, na tle jasnych brwi i włosów, jego oczy przypominały dwie czarne dziury.

– Widzę, że mój zapach działa na ciebie niezwykle cucąco – odezwał się, a ja w jego głosie wyczułam gniew. – Nie mogę wyjść z podziwu, jakim cudem w ogóle go wyczuwasz. Przy naszym pierwszym spotkaniu był ci zupełnie obojętny.

– Wtedy byłeś kimś innym.

– I tak powinnaś mnie wciąż odbierać, ale to już nieważne. Znalazłem na ciebie inny sposób. – Uniósł jasne brwi i wyszczerzył zęby. – Podzielisz los siostry

Dunkelda. Biedaczek pół wieku nie mógł się pozbierać po jej samobójczej śmierci.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że będę tu czekał, aż zupełnie opadniesz z sił, aż twoja skóra stanie się pomarszczona z odmoczenia, aż twój umysł zacznie płatać ci figle, aż twoje zmysły zaczną mącić ci w głowie. Wtedy twoim jedynym pragnieniem stanie się zejście z tego świata. Będziesz błagać o litość. Skamleć o łaskę. Przyrzekniesz wieczne oddanie Panu Ciemności, bym tylko umożliwił ci samobójczą śmierć.

– Prędzej zjedzą mnie wilki, niż się poddam.

Daniel się roześmiał.

– Słodka, naiwna, Laryso. Odbyłem tysiące takich rozmów. I wiesz co? Zawsze kończyły się tak samo. Ludzie nie potrafią znieść bólu, cierpienia i porażki. Zrobią wszystko, by czuć się dobrze. Nowotwór, bankructwo, śmierć bliskich czy – jak w przypadku Dunkeldówny – złamane serce to wspaniałe pola do działania. Wystarczy szepnąć słówko, zaproponować banalnie proste rozwiązanie, a ludzie sami rzucają się pod pociąg albo zakładają sobie pętlę na szyję.

– To nie jest rozwiązanie – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

– Mówisz tak, bo jeszcze myślisz przytomnie. Nadal masz nadzieję na cud. Łudzisz się, że uratuje cię twój Bóg. Prawda jest taka, że ten nadęty mędrzec ma was wszystkich w nosie. Pozwala na to, żebyście chorowali, cierpieli, umierali w męczarniach tylko po to, by od czasu do czasu olśnić was swoją dobrodusznością i sprawić cud.

– Tak? A co takiego dobrego robi dla ciebie twój Pan? Każe ci tułać się w nocy po ciemnym lesie i namawiać mnie do samobójstwa?

Daniel zacisnął szczęki.

– Nie pozwalaj sobie, gówniaro. Iblis, w przeciwieństwie do twojego Boga, docenił moje starania i przyjął mnie do swego królestwa. Poza tym jestem tutaj z własnej woli i w prywatnej sprawie.

– A jaki masz niby interes w tym, że skonam w leśnym rowie?

– Taki, że wiadomość o twojej śmierci będzie najboleśniejszą torturą dla Dunkelda.

Zaśmiałam się, nie wiedząc sama, czy jest to odruch rozpaczy, strachu, czy zmęczenia.

– Gabriel nie jest już mną zainteresowany. Nici z twojego planu – odparłam.

– Wątpię. Znam Dunkelda, odkąd stał się Wysłannikiem.

– Kim?

– Guardianem.

Nie byłam pewna, czy ze mnie drwi, czy próbuje zmącić mój umysł. Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

Daniel zaśmiał się w głos.

– A to dobre! Nadal nie zdradził ci, kim jest. Ale ja wiem, że mu na tobie zależy. Nigdy wcześniej nie nawiązał z żadnym człowiekiem tak bliskiej relacji jak z tobą. Wszystkie swoje kochanki, nawet zjawiskową hrabinę de'Laruto, traktował chłodno i obojętnie.

– Zapewniam cię, że mu na mnie nie zależy – odparłam. – Rozstaliśmy się dzisiaj po tym, jak wrócił z podróży z jakąś blondynką, Tatianą.

– Z Matwijenko? Och, ty naiwna dziewczyno. Ta guardiańska mimoza jest przyszywaną siostrą Dunkelda. Ich stuknięta babka Semena przygarnęła ją do siebie, gdy stała się sierotą.

Siostra. Nie wspominał, że ma rodzeństwo. Ale wielu rzeczy mi nie mówił.

– Laryso, czy naprawdę myślisz, że urządziłbym tę leśną gonitwę, gdybym nie miał pewności, że mu na tobie zależy? – Ukucnął i pochylił się nade mną. – Długo czekałem na taką okazję. Gdy zorientowałem się, że poszukujesz tego kundla, postanowiłem sam go odnaleźć i zastawić na ciebie pułapkę. A ty tylko ułatwiłaś mi zadanie. Kto by pomyślał, że sama zapuścisz się w puszczę? Wystarczyło, że wypuściłem psa na wolność, a ty pobiegłaś za nim prosto na mokradła. Przyznam, że miałem nadzieję, że skonasz na bagnach, ale nie jestem wybredny i równie dobrze mogę zadowolić się widokiem twojego martwego ciała w rowie.

– A co z Galą? – Poczułam, jak całe moje ciało sztywnieje.

Daniel parsknął.

– Naprawdę jesteś urocza. Leżysz po pas w mule i najpewniej za niecałą godzinę wyzionieszducha, a zamartwiasz się byle kundlem. A co ma z nią być? Dałem jej kopa w tłusty tyłek, zaskomlała i uciekła z podwiniętym ogonem. Niech się uczy survivalu kanapowiec jeden.

– Jesteś potworem – powiedziałam i poczułam się, jakby odpływała ze mnie krew. Z sekundy na sekundę robiło mi się coraz bardziej słabo. Moje powieki stały się na powrót ciężkie, głowa zaczęła się kołysać, jakby szukała podparcia.

– Widzę, że nie najlepiej z tobą. – Daniel zacmokał. – Nie krępuj się, odpocznij sobie, a może chcesz, żebym skrócił twoje cierpienia? Mam tu trochę barbituranów,

wódeczkę, herę, morfinę – wymieniał, gmerając w wojskowej torbie. – Gwarantuję niezapomniane doznania. – Jego głos zdawał się ściszać, niknąć, aż wreszcie zupełnie zamilkł.

Obserwowałam spod ciężkich powiek poruszające się w ciszy jego wąskie usta. Walczyłam z sennością, aż w końcu oparłam głowę o ścianę rowu i zamknęłam oczy. Przyjemne rozluźnienie zaczęło łagodzić ból przemarzniętych kończyn i zdrętwiałych mięśni. Wszystko pomału traciło znacznie. Miałam wrażenie, że zapadam się w niebyt, że zatapiam się w nicość. Czułam, że odchodzę.

I wtedy do moich uszu dobiegło ciężkie dudnienie. Ziemia zadrżała. Uchyliłam z trudem powieki. Smoliste oczy Daniela ciskały złowieszcze błyskawice.

– Pieprzony harcerzyk! – Usłyszałam jak przez szybę jego gniewny głos.

– Co się dzieje? – spytałam cicho.

– Zamknij się, suko!

Daniel wybiegł na drogę, chwycił mój rower i cisnął nim w głąb lasu.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem. – Wymierzył we mnie palcem i rozpłynął się w powietrzu.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Serce zabiło mi mocno, a wraz z nim wzmogło się miarowe dudnienie, które zdawało się narastać z każdą sekundą. Słyszałam je teraz bardzo wyraźnie. Zbliżało się, wprawiając wodę w rowie w drgania.

– Larysa! – rozległ się po lesie mocny głos, któremu zawtórowało parsknięcie konia.

Puls mi przyśpieszył, krew zaczęła szybciej krążyć.

– Tutaj – zawołałam, choć zdawałam sobie sprawę z tego, że mój głos zagłusza galop konia. Uniosłam się na rękach. – Tu jestem!

Myśl, że Gabriel mnie nie usłyszy i pojedzie dalej, napełniła mnie strachem. Musiałam znaleźć w sobie siłę, musiałam zawalczyć o życie. Zanurzyłam dłonie głęboko w mule i nabierając pełne garście, zaczęłam rzucać nim w stronę drogi.

– Gabriel! – krzyczałam, rzucając błotne kule. – Tutaj!

– Prr! – rozległa się stanowcza komenda.

Koń parsknął niecierpliwie. Nastała cisza. To była moja szansa.

– Gabrielu, tu jestem!

Usłyszałam, jak jeździec zeskakuje z konia, jak biegnie w moją stronę.

Wpatrywałam się w czubki drzew, aż ujrzałam jego twarz.

– Larysa. – Gabriel wskoczył do rowu.

– Noga mi utknęła. Nie mogę jej wyjąć.

Zanurzył ręce po łokcie.

– Uniosę korzeń, a ty wyciągniesz nogę. Na trzy. Raz, dwa, trzy. – Gabriel napiął ramiona i uniósł konar do góry. Poruszyłam nogą, lecz nadal nie mogłam jej wyciągnąć.

– Trochę wyżej.

Gabriel wziął głęboki wdech.

– Teraz! – Szarpnął za korzeń.

Przekręciłam nogę w kostce i uwolniłam się z pułapki. Byłam wolna. Momentalnie do oczu napłynęły mi łzy.

– Już dobrze. – Gabriel pochylił się nade mną, podniósł mnie, położył na suchym brzegu i wyskoczył z rowu.

Popatrzyłam w mętną wodę, która przed momentem była moim więzieniem, a która mogła stać się moim grobem. Zakryłam twarz rękoma.

– Już po wszystkim. – Gabriel wziął mnie na ręce, a ja wtuliłam się w jego płaszcz.

Obudziły mnie ciche szepty. Wciąż jednak nie mogłam otworzyć zaspanych powiek i spierzchniętych ust. Miałam wrażenie, jakbym znajdowała się na pograniczu krainy snu i rzeczywistości. Czułam się błogo. Było mi ciepło. Przyjemny zapach ziół i trzaski palonego drewna sprawiały, że zapadałam w płytki sen, by po chwili powrócić w stan półjawy.

Otworzyłam wreszcie oczy i zaczęłam rozglądać się po nieznanym miejscu. W niedużym pokoju dominowała zieleń, która wraz z dodatkami w kolorze bursztynu sprawiała, że pomieszczenie było bardzo przytulne. Ogień w kominku malował cienie na ścianach pokrytych stylową tapetą w kwieciste wzory. Wisiały tu obrazki przedstawiające oryginalne pejzaże. Jeden ukazywał piękno winnic dających przyjemny cień w upalne lato, inny brzydotę wiosennych roztopów na polu, a kolejny mglistość jesiennego poranka. Łoże, na którym leżałam, obite było złotawą tkaniną, jej wzór współgrał z floresami wijącymi się po ścianach. Na wprost mnie znajdowało

się malutkie okno przesłonięte grubą miodową zasłoną, przez którą nie mogłam dostrzec, czy jest dzień, czy noc. Zwróciłam wzrok w stronę drzwi i zobaczyłam filigranową staruszkę z siwym warkoczem zaplecionym wokół głowy. Tuż obok niej stał Gabriel. Opierał się o futrynę z rękoma zaplecionymi na piersi. Cerę miał bledszą niż zwykle, oczy zmęczone, a na twarzy jednodniowy zarost. Domyśliłam się, że jestem u niego w domu.

– Dzień dobry – powiedziałam.

– Dzień dobry – odpowiedziała starsza pani.

Gabriel podszedł do mnie, usiadł na skraju łóżka i dotknął ręką mojego czoła. Serce zabiło mi jak szalone.

– Jak się czujesz? – spytał przyciszonym głosem.

– Dobrze, dziękuję.

– Jesteś bardzo ciepła. – Przeniósł zaniepokojony wzrok na kobietę stojącą w drzwiach. – Semeno, możesz?

Staruszka podeszła bliżej. Jej łagodną twarz zdobiły kurze łapki w kącikach oczu. Miała na sobie luźną tunikę z motywem polnych kwiatów.

– Jestem Semena. – Wyciągnęła dłoń w moją stronę.

– Larysa. – Podałam jej rękę, a ona nakryła ją swoją i przymknęła powieki.

– Semena jest moją przyszywaną babką, wybitną zielarką – wyjaśnił Gabriel.

Kobieta szturchnęła go biodrem.

– Już mnie tak nie wychwalaj. – Popatrzyła na mnie dobrotliwym spojrzeniem jasnozielonych oczu. – Myślę, że lekką ciepłotę ciała spowodował przyśpieszony puls. – Puściła do mnie oko, po czym odłożyła na kołdrę moją rękę i zwróciła się do Gabriela: – Idę szykować obiad, zawołam was, jak będzie gotowy.

– Dziękuję. – Gabriel odprowadził ją wzrokiem do drzwi.

Dopiero gdy wyszła, dotarł do mnie sens wypowiedzianych przez nią słów.

– Szykować obiad? – Usiadłam na łóżku. – Która jest godzina?

– Odkąd usnęłaś, minęło ponad dwadzieścia godzin – odpowiedział.

– Ile?! Boże, moi rodzice pewnie umierają ze zmartwienia! Muszę do nich zadzwonić. – Odkryłam szybko kołdrę i spostrzegłam, że jestem w samej bieliźnie. Nim się zorientowałam, Gabriel lustrował już moje ciało. Nakryłam się kołdrą.

– Cóż… – Odchrząknął i spojrzał na mnie, unosząc zawadiacko kącik ust. – Liczyłem na to, że kiedyś zobaczę twoje piękne ciało, lecz nie sądziłem, że pójdzie

mi z tym tak łatwo.

Jego zuchwałość okazała się na swój sposób pociągająca. Poczułam w żołądku lekki skurcz.

– Muszę się skontaktować z rodzicami – powiedziałam. – Pewnie szuka mnie już policja i straż.

Gabriel ujął moją dłoń.

– Twoi rodzice wiedzą, że jesteś u mnie cała i zdrowa. Zadzwoniłem do nich, jak tylko cię znalazłem. Chcieli przyjechać i zabrać cię do szpitala, ale Semena ich od tego odwiodła. Po rozmowie z twoją mamą wspólnie uznały, że lepiej będzie, jak zostaniesz w naszym domu.

– Moja mama wybrała zielarkę zamiast lekarza? – dodałam z niedowierzaniem.

– Semena nie jest zwykłą zielarką. Do tej pory zdobyła już trochę medycznych tytułów. Najbardziej jednak wierzy w skuteczność ziołolecznictwa. Napisała wiele podręczników i prac, z których wiedzę czerpią wybitni specjaliści. Ortopedzi, dermatolodzy, gastrolodzy, a nawet psycholodzy. Myślę, że Semena zdradziła twojej mamie kilka tytułów swoich książek i stąd to zaufanie.

– Ciekawe. Ile twoja babka ma lat, skoro osiągnęła już tak wiele? Nie wygląda na aż tak, no wiesz…

– Wiekową? – dokończył za mnie.

Skinęłam głową.

– O tym też chciałbym z tobą porozmawiać.

– Też?

– Widzisz… – zaczął powoli, jakby ważył słowa. – Do tej pory nie mogłem zdradzić ci wiele na swój temat. Można powiedzieć, że byłem związany swego rodzaju przyrzeczeniem.

– To znaczy?

Gabriel ściągnął brwi, wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Pewnie mi nie uwierzysz albo weźmiesz mnie za szaleńca – przyznał i przeczesał dłonią włosy. – Nie chcę cię dłużej zwodzić. Po naszym rozstaniu zrozumiałem, że miałaś rację. Od początku nie byłem z tobą szczery. Odpowiem na każde twoje pytanie. Szczerze, bez ogródek. Koniec z tajemnicami i niedopowiedzeniami.

Zmrużyłam oczy.

– Skąd ta nagła zmiana? – Przechyliłam z zaciekawieniem głowę.

– Uważam, że może łączyć nas coś wyjątkowego, nie chcę stracić możliwości, by się o tym przekonać. Pytanie tylko, czy dasz mi jeszcze jedną szansę?

Gabriel patrzył na mnie wyczekująco błyszczącymi oczami. Gdyby dwa miesiące temu ktoś powiedział mi, że zauroczy mnie chłopak, o którym prawie nic nie wiem, z którym całowałam się tylko raz, uznałabym, że zwariował. Tymczasem siedziałam naprzeciwko mężczyzny, o którym myślałam przez ostatnie tygodnie dzień i noc, na którego widok miałam ochotę przenosić góry, z którym chciałam spędzić każdą chwilę. I choć uczucie zauroczenia nie było mi obce, nigdy nie czułam go tak intensywnie, tak prawdziwie.

– Myślę, że możemy jeszcze raz spróbować – odpowiedziałam.

– Hm… – Gabriel zamruczał gardłowo, wpatrując się w moje usta. – To doskonale.

Pochylił się i pocałował mnie. Jego wargi były miękkie, wilgotne i gorące. Przywarły do mnie jak magnes. Zanurzyłam palce w jego włosach i uniosłam się, przez co miękka pościel opadła na podłogę, odsłaniając moje ciało. Gabriel spojrzał na mnie tak pożądliwie, że zabrakło mi tchu. Żaden mężczyzna tak na mnie nie patrzył, ale żaden też mnie takiej nie widział. Wodził wzrokiem po moim ciele – udach, brzuchu i piersiach. W końcu pochwycił moje spojrzenie.

– Pragnę cię. – Przyciągnął mnie do siebie i pocałował jeszcze raz. Mocno, żarliwie i długo.

Poczułam przypływ namiętności i rozchyliłam usta. Złączyliśmy się w miłosnym splocie pocałunków. Krew tętniła mi w skroniach niczym lawa. Gabriel przywarł mocniej i zaczął ocierać się o moje piersi. Wrażliwe brodawki nabrzmiały z podniecenia. Zapragnęłam poczuć intensywniej jego bliskość. Włożyłam ręce pod koszulę Gabriela i zacisnęłam palce na jego plecach. Nagie ciało napięło się pod moim dotykiem, wyczułam pod palcami mięśnie i tlący się dotąd płomień pożądania rozpalił mnie do głębi.

– Tak – szepnęłam, wpijając palce w silne ramiona.

Gabriel zsunął dłoń na biodro i objął je palcami. Jego dotyk był stanowczy i żarliwy, ale nie nachalny. Zniewolona jego czarem rozluźniłam nogi i poczułam, jak przesuwa dłoń na wnętrze ud. Był podniecony, niemal czułam, jak buzuje w nim gorąca krew. Zsunęłam palce na jego ramiona i zaczęłam schodzić w dół. Pieściłam jego tors, brzuch, posuwając się coraz niżej. Pragnęłam, by połączyła nas intymna

bliskość. Rozchyliłam drżące nogi, zachęcając go tym do zrobienia kolejnego kroku.

I wtedy ktoś zapukał do drzwi. Oboje się wzdrygnęliśmy.

– Przepraszam – dobiegł przytłumiony głos Semeny. – Pomyślałam, że zgłodnieliście. Obiad będzie dopiero za godzinę, więc może zrobię wam kanapki?

Gabriel zacisnął powieki, po czym spojrzał na mnie. Widziałam, że stara się uspokoić oddech, zdusić rozbudzone pragnienie.

– Jesteś głodna? – zapytał przyciszonym głosem.

– Trochę, ale wytrzymam do obiadu. – Byłam zbyt podniecona, by cokolwiek przełknąć.

– Dziękuję, Semeno – odpowiedział. – Skończymy rozmawiać i przyjdziemy.

Tupot stóp oddalił się powolnie, po czym zupełnie ucichł.

Gabriel oparł głowę o moje czoło i zajrzał mi w oczy.

– Przepraszam – powiedział i musnął wargami moje usta.

W moim ciele wciąż tliło się pożądanie. Leżeliśmy teraz razem, nasze ciała były blisko siebie, rozpalone i gotowe na więcej. Zastanowiło mnie, jak daleko byśmy się posunęli, gdyby Semena nam nie przerwała. Zbyt daleko – podpowiedział mi głos rozsądku. Usiadłam na łóżku. Nie tak to powinno wyglądać. Dopiero się rozstaliśmy i to z ważnych powodów. I chociaż Gabriel uratował mi życie, to wciąż nie rozwiązywało głównego problemu.

– Może teraz jest dobry moment, żebyśmy powrócili do naszej rozmowy? – zapytałam.

Popatrzył mi w oczy, po czym usiadł obok mnie i oparł się o ramę łóżka.

– Od czego mam zacząć?

– Może od początku? – Wsparłam głowę na ręce.

Zrobił kwaśną minę.

– Obawiam się, że początek może być dla ciebie dużym szokiem – przyznał całkiem serio.

Zaskoczył mnie. Ufałam jednak, że niezależnie od tego, co mi powie, nie zmieni to sposobu, w jaki go postrzegam.

– Zacznij, proszę.

Gabriel odchrząknął, odetchnął głęboko i zaczął mówić:

– Urodziłem się w Piemoncie, w pagórkowatej krainie Monferrato… – zawahał się i zamilkł.

Nastała cisza.

– O co chodzi? – spytałam, unosząc się na łokciu.

Gabriel wstał z łóżka i przeczesał dłonią włosy.

– Nie chcę cię wystraszyć.

– Nie wystraszysz – odparłam.

– Laryso, nie mógłbym żyć z myślą, że jak dureń wyznałem ci prawdę i w ten sposób wszystko zniszczyłem.

– Gabrielu, nie wierzę, że prawda może okazać się aż tak straszna. – Wstałam i podeszłam do niego. – Wiem, kim jesteś dla mnie, teraz, tutaj. – Ujęłam jego twarz w dłonie i pocałowałam go czule w usta.

Gabriel westchnął.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Dobrze, miejmy to wreszcie z głowy.

Usiadłam na łóżku, a Gabriel w fotelu obok. Jego mięśnie twarzy stężały, w spojrzeniu pojawiła się zaduma.

– Tylko pamiętaj, że niezależnie od tego, co usłyszysz, w życiu bywają rzeczy, które trudno jest racjonalnie wytłumaczyć, a co za tym idzie w nie uwierzyć.

– Dobrze…

Oczy mu pociemniały, a wzrok powędrował gdzieś daleko w przeszłość. Biły od niego chłód i tajemniczość. Zupełnie jak wtedy, gdy spotkałam go pierwszy raz. Wydawał się ważyć w myślach, co powinien powiedzieć, od czego zacząć, aż w końcu przemówił:

– Urodziłem się w Piemoncie, w pagórkowatej krainie Monferrato, trzynastego września tysiąc sześćset trzydziestego czwartego roku.

– Kiedy? – Sądziłam, że się przesłyszałam.

– Trzynastego września tysiąc sześćset trzydziestego czwartego roku – odparł poważnym tonem.

Uśmiechnęłam się szeroko, szczerze rozbawiona jego żartem. Gabriel patrzył na mnie posągowym wzrokiem tak, że aż ciarki przeszły mnie po plecach.

I nagle to do mnie dotarło.

– Ty wcale nie żartujesz. – Poczułam na ciele dreszcz, objęłam się ramionami.

– Nie, nie żartuję.

Zaczęłam drżeć na całym ciele, musiałam się ubrać. Wstałam i zaczęłam wkładać na siebie swoje rzeczy, które wisiały na ramie łóżka. Widocznie Semena i Gabriel musieli je wcześniej wyprać i wysuszyć, bo były zupełnie czyste.

– Co robisz? – zapytał.

– Zimno mi – odparłam i gdy już miałam na sobie całe ubranie, zdałam sobie sprawę z tego, że wcale nie zrobiło mi się cieplej. – Jezu. – Usiadałam na łóżku i wplotłam dłonie we włosy. – To się nie dzieje naprawdę. – Nie mogłam w to uwierzyć. Wydawało mi się, że spotkałam chłopaka marzeń, tymczasem…

– Coś mi się zdaje, że Jezusowa mądrość: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli" nie sprawdzi się akurat w naszym przypadku – oznajmił z kwaśną miną i wstał. – Rozumiem, że na tym zakończymy. Pewnie uważasz mnie za wariata.

Odchrząknęłam.

– Jestem trochę zaskoczona.

– Trochę? – odparł, unosząc brew.

– No, może nieco bardziej niż trochę – przyznałam. – To prawda, że zdarza ci się czasami mówić staromodnie. Ale to po prostu niemożliwe. Nie możesz mieć przecież…

Odjęłam w pamięci liczby, lecz Gabriel ubiegł mnie z odpowiedzią:

– Trzystu siedemdziesięciu sześciu lat? – Na jego ustach nieoczekiwanie pojawił się ironiczny uśmiech.

Potaknęłam głową.

– Bo tyle nie mam. – Wzruszył ramionami. – Jestem starszy od ciebie tylko o trzy lata.

– Masz dwadzieścia jeden lat?

– O, widzę, że nie kłamałaś. Naprawdę jesteś dobra z matmy – odparł z zadziornym uśmieszkiem.

– Poczekaj. Urodziłeś się w tysiąc sześćset trzydziestym czwartym roku, ale masz dwadzieścia jeden lat? Jak to jest w ogóle możliwe?

– Powiedzmy, że możliwe, gdy ma się wiele żyć.

– Boże… – jęknęłam. Byłam już niemal pewna, że Gabriel nie jest osobą o zdrowych zmysłach. Zachciało mi się płakać. – Przepraszam cię, ale nie wierzę. Muszę pomyśleć, wrócić do domu… – Głos mi zadrżał. Włożyłam pośpiesznie buty. – Mogę zadzwonić od ciebie do rodziców? – zapytałam. Z dworu Leśniewskiego do

mojego domu był kawałek drogi, nie mogłam w tym stanie wracać na pieszo.

– Odwiozę cię, ale wpierw pozwól, że coś ci pokażę – powiedział zgaszonym głosem.

Serce mi się ścisnęło. Nie wiedziałam, kim jest Gabriel, czy przypadkiem nie jest chory psychicznie, co jeszcze wymyśli, czy nie zrobi mi krzywdy. Ale po co miałby mnie krzywdzić, skoro dopiero co uratował mi życie?

– Laryso? – Popatrzył mi w oczy.

W jego spojrzeniu nie dostrzegałam szaleństwa, wręcz przeciwnie, jego wyraz oczu wydawał mi się teraz nad wyraz stateczny, dojrzały i mądry.

Przygryzłam wargę. Nie miałam serca mu odmówić.

– Dobrze, dziesięć minut. Później dzwonię do domu.

– Jak sobie życzysz.

Gabriel

Musiałem znaleźć sposób, by udowodnić jej, że mówię prawdę. Nie miałem wielkiego pola do popisu. Wszystkie umiejętności, które posiadałem jako Guardianin, pojawiały się wówczas, gdy odpowiadałem na wezwanie. Co więcej, do tego etapu wyznawania prawdy jeszcze nawet nie doszedłem. Wpierw powinienem oswoić Larysę z myślą, że żyję już na tym świecie od trzech wieków, następnie, że jestem Wysłannikiem, a później może przyjdzie pora na Laristę.

Weszliśmy do mojego gabinetu. Za oknem było pochmurno, włączyłem więc światło. Kryształowy żyrandol rozświetlił regały z książkami, wiekową komodę i obrazy na ścianie za biurkiem. Były to portrety malowane na płótnie, obłożone w ramy. Na tych starszych byłem sam, na współczesnych zaś z Semeną, Tatianą i Adzirem.

– Usiądziesz? – Wskazałem na fotel.

– Postoję. – Larysa objęła się ramionami, ogarnęła wzrokiem pomieszczenie i zatrzymała się na moim portrecie z osiemnastego wieku. Jej źrenice się rozszerzyły.

– Wykonał go artysta Louis de Silver, olejem na płótnie – zacząłem. – Miałem wówczas czterdzieści sześć lat. Ubrany byłem w strój do jazdy konnej – jedwabny kaftan w typie *justaucorps*, habit z aksamitu oraz spodnie do kolan w typie *culotte*. Pod spodem miałem białą koszulę, której kolor przypominał raczej kremowy, na nogach skórzane buty za kolano, w dłoni trzymałem bat. – Podszedłem do niej i wskazałem na kolejny obraz. Tym razem bardziej współczesny, rodzinny, z końca lat czterdziestych dwudziestego wieku.

– Ten jest autorstwa żydowskiego malarza Samuela Ismacha, którego ocaliłem z obozu zagłady w Treblince. Mam tutaj dwadzieścia osiem lat. Tatianę i Semenę pewnie poznajesz. Mężczyzna między nimi to mój najlepszy przyjaciel Adzir, mąż Tatiany. Obraz zamówiliśmy z okazji zakończenia drugiej wojny światowej, która była najmroczniejszym okresem naszej posługi. Wisi tutaj, by przypominać mi o tym, do jak wielkiego okrucieństwa potrafi posunąć się człowiek. Z tamtych czasów mam również sporo zdjęć. – Podszedłem do regału stojącego najbliżej okna i zacząłem

ściągać albumy, jeden po drugim. Było ich osiemnaście, na grzebiecie każdego wypisałem lata, z których pochodziły umieszczone w środku fotografie. Wszystkie albumy ułożyłem na jasnoniebieskim dywanie przywiezionym przeze mnie z wojny armeńsko-tureckiej.

– Pierwsze fotografie zostały wykonane metodą dagerotypu. – Przykucnąłem i otworzyłem album z lat 1839–1910. Larysa podeszła do mnie i usiadła na klęczkach. – Żeby znaleźć się na tym zdjęciu, musiałem stać w niezmiennej pozie, w ostrym świetle przez dwadzieścia minut. Tyle średnio trwał okres naświetlania. – Wskazałem na fotografię gabinetową w odcieniach brązu, na której miałem dwadzieścia trzy lata, podkręconego wąsa, koszulę w drobną kratkę z postawionym kołnierzykiem, przy którym nosiłem muchę w kropki, i kamizelkę. – To zdjęcie zrobiono tą samą techniką, lecz w plenerze. W tle widać budowę pierwszego, nowoczesnego wieżowca, dziesięciopiętrowego Home Insurance Building w Chicago. – Przerzuciłem kartę. – To już fotografia z tysiąc osiemset osiemdziesiątego siódmego roku, siedzę tu na murku w Paryżu, za mną widać wybudowaną jedną trzecią wieży Eiffla. – Przesunąłem album w stronę Larysy. – Proszę. Chcesz zobaczyć resztę?

Larysa bez słowa zaczęła przekładać pożółkłe stronnice albumu, w którym pod każdym zdjęciem widniał jego krótki opis. Twarz miała spiętą, wzrok niedowierzający, momentami oszołomiony. Gdy zatrzymywała się dłużej przy którejś z fotografii, wyjaśniałem jej z jakiego okresu pochodzi i z jakimi wspomnieniami się wiąże. Była tak pochłonięta przeglądaniem zdjęć, że nie zauważyła wchodzącej go gabinetu Semeny. Gdy babcia ujrzała Larysę otoczoną albumami, wycofała się po cichu i zamknęła za sobą drzwi.

Wraz z kolejnymi przeglądanymi albumami rysy twarzy dziewczyny stopniowo łagodniały, spojrzenie stawało się zaciekawione, śledziło uważnie notatki pod fotografiami. Jej usta wciąż jednak milczały. W końcu, gdy zamknęła ósmy z kolei album, popatrzyła mi w oczy i zapytała:

– Jak wiele masz żyć za sobą?

– Obecne jest piątym – odparłem.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Pokręciła głową i wsunęła dłonie we włosy.

– Uprzedzałem, że może ci być trudno to zrozumieć – przypomniałem.

– Bo to jest niewyobrażalne. Czyli co, rodzisz się i umierasz?

– Po raz pierwszy umarłem dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc sześćset

pięćdziesiątego piątego roku podczas walk zbrojnych. Kilka minut po swojej śmieci odrodziłem się, nadal byłem dwudziestojednolatkiem, lecz nieco odmienionym. Od tego wydarzenia zawsze po przeżyciu siedemdziesięciu jeden lat umierałem, po czym odradzałem się jako dwudziestojednolatek. W kwietniu tego roku odrodziłem się po raz piąty i jeśli nic nie ulegnie zmianie, umrę znów za siedemdziesiąt jeden lat, czyli dwudziestego czwartego kwietnia dwa tysiące osiemdziesiątego pierwszego roku.

– Nie jest ci trudno żyć, gdy znasz dokładną datę swojej śmierci?

– Jest ciężko, ale nie z tego powodu. Zawsze wiedziałem, że odrodzę się znów w młodym ciele. Znacznie gorzej szło mi rozpoczynanie kolejnego życia samemu, bez Laristy.

Larysa

Choć byłam ciekawa, kim jest Larista, nie odezwałam się ani słowem. Wszystkie te zdjęcia, obrazy na ścianach, miejsca, w których był, odległe czasy, w których żył. To nie mieściło się w głowie. A jednak musiało być prawdą. Niewyobrażalną, nieprawdopodobną prawdą. Słuchałam każdego słowa Gabriela, a moje niedowierzanie ustępowało ciekawości. Mimo to wciąż miałam wrażenie, jakby przytaczał historie postaci z książki, a nie z własnych żyć.

– Moje życie jest nierozerwalnie związane z legendą mojego rodu, którą opowiedziałem ci podczas naszego spaceru – ciągnął dalej. – Ostatnie słowa Sussany, które wypłynęły z jej ust w chwili śmierci, stały się niejako wyrocznią. *Larista* to swego rodzaju akronim od *L'amore a prima vista*, czyli miłości od pierwszego wejrzenia. Od śmierci Sussany tym mianem określano życiową wybrankę każdego Dunkelda. – Popatrzył mi w oczy, po czym ujął moją dłoń. – Laryso, wiem, że to dużo informacji naraz, ale prosiłaś o szczerość. – Przyłożył moją dłoń do ust i złożył na niej pocałunek. – Śmiem przypuszczać, że to właśnie ty jesteś moją Laristą.

Serce mi stanęło. Takiej prawdy zupełnie się nie spodziewałam.

– Chyba nie do końca rozumiem – powiedziałam ze ściśniętym gardłem.

Na jego twarzy pojawił się łagodny uśmiech, od którego poczułam ucisk w żołądku.

– Sądzę, że jesteś moją miłością od pierwszego wejrzenia – odparł.

– Ja? Ale przecież… – Mój puls zaczął galopować. – Skąd to wiesz? Przecież tak słabo się znamy.

– Już gdy zobaczyłem cię pierwszy raz, coś poczułem. Wówczas sądziłem, że rzuciłaś na mnie urok. Wiedziałem natomiast, że muszę cię lepiej poznać. Nasze spotkania, rozmowy, pocałunek, wszystko to sprawiło, że zacząłem darzyć się coraz silniejszym uczuciem. Gdy wyjechałem do Azji, tęskniłem za tobą jak wariat. Nie mogłem się doczekać, kiedy cię znowu zobaczę. Z dnia na dzień coraz mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że jesteś mi przeznaczona. Gdy tylko uspokoiła się sytuacja w Korei, wróciłem i pojechałem do twojego domu, lecz nikogo nie zastałem.

Zadzwoniłem do ciebie na komórkę, ale nie odbierałaś. Było po dziewiątej rano, więc domyśliłem się, że masz lekcje. Pragnąłem cię jednak zobaczyć, pojechałem więc do szkoły. Gdy tylko wszedłem do holu, ujrzała mnie Sempolska, kilka minut potem zjawiła się zapłakana Tatiana. Jej mąż, a mój przyjaciel Adzir, o którym ci już wspomniałem, był z nami w Azji, lecz pod koniec walk stacjonował w innym rejonie i od naszego wyjazdu nie dawał znaku życia. Moja siostra odchodziła od zmysłów. Zacząłem ją pocieszać, lecz nim się zorientowałem, Sempolska zwołała apel. Po naszej sprzeczce nie mogłem dojść do siebie. Myślałem o tym, by połamać Danielowi wszystkie kości. Byłem przekonany, że cię wreszcie skusił. Że cię uwiódł, że omotał swoimi diabelskimi sztuczkami i nastawił przeciwko mnie. Nie mogłem usiedzieć w miejscu. Postanowiłem wyzwać go na pojedynek.

– Masz na myśli ustawkę?

– Nie. Mam na myśli pojedynek na miecze.

– Na miecze? – Otworzyłam szeroko oczy.

– To jedyny sposób, bym mógł powstrzymać Daniela. Tego samego wieczora odczułem silny lęk, miałem przeczucie, że coś ci zagraża. Pojechałem do ciebie, by przekonać się, że jesteś bezpieczna, by sprawdzić, czy Daniel nie czyha pod twoim domem. Otworzył mi twój ojciec, wyglądał na wyraźnie zaniepokojonego. Było późno, a ty nie zostawiłaś wiadomości, że wychodzisz, nie miał z tobą żadnego kontaktu. Przerażająca wizja, że grozi ci niebezpieczeństwo, odbierała mi dech w piersi. Razem z twoim ojcem objechaliśmy wszystkie uliczki Starego Lasu, lecz nie znaleźliśmy żadnych śladów. Wtedy wasz sąsiad zasugerował, że mogłaś pojechać do puszczy. Czułem, że tam właśnie powinienem cię szukać. Gdy pędziłem jak szalony przez las i wołałem twoje imię, ono wracało do mnie echem, rozbrzmiewając *Larista*. Wtedy w pełni uwierzyłem, że nią jesteś. Po ponad trzystu latach znalazłem swoją Laristę.

Patrzyłam na Gabriela szeroko otwartymi oczyma. Starałam się zebrać wszystko w jedną całość. Faktów było dużo, stanowczo zbyt dużo jak na jeden raz. A mimo to wciąż miałam mnóstwo pytań, wątpliwości. Zaczęłam odtwarzać w pamięci nasze pierwsze spotkanie i machinalnie wykrzywiłam twarz, co najwyraźniej nie uszło uwadze Gabriela, bo powiedział:

– Co? Zabrzmiałem jak błędny rycerz ze średniowiecza?

– Po prostu przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie. Nie wyglądałeś wtedy jak ktoś zakochany we mnie od pierwszego wejrzenia, jeśli wiesz, co mam na

myśli.

Gabriel się uśmiechnął.

– Faktycznie byłem nieco opryskliwy.

– Nieco?

– Zgoda. Zachowałem się wtedy jak parszywiec, ale wziąłem cię za Tentatorkę.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie, że Daniel użył kiedyś tego słowa.

– To znaczy? – dopytałam.

– Za swojego naturalnego wroga – odparł. – Nie powinnaś była mnie wtedy widzieć. Wykonywałem guardiańską misję, powinienem być niewidzialny dla ludzi. Tylko Tentatorzy mają zdolność dostrzegania Guardianów podczas posługi.

– Zwolnij – przystopowałam go, bo coraz mniej z tego wszystkiego rozumiałam. – Guardianie i Tentatorzy? Słyszałam już wcześniej te słowa z ust Daniela, ale nic mi nie mówią.

– Wybacz. – Gabriel przesunął dłonią po karku. – Myślę, że najlepiej będzie, jak wpierw wyjaśnię ci, kim jestem. A w zasadzie, kim się stałem w wieku dwudziestu jeden lat.

Przymknął na chwilę powieki, jakby przywoływał odległe wspomnienia i zaczął opowiadać:

– Wspólnie z moją młodszą siostrą Agnese byliśmy wychowywani w duchu opiekuńczości i miłości w wierze waldyzmu. Moja matka oprócz wykonywania codziennych prac zajmowała się malowaniem. Potrafiła z wielką ekspresją przenieść na płótno urokliwe krajobrazy Monferrato. Dzięki niej dorastałem w atmosferze spokoju i wrażliwości. Mój ojciec z kolei kontynuował tradycje klanu, wychowywał mnie tak, jakbym miał zostać następcą tronu. Uczyłem się od niego fechtunku, jazdy konnej oraz tego, czym jest honor i odwaga. Pomimo wszechobecnych w tamtych czasach biedy, brudu i wojen potrafiłem znaleźć piękno ukryte w codziennym życiu. Ukojenie dawały mi niekończące się spacery po bezdrożach naszej krainy. Łagodne wapienne wzgórza Monferrato, będące schronieniem dla dzikiej zwierzyny, potrafiły oczarować każdego, kto zapuścił się w ich rejony.

W wieku dwudziestu jeden lat podjąłem decyzję, że opuszczę rodzinne strony, by tak jak moi potomkowie, szukać swojej Laristy i założyć z nią rodzinę. Coś mi jednak przeszkodziło. Kościół rzymskokatolicki świętował wówczas powodzenie krucjat we Francji. Duchowni rośli w siłę, zyskując porozumienie z monarchami francuskimi. W tysiąc sześćset pięćdziesiątym piątym roku ruszyła krucjata przeciw

waldensom, jakiej jeszcze ludzkość nie widziała. Pozostałem w górach Piemontu, by chronić rodzinę i mieszkańców wioski. W Wielkanoc, dwudziestego czwartego kwietnia tysiąc sześćset pięćdziesiątego piątego roku, księżna Sabaudii, siostra króla Francji Ludwika trzynastego, z ponad czterotysięczną armią zaatakowała piemonckich waldensów. Była to rzeź niewinnych ludzi zapisana na kartach historii jako Wielkanoc piemoncka. Wtedy bestialsko odebrano mi tych, których znałem i kochałem.

Gabriel zamilkł i zapatrzył się w obraz, na którym malował się zachwycający, górski krajobraz. Nie musiałam go pytać, by domyśleć się, że jest to dzieło jego matki. Poruszył mnie ogrom bólu, jaki dostrzegłam w oczach Gabriela. Ujęłam jego dłoń i splotłam ze swoimi palcami. Spojrzał na mnie z wdzięcznością, odetchnął i zaczął opowiadać dalej:

– Walczyliśmy z wrogiem do ostatku sił. W końcu na polu bitwy została nas niewielka garstka. Zaciekle broniliśmy dojścia do jaskini, w której ukryliśmy dzieci. Moi współtowarzysze ginęli jeden po drugim, aż zostałem zupełnie sam. Spojrzałem za siebie i ujrzałem swoją siostrę zasłaniającą wejście do groty. Lada chwila armia żołnierzy miała zmieść nas z powierzchni ziemi. Dotarcie wojska do jaskini oznaczało jedno – całkowitą zagładę piemonckich waldensów. Zrobiłbym wszystko, by ich ochronić. Postanowiłem dalej realizować nasz plan. Dla mnie była to misja samobójcza, stanowiła jednak ostatnią deskę ratunku dla pozostałych. Zacząłem się cofać, nie wzbudzając żadnego podejrzenia wśród żołnierzy. Gdy stanąłem wreszcie w odpowiednim miejscu, obróciłem się do Agnese i powiedziałem: „Za moment będziesz miała szansę. Zabierz dzieci w wysokie partie gór”. Agnes złożyła ręce do pacierza i zaczęła głośno się modlić, na co wycedziłem przez zęby: „Szkoda sił na modły. Bóg o nas zapomniał”. Agnese spojrzała na mnie zszokowana, nie mogła uwierzyć, że z moich ust wypłynęły tak bluźniercze słowa. A ja po prostu straciłem wiarę, nie było już dla mnie nadziei.

Tabun żołnierzy przywarł do mnie niczym pszczoły do plastra miodu. Zaczęli okładać mnie pięściami, szablami, tarczami. Słaniałem się na nogach, lecz czekałem cierpliwie, aż wszyscy wojownicy, podsyceni widokiem krwi, dołączą do swych towarzyszy broni. Cały oddział, który przed chwilą nacierał na jaskinię, dawał upust swojej agresji. Garbując moją skórę, krzyczeli: „Giń, psie waldeński!”.

Upadłem na ziemię. Żołnierze chłostali moje plecy, kopali w brzuch, okładali tarczami głowę. Lada moment miałem stracić przytomność. Nadszedł odpowiedni

moment, by pociągnąć za dźwignię. Szarpnąłem mocno za wystający konar i zapadnia opadła. Runąłem w przepaść, a wraz ze mną chmara żołnierzy. Cztery miesiące mozolnej pracy, rozkopywania i kucia w skale, przyniosły oczekiwany rezultat. Kolce przebiły nasze ciała na wylot. Przeraźliwe wrzaski mężczyzn rozeszły się echem po piemonckich wzgórzach. Poczułem rozrywający ból, lecz tylko przez moment, po nim nadeszło ciepło napływające falą do całego ciała. Otoczyła mnie całkowita ciemność, zapadła głucha cisza. Stałem się bezwładny, jakby istniała już tylko moja dusza, jakby zdjęto ze mnie skórę niczym niewygodny płaszcz. I wtedy oślepiło mnie jaskrawe światło. Jego blask był tak silny, że mimo zamkniętych powiek wżerał się w oczy. Ćmiący ból zaświdrował mi w skroniach, usłyszałem głos, który zdawał się mówić wewnątrz mojej głowy: „Bóg nie zapomniał o tobie! Umarłeś, ale twoje życie będzie trwać nadal. Wykazałeś się męstwem. Oddałeś życie za bliźnich. Dlatego od tej chwili jesteś Jego Wysłannikiem. Naznaczono cię na Guardiana. Będziesz chronił przed śmiercią tych, których pora jeszcze nie nadeszła. Musisz być czujny i gotowy na każde wezwanie, by odeprzeć kuszącą siłę Wysłanników Iblisa, którzy zwą się Tentatorami. Będziesz Kontrem jednego z nich, jego imię to Marou. Nie możesz dopuścić, by zawładnął umysłem żywej istoty i ją skusił. Musisz dopilnować, by zabrano tylko tych, którym jest to przeznaczone. Twoje ciało i dusza pozostaną nadal ludzkie. Będziesz żył wiele razy, a w każdym życiu narodzisz się w obecnej postaci, by przeżyć siedemdziesiąt jeden lat. W każdym życiu umrzesz w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat, by się odrodzić. Nikt ani nic nie może cię zabić, prócz miecza Tentatora. Askalon to twoja jedyna broń. Możesz zrezygnować z guardiańskiego życia i odejść na zawsze. Aby to zrobić, musisz sam sobie odebrać życie, a wtedy trafisz do czeluści piekielnych. By pełnić swoją posługę, otrzymasz trzy dary, z których możesz, lecz nie musisz, korzystać podczas wezwania: moc wpływania na umysły, bycie niewidzialnym i umiejętność przenoszenia się w przestrzeni. Niezależnie od miejsca i sytuacji będziesz rozumiał mowę mieszkańców całej ziemi i mówił wszystkimi językami świata. Ludzie nie wiedzą o istnieniu Wysłanników i tak ma pozostać. Prawdę możesz wyznać tylko jednej osobie, tej, z którą połączysz się na zawsze i staniecie się jednym ciałem. Jeśli złamiesz tę zasadę, wasze dusze posiądzie Iblis, a wtedy trafią one do Guerry. Tak stanowi prawo. Za chwilę zostaniesz uzdrowiony i się odrodzisz. W twojej głowie pojawi się wiele pytań, a w duszy zagości niepokój. Pamiętaj, wszystko ma swój czas i swoją porę. Odpowiedzi i ukojenie spłyną na ciebie w odpowiednim momencie”.

Wtedy jaskrawy blask zmienił się w dzienne światło. Spojrzałem po sobie – leżałem cały i zdrów obok zapadni. Właz jaskini został odsunięty, w pobliżu nie było żywej duszy. Odczułem ulgę. Dzieci i moja siostra uciekły. Wstałem i rozprostowałem kości. Czułem się silny, wypoczęty, skoncentrowany. Zupełnie jakbym narodził się na nowo. Ruszyłem biegiem w stronę ścieżki, która miała mnie doprowadzić do górskiej kryjówki, gdzie zamierzała skryć się Agnes z dziećmi. I wtedy do głowy napłynął ten sam głos. Głos mojego Posłańca. Głos, który od tamtej pory słyszę za każdym razem, gdy dostaję wezwanie: „Podążaj do Turcji nad Cieśninę Dardanelską". Nie minęły dwie sekundy, jak w mojej wyobraźni pojawił się morski krajobraz. Po chwili poczułem na twarzy powiew ciepłego powietrza i piasek pod stopami. Stałem nad brzegiem Morza Egejskiego, a w oddali na wzburzonych falach flota turecka szykowała się do kolejnej, krwawej bitwy z Wenecją.

– Dobry Boże – jęknęłam z niedowierzaniem.

– Dobry? – podsumował cierpko Gabriel. – Wtedy stanowczo tak o Nim nie myślałem. Gdy tylko rozpoczęły się walki na Morzu Egejskim, zrozumiałem, na czym będzie polegać moja rola. Uświadomiłem sobie, że wniesie ona w moje życie ogrom cierpienia. Od samego początku miałem ochraniać ludzi przed kuszącym wpływem Tentatora o imieniu Marou. Do dzisiaj jestem jego Kontrem i pojawiam się zawsze tam, gdzie on, a on tam, gdzie ja. Jego rola polega na męczeniu w głowach umierającym ludziom tak, żeby skrócili swoje cierpienie, popełniając samobójstwo, albo uratowali swoje życie kosztem drugiego człowieka. Wówczas taka dusza trafia do Jaskini Kupca Dusz, a stamtąd w szeregi Wysłanników Iblisa lub do Guerry.

Moje pierwsze misje okazywały się szczególnie trudne, gdyż Marou miał ponad dwustuletnie doświadczenie. Bitwa taka jak w Turcji była okresem żniw dla Tentatorów, a wszystko przez to, że toczyła się na morzu. Topiący się człowiek nie potrzebuje dużej zachęty, by pociągnąć na dno drugiego, chcąc uratować swoje życie. Nigdy nie zapomnę złowieszczej twarzy Marou podpływającego do młodego żołnierza, który ostatkiem sił chwytał łapczywie powietrze. Tentator kusił: „Ratuj się! Zobacz! Twój kolega unosi się jak tratwa na powierzchni. Chwyć go za ramię i ocal swoje życie!". Podpływając z drugiej strony, odparłem na to: „Zabijesz go w ten sposób. Obaj pójdziecie na dno". Ale Marou ripostował: „Nie słuchaj tych bzdur. Wesprzyj się na ramieniu przyjaciela i odpocznij chwilę. Spójrz, jak on świetnie sobie radzi".

Błysk nadziei pojawił się w oczach młodego żołnierza. Wtedy wiedziałem, że

przegrałem walkę o życie chłopaka. Nie pomagały błagania, nawet groźby wiecznego potępienia. Spragniony życia młodzieniec wyciągnął ręce i oparł się całym ciężarem na barkach towarzysza broni. Chwilę po tym obaj poszli na dno. Wtedy Marou uśmiechnął się nikczemnie i podpłynął do kolejnej osoby.

Głos Gabriela ścisnął mi serce.

– Czyli wtedy, gdy Nowakowa miała zawał, chroniłeś ją przed Marou?

– Gdy zjawiłem się na miejscu, Marou już zdążył ją skusić. Bóg często wykorzystuje śmierć tylko po to, by uświadomić człowiekowi głębszy sens istnienia, by docenił to, co posiada. Daje mu bodziec, by wreszcie spojrzał na wszystko z innej perspektywy i poczuł, że w każdej chwili może to stracić. Gdy słyszę głos swojego Posłańca, nie wiem do końca, czy jest to wezwanie na Bożą naukę, czy na śmierć. Niezależnie od tego muszę sumiennie spełnić swe zadanie. Tak było w przypadku Nowakowej. Wystarczyło kilka słów Marou i staruszka się poddała. Przestała walczyć o swoje życie. Gdybyś tylko mogła usłyszeć, jak ta kanalia ją kusiła: „Poddaj się. Nie masz dla kogo żyć. Twoi synowie cię nienawidzą”. Nowakowa była głucha na moje słowa. Nie wierzyła w ani jedną myśl, która dałaby jej nadzieję. Poddała się. Śmierć kobiety wydała mi się czymś pewnym. Wtedy zjawiłaś się ty. Do tej pory nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, czy przeżyła dzięki tobie, czy był to kolejny pstryczek w nos od Boga. Dalsze zdarzenia tego wieczoru już znasz.

Przywołałam w pamięci obrazy z tamtego dnia. Ujrzałam leżącą na ziemi Nowakową, obojętną twarz Gabriela, który wsiada do auta, by odjechać.

– Dlaczego jej nie ratowałeś? Dlaczego nie wezwałeś chociaż pogotowia? – spytałam.

– Nie mogłem. Guardianie i Tentatorzy nie mogą fizycznie wpływać na ludzkie życie w obliczu śmierci. Jesteśmy w takich chwilach niewidzialni. Możemy jedynie podsuwać człowiekowi myśli, dzięki którym sam podejmie decyzję.

– Czyli nie możecie nas wtedy dotykać?

– Nie możemy.

– Ale w moim śnie uratowałeś moją mamę. Przytrzymałeś ją, by nie rzuciła się do grobu.

– Śniłaś o mnie? – Gabriel uniósł brwi.

– Tak. W noc poprzedzającą nasze pierwsze spotkanie.

Popatrzył na mnie zaintrygowany.

– Ja również śniłem o tobie, tej samej nocy. Miałem chronić twoją matkę podczas

twojego pogrzebu.

Przypomniałam sobie widok siebie leżącej w trumnie i przeszedł mnie dreszcz. Objęłam się ramionami.

– Wybacz. To nie był przyjemny sen. Ani dla ciebie, ani dla mnie – przyznał Gabriel. – Podejrzewam jednak, że mógł mieć pozytywne znaczenie. Dla mnie stanowił pierwszy sygnał tego, że cię spotkam. Już wtedy powinienem był podejrzewać, że jesteś Laristą. Widziałaś mnie, rozmawiałaś ze mną, a to się nigdy nie zdarza Guardianom podczas posługi.

– Nigdy?

– Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby ludzie wiedzieli o naszym istnieniu? Nasze życie i tak jest już wystarczająco skomplikowane.

– Rozumiem, że Tentatorzy mają podobne zdolności. Kim dokładnie są? Dlaczego Daniel cię tak nienawidzi? Co zrobił twojej siostrze Agnese?

Gabriel się wzdrygnął.

– Skąd wiesz, że coś jej zrobił?

– Sam mi powiedział, w puszczy.

– Pomiot szatana! Musiał być pewien, że cię skusi. – Gabriel wstał z podłogi i podszedł do okna. – Oni też nie mogą nikomu wyjawiać, kim są. Chyba że mają pewność, że ten ktoś ich nie zdradzi.

Odwrócił się do mnie i popatrzył na mnie zaniepokojony.

– A pewna jest tylko śmierć – oznajmiłam. – On był pewien, że tam umrę, prawda? – Poczułam ucisk w gardle.

Gabriel zaklął.

– Powinienem był to przewidzieć, ochronić cię. Już wcześniej ten bies na ciebie czyhał.

– Przecież mnie znalazłeś. Tylko dzięki tobie żyję.

Gabriel zmarszczył czoło.

– Nie powinienem był w ogóle do tego dopuścić. – Zaczął chodzić po pokoju z zajadłą miną. – Miałem nadzieję, że po ostatnim spotkaniu zaniecha swoich czynów, ale widzę, że nie ma na to szans. Wszystko dokładnie zaplanował. Ale jak cię tam zwabił? Co ci obiecał?

– Nic. Wykorzystał nadarzającą się okazję i posłużył się Galą. Odnalazł ją kilka dni przede mną i czekał na dogodny moment. Gdy szukałam jej w puszczy, wypuścił

ją na wolność blisko torfowiska. Nieświadoma zagrożenia pobiegłam za nią i trafiłam na grzęzawisko. Cudem się z niego wydostałam. I gdy już wracałam do drogi, wpadłam do rowu. Znalazłam się w pułapce. Z godziny na godzinę czułam się coraz gorzej, było mi przeraźliwie zimno, traciłam siły. Zaczęłam słyszeć głosy, tak jakby własne myśli. Najpierw jeden zachęcał, bym się poddała, ale po chwili przemówił drugi. Namawiał mnie, bym zaufała swoim zmysłom, bym walczyła o życie. Tak też zrobiłam, a wtedy wyczułam zapach siarkowodoru i ujrzałam Daniela.

Gabriel popatrzył ma mnie zdziwiony.

– To niewiarygodne. Ludzie zazwyczaj nie czują fetoru Tentatorów, tylko ulegają kuszącej woni cedru.

– Też jej uległam, gdy go poznałam. Dopiero kiedy mnie pocałował, wyczułam fetor.

Przez twarz Gabriela przemknął cień. Zmarszczył czoło.

– Całowałaś się z Danielem?

– Raczej Daniel wepchnął mi siłą swój obleśny jęzor do gardła.

Gabriel nic nie odparł. Zaczął chodzić po gabinecie jak lew w klatce. Szczęki miał zaciśnięte. Wyglądał, jakby zamierzał wbić pięść w ścianę.

– Zrobił to wbrew mojej woli, w porę udało mi się oswobodzić – dodałam. – Do tej pory mdli mnie, jak sobie to przypomnę. Ten smród, myślałam, że się uduszę. Skąd on się bierze?

– Dusza i ciało Tentatorów są tak zepsute, że gniją od środka – odpowiedział. – Oni nauczyli się jednak to skutecznie ukrywać. Maskują się jak kameleony. Muszą dbać o swoją urodę i swój zapach, ponieważ dzięki nim kuszą płeć przeciwną. Aby zniwelować smród siarkowodoru, korzystają z nadzwyczajnych właściwości cedru. Wycinają miliony drzew, by tworzyć z nich olejki i perfumy. Nie bez powodu wybrali właśnie cedr, który od zawsze uchodził za boskie drzewo i symbol siły. Tentatorzy wykorzystują jego właściwości, by ich zapach kojarzył się z czymś dobrym i mocnym. Ale na szczęście na ciebie nie podziałał aż tak skutecznie. – Gabriel usiadł w fotelu. – Evan, kontr Daniela, którego słyszałaś tam w puszczy, najwyraźniej się tego domyślił. To doświadczony Guardianin – przyznał z szacunkiem.

Gabriel się zamyślił. Pochylił się w fotelu, oparł łokcie o kolana i wsunął palce we włosy.

– Daniel wszystko sobie zaplanował. Zupełnie jak wtedy z Agnes. Chce się na

mnie odegrać, wykorzystać ciebie do zemsty.

– Nie pozwolę mu na to – odparłam. – On mi nic nie zrobi.

Gabriel podniósł głowę i popatrzył mi w oczy.

– Wiem. Zamierzam tego osobiście dopilnować. Wyzwę go na pojedynek. – W jego głosie słychać było zdecydowane postanowienie.

– W dzisiejszych czasach wzywa się raczej policję.

– My rozwiązujemy takie sprawy inaczej – odrzekł. – Daniel jest sprytny, przebiegły, zepsuty. Pragnie mojego cierpienia i następującej po nim samobójczej śmierci. Dzięki temu zemści się za swoją krzywdę i sprawi, że moja dusza trafi na wieczność w czeluść piekielną.

– Dlaczego on tak mocno cię nienawidzi?

– Nie zawsze tak było. Daniel był kiedyś jednym z Guardianów i moim dobrym przyjacielem. – Gabriel rozparł się w fotelu. Jego wzrok powędrował w stronę okna, za którym zapadał zmierzch. – Po tym, jak narodziłem się na nowo, mieszkałem nadal w Monferrato, odbudowując zniszczenia po Wielkanocy piemonckiej – zaczął opowiadać. – Nikt, łącznie z moją siostrą, nie wiedział i nie miał prawa wiedzieć o tym, co zaszło w trakcie walk. Powiedziałem wszystkim, że zapadnia faktycznie opadła, ale ja w ostatniej chwili chwyciłem się wystającego korzenia i cudownie ocalałem. Dwa miesiące po bitwie, podczas jednej z misji, poznałem Daniela. Choć miał już jedno życie za sobą, to doskonale się rozumieliśmy. Jakby na to nie patrzeć, byliśmy w tym samym wieku. Daniel był równym kompanem, zabawnym, rozrywkowym. Nigdy się nie nudziliśmy, używaliśmy żywota na tyle, na ile pozwalało nam guardiańskie prawo. Posiadał cechę, przez którą pakował się w tarapaty. Pałał przesadną żądzą do kobiet. Miał niezliczoną liczbę kochanek. Żadna nie mogła mu się oprzeć, a on posiadł każdą, którą chciał.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Jako Guardianin? I Bogu to nie przeszkadzało? To chyba wbrew jakimś przykazaniom.

– Nie do końca. Bóg stworzył dziesięć przykazań, żeby ułatwić człowiekowi życie, a nie go gnębić. Cała reszta praw została wykreowana i spisana przez ludzi. Bóg przykazał: „Nie cudzołóż”. Nie wspominał nic o współżyciu przed ślubem lub kochaniu się tylko z jedną osobą w życiu. To ludzie dopowiedzieli sobie te prawdy. Nie cudzołóż, czyli nie zdradzaj swojej żony, partnerki, swojego męża, przyjaciela, człowieka, z którym jesteś. Nie krzywdź go, sypiając z innym. Pozostań wiernym,

skoro zdecydowaliście się być razem. W trakcie kilku żyć Guardianie mają kilku partnerów. Jesteśmy tylko ludźmi. Mamy swoje potrzeby i pragnienia. Jak każdy. Często z Danielem nie mogliśmy oprzeć się kobietom, szczególnie że były piękne i chętne.

Przypomniałam sobie, jak Daniel wspominał o byłej kochance Gabriela, i nieoczekiwanie poczułam ukłucie zazdrości.

– Tak piękne i chętne jak Hrabina de'Laruto? – Przechyliłam głowę.

Gabriel uniósł znacząco brew.

– Daniel sporo ci opowiedział. De'Laruto była faktycznie piękna, lecz nic dla mnie nie znaczyła. Podobnie jak większość kobiet z mojej przeszłości.

– A jednak z nimi spałeś.

– Spałem z nimi, żeby zaspokoić swoje potrzeby, by wypełnić samotne noce, by odciągnąć myśli od wszechobecnej śmierci, widoku krwi i cierpienia ludzkiego. Nie jestem z tego dumny i zrozumiem, jeśli z tego powodu mną wzgardzisz. Nie jestem ideałem, Laryso. Robiłem w życiu rzeczy, które mogą zgorszyć, zwłaszcza współczesną dziewczynę. Mimo roli, jaką powierzył mi Bóg, jestem tylko człowiekiem, popełniam błędy i płacę za nie taką samą cenę jak inni ludzie.

Popatrzyłam na niego. Trudno było mi znieść myśl, że jego usta muskały wargi innej; że jego dłonie pieściły uda innej; że jego ciało było w ciele innej. Nawet jeśli nic to dla niego nie znaczyło.

Przesunęłam dłońmi po twarzy. Czułam zmęczenie, przeciążenie liczbą informacji, dat, zdarzeń. Położyłam się na plecach na dywanie. Mieniące się światłem kryształki żyrandola migały do mnie zalotnie.

– Nie gardzę tobą – odparłam po dłuższej chwili. – Potrzebuję czasu, żeby to wszystko przetrawić, oswoić się z tym, kim jesteś, jaką rolę pełnisz, nawet z tym, że w każdym ze swoich czterech żyć miałeś jakąś kochankę.

– To było i już nie powróci – odparł. – Teraz najważniejsze jest dla mnie moje piąte życie. To obecne, w którym istniejemy ja i ty. Pytanie tylko, czy chcesz być jego częścią.

Uniosłam się na łokciach. Gabriel patrzył na mnie, oczekując mojej odpowiedzi, deklaracji, lecz ja nie potrafiłam mu jej dać. Miałam mętlik w głowie, swoistą gonitwę myśli. Powinnam wziąć gorącą kąpiel we własnej wannie, włączyć ulubioną muzykę i położyć się w swoim łóżku. Nabrać dystansu do Gabriela, jego przeszłości, do tego, że uważa mnie za swoją Laristę. Oswoić się z myślą, że gdzieś tam

w Starym Lesie czyha na mnie wysłannik Iblisa. To wszystko było tak oderwane od rzeczywistości, że miałam wrażenie, że śnię.

Spojrzałam w wyczekujące oczy Gabriela i poczułam przyśpieszone bicie serca. Niezaprzeczalnie był mężczyzną, który budził we mnie silne uczucia, był odważny, szarmancki, pociągający i męski. Jak książę z bajki. Szkoda tylko, że jak w każdej bajce wokół czaiło się zło.

– Późno już – powiedziałam. – Zadzwonię do rodziców i pojadę do domu. Powinnam się z tym wszystkim przespać, poukładać myśli.

– Oczywiście. Jak sobie życzysz. – Gabriel wstał z fotela.

Podniosłam się z podłogi. Nie potrafiłam wyczytać z jego twarzy uczuć. Podszedł do biurka i wyciągnął z szuflady nowiutki telefon komórkowy.

– Proszę. – Odblokował go i położył na blacie. – Będę czekał w kuchni, obiad już pewnie dawno gotowy.

Wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Wzięłam smartfon do ręki i wybrałam odpowiednią ikonkę, by wpisać numer mamy. Na ekranie wyświetliła się cała lista nieodebranych połączeń wychodzących. Było ich chyba z trzydzieści. Każde wykonano dzień wcześniej na ten sam numer telefonu. Mój numer.

Gabriel

Zrobiłem, co mogłem, by przedstawić jej w jasny sposób, kim jestem. Teraz ruch należał do niej. Mimo to przez kolejne dwa dni walczyłem ze sobą, by do niej nie zadzwonić. Miałem już pewność, że jest moją Laristą. Wyznałem jej prawdę, a ona była cała i zdrowa, co oznaczało, że według guardiańskiego prawa jest tą jedyną. Musiała darzyć mnie gorącym uczuciem, inaczej nie przeszlibyśmy tej próby. Może jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. To był trudny czas dla nas obojga.

Gdy szuka się kogoś od ponad trzystu pięćdziesięciu lat, człowiek zaczyna fiksować. Teraz, kiedy wreszcie ją znalazłem, nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Chciałem dzielić się z nią każdą chwilą; chciałem, by poznała moich bliskich, przemierzała ze mną konno nieprzetarte szalki; chciałem obejrzeć z nią wszystkie filmy, które wywarły na mnie wrażenie, polecić jej wszystkie książki, które czytałem po kilka razy; chciałem słuchać z nią muzyki, której brzmienie sprawia, że przechodzą człowieka dreszcze. Wszystko to musiało jednak poczekać. Larysa potrzebowała wytchnienia, czasu do namysłu. Szanowałem to.

Wielokrotne życie uczy szacunku do drugiego człowieka, pokory do decyzji Boga, dystansu do spraw przyziemnych, które ludziom wydają się sensem istnienia. Gdy zazna się już niemal wszystkiego, zdobędzie to, co jest na świecie do zdobycia, zwycięży ciężką pracą, krwią i potem to, o co można było zawalczyć, pragnie się zrzucić maskę, odpocząć, usiąść z kieliszkiem dobrego wina, które kolekcjonowało się przez lata, i poczuć bliskość ukochanej osoby. Tego uczucia nie zapewnią żadne dobra, żadne pieniądze, żadne wspomnienia.

Larysa

Przez dwa dni biłam się z myślami. W szkole byłam obecna zaledwie ciałem. Mój umysł pracował na wysokich obrotach, analizował, rozważał, kłócił się z sercem, które waliło jak szalone na każdy odgłos dzwonka, na każdy dźwięk przejeżdżającego sportowego auta. Katowałam w kółko playlistę ulubionych piosenek, jakbym liczyła na to, że słowa w nich zawarte podpowiedzą mi, czy to, co czuję, jest właściwe. Nic nie mogło mi jednak pomóc. Musiałam wsłuchać się w swój wewnętrzny głos, a on niezmiennie, odkąd opuściłam dom Gabriela, szeptał do mnie: „On jest twój, a ty jego. Nie zaprzepaść tego”.

Umyłam zęby i położyłam się do łóżka. Gdybym podkochiwała się w normalnym chłopaku, zapewne śledziłabym teraz jego posty na Facebooku i analizowała fotki na Instagramie. Ale to nie był zwykły chłopak, i to pod wieloma względami. Serce zabiło mi szybciej na wspomnienie naszego ostatniego zbliżenia. Jego silnych ramion, namiętnego spojrzenia.

Oswoiłam się z myślą, że Gabriel jest Guardianem, choć wciąż wydawało mi się to niebywałe. Ludzkość tak wiele osiągnęła, tak wiele wynalazła, a jednak wciąż wokół nas zachodzą zjawiska, których nie rozumiemy, o których istnieniu nawet nie mamy pojęcia. Przekręciłam się na bok, starając się usnąć. Sen, podobnie jak przez ostatnie noce, nie chciał do mnie przyjść. Czegoś mi brakowało, czułam dziwną pustkę w środku. Początkowo myślałam, że to głód, lecz po opróżnieniu całej miski sałatki, gdy mój żołądek był już pełen, uczucie nie zniknęło. Przygarnęłam starego, wielkiego miśka do siebie, zamknęłam oczy i starałam się usnąć. Mimowolne obrazy zaczęły przesuwać się pod moimi powiekami: opieram twarz na nagiej piersi Gabriela, a on przesuwa dłonią po moim ramieniu. Czuję jego korzenny zapach, słyszę bicie jego serca. Zaczynamy się całować…

Moje tętno przyśpieszyło. Poczułam przyjemne łaskotanie w dole brzucha. Otworzyłam oczy. Zegarek na komórce wskazywał piętnaście minut po północy. Po jaką cholerę ja się tak katuję? Spojrzałam ponownie na telefon i przygryzłam wnętrze policzka. Chyba nie jest za późno na SMS.

Larysa: *Może masz ochotę się jutro spotkać?*

Gabriel: *Z ogromną przyjemnością. Pozwolisz, że odwiozę cię rano do szkoły?*

Larysa: *Okej. Mam na dziesiątą, ale przyjedź o dziewiątej. Musimy porozmawiać.*

Gabriel: *Dobrze, zatem do zobaczenia jutro. Dobrej nocy.*

Larysa: *Dzięki. Tobie też.*

Rodzice wyszli do pracy o ósmej. Miałam więc godzinę czasu, żeby ogarnąć poranny bałagan, zrobić naleśniki na śniadanie i zaparzyć kawę. Dzwonek do drzwi rozbrzmiał punkt dziewiąta. Wytarłam dłonie o spodnie i otworzyłam. Mroźne, poranne powietrze wpadło do korytarza, a wraz z nim zapach Gabriela. Moje serce podskoczyło. Nie widziałam go zaledwie od trzech dni, a jego widok ucieszył mnie tak mocno, jakbyśmy spotkali się po latach.

– Hej, wejdź. Niezły dzisiaj ziąb.

– To prawda. Chociaż w porównaniu do mrozów z końca listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, to i tak jesień obchodzi się z nami łagodnie. – Wszedł za próg, zdjął rękawiczki, płaszcz i buty.

– Chodźmy do kuchni. Właśnie robiłam kawę. Pomyślałam, że pewnie lubisz tradycyjną. – Ruszyłam w głąb korytarza i minęłam schody. Gabriel podążył za mną, lecz po chwili zatrzymał się przy ścianie, na której wisiały moje rodzinne zdjęcia.

– Wspaniała pamiątka – oświadczył, przyglądając się fotografiom z mojego dzieciństwa. Na jednej z nich mama trzymała mnie na rękach, gdy byłam niemowlęciem. Na kolejnej w wieku czterech lat uczyłam się jeździć na rowerze, tata mnie asekurował. Na następnej zaś siedziałam na kolanach u babci, zasłuchana w bajkę o Kopciuszku, którą często czytała mi wieczorami.

– Zapewniam cię, że nasze fotki nie umywają się do twoich zbiorów. To są dopiero pamiątki – odparłam.

– Moje albumy stanowią bardziej dokumentację miejsc, zdarzeń i ludzi, których spotkałem. Nie mam za wiele prawdziwych pamiątek, które przypominałyby mi lata beztroski i rodziców. Co prawda z tamtych czasów ostało się kilka błyskotek rodowych i zachował się obraz matki. Najcenniejsze, co mi pozostało, to jednak fragmenty wspomnień, które już niemal całkowicie wyblakły – powiedział.

W jego głosie słychać było nostalgię.

– Przykro mi – przyznałam.

Spojrzał na mnie i lekko się uśmiechnął.

– Niepotrzebnie. To są bardzo dobre wspomnienia, a dzięki twoim fotografiom odżyły po raz kolejny. To je wzmocni i sprawi, że na dłużej pozostaną w mojej pamięci.

Weszliśmy do kuchni, w której unosił się zapach świeżo usmażonych naleśników i zaparzonej kawy. Z samego rana wyszukiwałam informacji, jak w tradycyjny sposób przygotować dobrą kawę. Domyślałam się, że Gabriel raczej nie pija rozpuszczalnej *latte* z mlekiem UHT. Zdecydowałam się więc przygotować kawę po turecku. Zaparzenie jej wymagało zdecydowanie więcej cierpliwości i umiejętności, niż mi się początkowo wydawało. Zmieloną kawę wsypałam do tygielka, który tata zakupił kilka lat temu, gdy byliśmy na wczasach w Turcji. Oczywiście jego zapał do porannego parzenia kawy szybko ostygł, a naczynko wylądowało na dnie szafki z przyborami kuchennymi, których używaliśmy od wielkiego dzwonu. Zmieliłam na drobno ziarna, starym młynkiem babci, po czym wsypałam kawę zmieszaną z cukrem do tygielka, zalałam zimną wodą i kilkakrotnie podgrzewałam, nie dopuszczając do wrzenia. Co wyglądało mniej więcej tak, że gdy napar zaczynał się gotować, zdejmowałam go z ognia, czekałam, aż przestygnie, i znowu go podgrzewałam. I tak trzy razy.

Ciepłe naleśniki posmarowałam dżemem z róży, kawę przelałam do filiżanki i dodałam odrobinę cynamonu.

– Smacznego. – Postawiłam obie porcje na stole, przy którym siedział Gabriel.

– To dla mnie? – zdziwił się. – Dziękuję. – Napił się kawy. – Wyborna.

Uśmiechnęłam się z zadowoleniem i również wzięłam łyk, po czym od razu wyplułam go z powrotem.

– Fuj! Jaka siekiera. Daj to, wyleję do zlewu. – Sięgnęłam po jego filiżankę.

Gabriel w ostatnim momencie zabrał ją ze stołu.

– Naprawdę jest smaczna. Kiedyś tylko taką się piło. Z przyjemnością dopiję do końca.

– Jak chcesz. Ja muszę sobie zrobić zwykłą lurę z mlekiem, tej nie przełknę.

Śniadanie upływało nam nad wyraz przyjemnie, prowadziliśmy luźną rozmowę, a to o kulinariach i zwyczajach różnych krajów, a to o podróżach. Byliśmy nieskrępowani, jakby wzajemne rozmowy podczas posiłków stanowiły dla nas codzienność.

– Lubię podróżować, ale póki co jestem zdana na rodziców. – Sprzątnęłam talerze ze stołu i włożyłam je do zmywarki. – To oni wybierają kierunki podróży, najczęściej

są to kraje, gdzie mogą pobyczyć się na plaży i popływać w basenie – przyznałam i odebrałam od Gabriela nasze filiżanki. – Jak będę starsza, mam nadzieję zwiedzić Australię i Stany Zjednoczone, zobaczyć najpiękniejsze wodospady świata, otoczone lasami i górami.

– Myślę, że spodobałby ci się Park Narodowy Yosemite – zasugerował i oparł się o blat obok mnie. – Jest to teren bogaty zarówno w wysokie zbocza, granitowe skały, jak i doliny, strumienie, rzeki i wodospady. Park otaczają dziewicze lasy gigantycznych sekwoi. – Zamyślił się przez chwilę. – Chciałbym kiedyś zabrać cię w to miejsce. Oczywiście jeśli miałabyś ochotę zobaczyć je ze mną – dodał i popatrzył na mnie tak, że zaparło mi dech w piersiach.

Staliśmy obok siebie, a ja czułam, że chciałabym z nim zrobić jeszcze setki innych rzeczy.

– Bardzo bym chciała je zobaczyć, zwłaszcza z tobą.

– Mam rozumieć, że istnieje szansa na nasze wspólne spotkania? – Przybliżył się tak, że dzieliły nas zaledwie centymetry.

Moje serce przyśpieszyło rytm.

– Dosyć spora szansa. Mogłabym rzec, że nawet ogromna.

Zajrzał mi w oczy.

– Mimo tego, czego się o mnie dowiedziałaś?

– Byłeś ze mną szczery, obdarzyłeś mnie zaufaniem, a to jest dla mnie bardzo ważne.

Stał teraz tak blisko mnie, że oddychaliśmy tym samym powietrzem.

– I nie przeszkadza ci to, kim jestem?

– Gdyby mi przeszkadzało, nie zasugerowałabym spotkania, nie przyszykowałabym dla ciebie śniadania…

– No właśnie, chyba powinienem ci za nie podziękować. Rozpływało się w ustach.

Przeniósł wzrok na moje wargi.

Miałam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

– Przyjmuję podziękowania – odparłam.

– Jeszcze nie zacząłem. – Gabriel uśmiechnął się, po czym nachylił się, wsunął dłoń w moje włosy i pocałował mnie tak, jak nigdy w życiu nikt mnie nie całował.

Byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie. Przez kolejne dni uśmiech nie schodził z mojej twarzy, nawet podczas snu, jak twierdziła mama.

Gabriel został uznany za mojego chłopaka. Co prawda w życiu nie spodziewałabym się, że będzie prosił o zgodę mojego ojca, i miałam ochotę go za to zamordować, ale zrobił to tak taktownie i zarazem szarmancko, że zabrakło mi słów. W szkole część dziewczyn obwołała mnie czarownicą. Bo niby jak zdobyłam względy takiego przystojniaka, jeśli nie dzięki czarom? Każda poranna podwózka zwieńczona pocałunkiem w usta skutkowała serią zawistnych dziewczęcych spojrzeń i chłopięcych wyrazów zachwytu nad sportową linią auta.

Paweł po męsku przyjął wiadomość o moim związku z Gabrielem, oswobodził mnie z zawiłej pętli swoich uczuć i ulokował je, jak się później okazało, w zakochanej w nim po uszy Edycie.

Grudniowe dni mijały szybko, stawały się coraz krótsze, a noce coraz dłuższe. Słuch o Danielu zaginął, zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Gabriel próbował go odszukać, lecz podobno nawet Evan, Kontr Daniela, nie wiedział nic o nim, nie dostawał żadnych wezwań.

Nadchodziła zima, a wraz z nią spokojne wieczory spędzane przy kominku w objęciach Gabriela, włoskie obiady z winem Monferrato prosto z piemonckich winnic, twórcze popołudnia, dzięki którym udało mi się stworzyć kilka dobrych akwarel, zabawne kolacje w towarzystwie rodziny Gabriela, podczas których poznawałam meandry życia Guaridanów.

Nasze sobotnie popołudnia z Zuzką wyglądały teraz zupełnie inaczej. Dzięki Gabrielowi i jego rodzinnie odkryłyśmy nowe, choć tak naprawdę dawne, możliwości spędzania wolnego czasu – z dala od centrum handlowego i pubów w Mokrych, Facebooka, Instagrama, Snapchata, Musical.ly, oglądania filmików na YouTubie czy seriali. Zamiast tego jeździliśmy do teatru na operę, do filharmonii na koncert symfoniczny, graliśmy w karty, gry planszowe, kalambury i w kości. Naprawdę świetnie się przy tym bawiliśmy. Szkoda tylko, że nie mogłam wyjawić Zuzce, skąd u rodziny Gabriela takie zamiłowanie do niepostępowych rozrywek. Zdradzenie przeze mnie tajemnicy mogło narazić nas obie na potępienie. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, jak bardzo zawiły i nieprzewidywalny potrafi być świat Guardianów.

Zaczęłam się o tym przekonywać pewnego wieczora, gdy Gabriel zaprosił do siebie na kolację gościa. Mój mężczyzna wyglądał bardzo elegancko i dojrzale

w czarnej koszuli, spodniach w kant i popielatej marynarce. Ja zdecydowałam się założyć turkusową spódniczkę i srebrną bluzkę, nie wiadomo, jak ważną mogła się okazać zaproszona osoba.

– Dlaczego nie możesz mi powiedzieć, na kogo czekamy? – Chwyciłam cukierek z ustawionej na stole wazy.

– Za chwilę sama się przekonasz. To niespodzianka. – Uśmiechnął się tajemniczo i założył ręce do tyłu. – I nie jedz cukierków, bo nie będzie ci smakować kolacja. – Zerknął na mnie rozbawionym wzrokiem.

– Paradoksalnie zabawne, gadasz jak stary dziad. – Wyszczerzyłam zęby jak kot dziwak i włożyłam cukierek do ust. Mleczna czekolada rozpuściła się przyjemnie w buzi.

– Być może, lecz wynika to ze zgromadzonych doświadczeń i mądrości, a nie z tego, że jestem starym dziadem. Nawet gdy moje ciało miało dziewięćdziesiąt lat, ja w środku, duchem, czułem się jak dwudziestolatek. Wiem, że większość Guardianów ma podobnie. Ba, nawet spora część śmiertelników w podeszłym wieku nie może uwierzyć w to, że jest już stara. Wciąż czują się młodo, ich serca ekscytują się podobnie jak w młodości, ich umysły są otwarte, lecz ciało niedomaga. Zakochałem się w osiemnastolatce, choć przeżyłem prawie trzysta osiemdziesiąt lat. Lata te nie świadczą o tym, że jestem starym piernikiem, zbereźnikiem, który chce uwieść niewinną nastolatkę. To lata, które dużo mnie nauczyły, pokazały, jak unikać zagrożenia i wykorzystywać szanse. Nie zabrały mi młodzieńczego hartu ducha, nie sprawiły, że stałem się innym człowiekiem. Fizycznie, hormonalnie, mam obecnie dwadzieścia jeden lat, więc to naturalne, że podkochuję się w dziewczynie w zbliżonym do mnie wieku. Empirycznie mam natomiast trzysta osiemdziesiąt, więc możliwe, że dam tej dziewczynie czasami dobrą radę w stylu: „Nie jedz deseru przed daniem głównym, bo nie będziesz miała na nie ochoty”. – Wyciągnął spod marynarki zegarek wiszący na łańcuszku, otworzył go i sprawdził godzinę. W tym samym momencie rozległo się kołatanie do drzwi. Gabriel dynamicznym krokiem wyszedł z salonu i zniknął w ciemnym korytarzu.

– Dzień dobry, panie Dunkeld. To dla mnie zaszczyt – doszedł mnie dziwnie znajomo brzmiący głos.

– Mów mi po imieniu – odparł Gabriel. – W tej sytuacji możemy zignorować guardiańskie konwenanse. Poza tym fizycznie jesteśmy obecnie w tym samym wieku.

– Dziękuję. Dużo o panu… to znaczy, o tobie słyszałem. Dla wielu z dopiero co odrodzonych jesteś wzorem.

– Doprawdy? Gdybyście tylko wiedzieli, jaki byłem niepokorny w waszym wieku.

– Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie. Czy to jakaś szczególna okazja? Nie bardzo wiedziałem, jak się ubrać.

– Widzisz, dowiedziałem się, że mamy wspólnych znajomych, więc postanowiłem o nich porozmawiać. Zapraszam za mną do salonu.

Rozległy się kroki. Oparłam się o stół, z niecierpliwością wyczekując przybyłego gościa.

– Laro. – Gabriel wszedł do salonu. – Wiem, że się znacie, niemniej jednak chciałem ci przedstawić niedawno zrodzonego Guardiana.

Zza jego pleców wyłoniła się szczupła, wysoka postać ubrana elegancko, w białą koszulę i ciemne spodnie. Początkowo zmylił mnie strój, lecz po chwili rozpoznałam chłopaka, który nigdy nie rozstawał się z czarnymi grungowymi ciuchami.

– Patryk? – Musiałam usiąść z wrażenia.

Patrzył na mnie równie zszokowany, jak ja na niego. W końcu założył włosy za ucho i spojrzał pytająco na Gabriela.

– Ale ona przecież nie jest jedną z nas. – Wyglądał na lekko przestraszonego, jakby zaraz miała nas pochłonąć czeluść piekielna.

Gabriel położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie obawiaj się. Larysa jest moją jedyną. Wszystko o nas wie i zobowiązała się dotrzymać tajemnicy – wyjaśnił, a ja poczułam miłe łechtanie w brzuchu.

Niebieskie oczy Patryka rozszerzyły się ze zdumienia. Widać było, że brakuje mu słów.

– Siadaj, przyjacielu. Powinniśmy coś wyjaśnić. – Gabriel zaprosił go do stołu. Rozpiął guzik marynarki i usiadł obok mnie.

– Nie mogę uwierzyć – przyznałam. – Gabrielu, skąd wiedziałeś…? Jak w ogóle na siebie trafiliście?

– Gdy opowiedziałaś mi o przyjaźni Zuzki i Patryka, skojarzyłem fakty. Wielu z nas zachowuje się skrycie i ucieka przed bliskimi, gdy staje się Guardianem. Popytałem tu i ówdzie i okazało się, że Patryk odrodził się trzy lata temu.

– To dlatego ciągle wyjeżdżałeś, aż na dobre opuściłeś Stary Las? – zapytałam

Patryka.

On jedynie potwierdził skinieniem głowy. Nigdy nie był specjalnie wylewny, a teraz na dodatek czuł się nieswojo.

– Semena zaraz powinna podać kolację – zwrócił się Gabriel w jego stronę. – Może do tego czasu napijesz się czegoś mocniejszego?

– Nie, dziękuję. Staram się unikać alkoholu – oznajmił. – Nigdy nie wiadomo, kiedy zostanę wezwany.

Gabriel wstał od stołu i podszedł do komody.

– Bardzo rozsądnie, lecz nie przesadzałbym zbytnio. Kieliszeczek nalewki nie zaszkodzi, a nawet może dodać odwagi w odpowiednim momencie. Ja z chęcią napiję się dereniówki. Semena robi wyborne nalewki. Może jednak się skusisz? – Otworzył karafkę i napełnił kieliszek. – To bardzo słaby alkohol, poza tym posiada właściwości lecznicze.

Skrępowany Patryk powiercił się na krześle.

– To może odrobinkę poproszę – powiedział.

Gabriel uśmiechnął się i napełnił kieliszki trunkiem.

– Laryso, co dla ciebie? – spytał tuż przy moim uchu, gdy podawał Patrykowi kieliszek.

Zapach jego wody kolońskiej przyjemnie pobudził moje zmysły.

– Sok z antonówek poproszę.

Gabriel otworzył zakorkowaną butelkę i nalał jabłkowy nektar do wysokiej szklanki.

– Proszę. – Podał mi napój o słomkowej barwie, po czym postawił karafkę na środku stołu i usiadł obok mnie. – Zdrowie kobiet – wzniósł toast.

Patryk przechylił kieliszek, opróżnił go do dna i wykrzywił usta.

– *À propos* płci pięknej… – Gabriel chwycił za karafkę i nalał ponownie. – Kiedy zamierzasz zaprosić Zuzannę na studniówkę?

Omal nie udławiłam się sokiem. Spojrzałam wymownie na Gabriela, lecz on uśmiechnął się i mrugnął do mnie. Twarz Patryka zrobiła się bordowa jak nalewka. Zaniemówił.

– Wypijmy za to – zaproponował Gabriel.

Patryk chwycił swój kieliszek i już bez oporów opróżnił go do dna, a wtedy Gabriel polał mu po raz kolejny.

– Czyli co z tym balem? – zapytał ponownie.

Patryk popatrzył na niego przeszklonym wzrokiem.

– Nie wiem.

– My z Larysą się wybieramy. – Gabriel uniósł napełniony kieliszek. – I na drugą nóżkę.

– Chyba na czwartą – spostrzegłam. Zdążyłam już zauważyć, że Gabriel za wszelką cenę próbuje upić Patryka, którego twarz przybrała kolor grzebienia indora, a oczy błyszczały jak szklane kulki.

Gabriel oparł się wygodnie o krzesło i założył ręce na piersi.

– To jak, przyjacielu, czemu jesteś taki oschły w stosunku do Zuzanny? Nie lubisz jej? – Uniósł brew.

– Lubię, nawet bardzo.

– W czym więc tkwi problem? – zapytał Gabriel.

Patryk założył włosy za ucho.

– Przecież jestem Guardianem – rzekł z rozgoryczeniem.

– A my nie mamy prawa kochać?

Patryk przeniósł wzrok na mnie i z powrotem na Gabriela.

– Mamy, tylko nie jestem pewien, czy Zuzka to ta jedyna.

– Tylko nieliczni Guardianie zyskują w tej kwestii pewność. Dlatego tak wiele jest guardiańskich związków, a tak mało mieszanych. – Gabriel ujął moją dłoń i złożył delikatny pocałunek na jej przegubie. Migoczące srebrem oczy sprawiły, że zrobiło mi się gorąco. – Wiem jedno – spojrzał z powrotem na Patryka – nie dowiesz się, czy to ona, jeśli będziesz jej unikał.

– A co, jeśli zacznie podejrzewać, że jestem inny? Nagłe wezwania wymagają wyjaśnień. Zuzka w końcu się domyśli.

– Musisz się pilnować. Gdy Zuzanna zacznie zadawać ci zbyt niewygodne pytania, a ty posuniesz się za daleko z odpowiedziami na nie, otrzymacie ostrzeżenie.

– Ostrzeżenie? – spytaliśmy *unisono*.

– Usłyszycie grzmot i ujrzycie błysk pioruna.

– Czyli wtedy, na spacerze, dostaliśmy ostrzeżenie? – spytałam.

Gabriel kiwnął głową.

– Skoro Larysa jest tą jedyną, to dlaczego dostaliście ostrzeżenie? Nie mogłeś wyjawić jej prawdy?

– Widzisz, przyjacielu. – Gabriel wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował je w kostkach. – Wówczas, tak jak ty teraz, nie byłem pewien, czy to ona. Dopiero przy bliższym poznaniu i w pewnych okolicznościach zrozumiałem, że jest tą jedyną. Miałem jednak nieco ułatwione zadanie. Mężczyznom z rodu Dunkeldów przeznaczona jest jedna kobieta, w której zakochują się od pierwszego wejrzenia. Mówimy o niej Larista. Pomimo tego, że byłem zbyt ślepy, by dostrzec, że Larysa jest moją wybranką, od początku czułem, że to ktoś wyjątkowy. Być może z tobą jest inaczej. Może twoje uczucia w stosunku do Zuzki muszą dojrzeć jak dobre wino. Niektórzy ludzie zakochują się w sobie dopiero przy bliższym poznaniu.

Patryk zamyślił się przez chwilę.

– Znam Zuzkę od ponad trzech lat – powiedział. – Byłem jeszcze zwykłym nastolatkiem, kiedy ją poznałem. Już na samym początku jej śpiew mnie zniewolił. Zwerbowałem ją do zespołu, poznałem, po kilku miesiącach wspólnego grania byłem w niej mocno zakochany. Postanowiłem, że wyznam jej, co czuję, w wigilię świąt Bożego Narodzenia. Tamtego popołudnia, jak co roku, poszliśmy z młodszym bratem pojeździć na łyżwach na pobliskim stawie. Gdy robiliśmy już ostatnie kółko, Filip oddalił się na środek zbiornika, w pobliże przerębla. Lód się pod nim załamał. Mój brat wpadł do wody. Rzuciłem mu się na ratunek, nie mogłem go wyciągnąć. Ślizgałem się na lodzie, który zaczął pękać pod moim ciężarem. Filip ledwo utrzymywał się na powierzchni. Machał rozpaczliwie rękoma, nie dając mi tym samym szansy na porządny uchwyt jego dłoni. W końcu zdecydowałem się na skok do wody. Tylko w taki sposób mogłem pomóc bratu. Miałem świadomość tego, że będzie mi później trudno wydostać się na powierzchnię. W tamtej chwili życie Filipa było dla mnie jednak najważniejsze. Chwyciłem go za nogi i podsadziłem ponad lód, a ten się wtedy załamał. Zanurzyliśmy się po głowy w lodowatej wodzie. Odniosłem wrażenie, jakby w ciało wkłuto mi tysiące igieł, ręce miałem zgrabiałe, oddech płytki i krótki, mimo to nie zamierzałem się poddać. Wynurzyłem się i wciągnąłem za sobą brata. Spróbowałem ponownie tą samą techniką wydostać go poza przerębel, lecz lód ciągle pękał i się załamywał. W końcu się udało. Po nieludzkim wysiłku wypchnąłem Filipa na suchą powierzchnię. Wygramolił się na lód, doczołgał nad brzeg stawu i padł zemdlony. Przyszła pora na mnie. Starałem się wydostać, lecz na próżno. Moje ciało było zmęczone, nie miałem się czego chwycić. Za każdym razem, gdy opierałem się ramionami o taflę, ta pękała i lód załamywał się pod moim ciężarem. Niepokojące myśli napływały mi do głowy, słyszałem kuszący głos, który nakazywał

mi się poddać, odpuścić, odpocząć. Ja walczyłem jednak do ostatnich sił. Po kilkudziesięciu minutach wola przetrwania nadal mnie nie opuszczała, tylko moje ciało było niczym porażone mrozem, moje ręce i nogi stały się bezwładne, serce spowolniło rytm, oddech stał się płytki. Poczułem niemoc, bezsilność. Zacząłem iść na dno. Otoczyły mnie glonowa toń, półmrok, wieczny chłód. Lecz ja nie czułem już zimna, nic nie czułem. Jakbym unosił się w stanie nieważkości. I wtedy oślepiło mnie mocne światło, a w głowie odezwał się przenikliwy głos: „Umarłeś, ale twoje życie będzie trwać nadal. Wykazałeś się ogromnym poświęceniem. Oddałeś życie za bliźniego. Od tej chwili będziesz Wysłannikiem Boga. Naznaczono cię na Guardiana”. Reszty słów Posłańca pewnie nie muszę powtarzać. Wszyscy na początku otrzymujemy tę samą instrukcję. Zupełnie jakbyśmy byli maszynami. – Uśmiechnął się kwaśno.

– Też mi to nie odpowiada, ale z niektórymi rzeczami musimy się niestety pogodzić – przyznał Gabriel.

Patryk zwiesił smutno głowę.

– Tak, zdążyłem już to zauważyć.

– Co nie oznacza, że musimy wyrzekać się swoich uczuć – dodał Gabriel. – Jesteśmy ludźmi. Mamy prawo przeżywać miłość, przyjaźń, wrogość. Nikt nie zabrania nam kochać i nienawidzić, radować się i smucić, ekscytować się i złościć. Musimy pamiętać tylko o tym, by zachować w tajemnicy naszą prawdziwą tożsamość.

– Nigdy nie patrzyłem na to w taki sposób. Może dlatego, że jestem zmęczony. Kiepsko znoszę ciągłe wezwania. Widok nieszczęścia i konających ludzi odbiera mi chęć do życia. Nie mogę odnaleźć sensu egzystencji. Co gorsza, czuję, że zaczynam nienawidzić siebie, Boga i ludzi. Jestem z tym wszystkim zupełnie sam.

Oczy Patryka się zaszkliły. I choć fizycznie był rówieśnikiem Gabriela, wyglądał teraz jak mały chłopiec. Samotny, nieporadny, któremu odebrano najlepsze lata młodzieńczej beztroski.

– Nie jesteś sam. Masz teraz nas – odpowiedziałam. – I wierzę w to, że pomimo tego, że Zuzka nie wie, kim jesteś, zawsze znajdziesz w niej oparcie. Czasami nie trzeba słów, by znaleźć ukojenie w ramionach drogiej ci osoby.

Popatrzył na mnie.

– Często bywało, że z Zuzką rozumieliśmy się bez słów, muzyka nam wystarczała, by oddać targające nami emocje. Poza tym ona nie zadaje

niewygodnych pytań, nie docieka, co mnie gnębi, po prostu jest. A ja… – Przeczesał włosy. – Ja coraz mocniej pragnę wyznać Zuzce prawdę. Nie mogę jednak jej narażać, to zbytnie ryzyko. Gdy tylko skończyłem szkołę, wmówiłem wszystkim, że dostałem się na studia, i wyjechałem. Zuzka swoim milczeniem ułatwiła mi tylko rozstanie. Nie sądziłem jednak, że będę za nią tak szalenie tęsknił. Wracam na weekendy, niby na próby zespołu, chociaż tak naprawdę przyjeżdżam dla niej. Każde nasze spotkanie stanowi dla mnie namiastkę normalnego życia, które utraciłem, stając się Wysłannikiem.

Patryk spuścił wzrok, bolesny wyraz jego twarzy sprawił, że ponownie dotarło do mnie, jak ciężki był los Guardiana. Miliony chłopców, mężczyzn, dziewczyn, kobiet nieoczekiwanie, w jednej chwili, traciły dotychczasowe życie i chociaż zyskiwały ciągłość istnienia, to cena, jaką za nią płaciły, była niewyobrażalnie wysoka.

– Przepraszam. – Patryk podniósł na nas oczy. – Tylko zepsułem wam kolację swoim narzekaniem, lepiej już pójdę. – Wstał zażenowany od stołu.

– Niczego nie zepsułeś. Usiądź i posłuchaj mnie uważnie – odparł Gabriel. – Wiem, przez co przeszedłeś. Sam miewałem ciężkie chwile na początku istnienia, zresztą jak każdy z Guardianów. Z tego, co widzę, darzysz Zuzkę głębokim uczuciem. Zgadza się?

Patryk potaknął.

– Znakomicie. Musisz więc wiedzieć, że prawdopodobieństwo, że ona odkryje, kim naprawdę jesteś, wydaje się znikome. No chyba że ona potrafi czytać w myślach, w co szczerze wątpię. Jak każda dziewczyna, będzie snuć domysły, szperać w Internecie, dociekać, pytać i zgadywać, kim naprawdę jesteś. – Spojrzał na mnie wymownie i się uśmiechnął. – Większość jej podejrzeń będzie szablonowa, w najlepszym wypadku weźmie cię za anioła śmierci lub elfa, a w najgorszym za demona, wampira albo wilkołaka. Jeśli natomiast nie wierzy w bajki, uzna, że coś odjęło ci rozum. Tak naprawdę, dopóki będziesz milczał na nasz temat, ona nie ma szans domyśleć się, kim jesteś. Jasne?

– Tak, mam jednak pewne obawy.

– To się ich pozbądź. Ludzie nie mają bladego pojęcia o tym, że istniejemy. Spróbuj nas wygooglować, a napotkasz albo brytyjski dziennik, albo program antywirusowy. Reasumując, uważam, że będziesz skończonym głupcem, jeśli nie spróbujesz się przekonać, czy ona jest tą jedyną.

Patryk popatrzył na mnie, jakby szukał potwierdzenia w moich oczach.

– Zgadzam się z Gabrielem – dodałam. – I myślę, że Zuzka bardzo się ucieszy, jak ją dzisiaj odwiedzisz.

– O tak, ta dama stanowczo już za długo na ciebie czekała – posumował Gabriel.

Parsknęłam śmiechem. Zuza i dama. Tylko Gabriel mógł użyć takiego porównania. Właśnie takimi tekstami zdradzał się najbardziej. Jego styl bycia znacząco odbiegał od tego współczesnego – albo szarmancko się ukłonił, albo przepuścił kogoś w drzwiach. Był dżentelmenem w każdym calu, co czyniło go jeszcze bardziej pociągającym.

Przeniosłam wzrok na Patryka, który właśnie wstawał od stołu.

– Czy będzie dużą niestosownością, jeśli podziękuję za kolację? – zapytał, przesuwając dłonią po karku z lekkim zakłopotaniem. – Chciałbym kogoś niezwłocznie odwiedzić.

– Myślę, że niestosowne będzie, jeśli będziesz z tym zwlekał.

Nie minęło pięć minut, a Patryk odjeżdżał już swoim starym fiatem punto spod domu Gabriela. Bardzo mu się śpieszyło.

Gdy tylko Gabriel wszedł z powrotem do salonu, zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Jesteś kochany – wyznałam, patrząc mu w oczy.

– Cieszę się, że sprawiłem ci przyjemność. – Cmoknął mnie w czubek nosa.

– Możesz mi tylko wyjaśnić, czemu Patryk tak usilnie próbował mówić ci na pan?

– Postępował zgodnie z guardiańską etykietą. – Usiedliśmy przy stole. – W naszym środowisku bardzo liczy się pochodzenie, doświadczenie i wiek. Część z Guardianów urodziła się w czasach monarchii królewskich, dlatego siłą rzeczy w żyłach niektórych z nas płynie wciąż błękitna krew. Im więcej mieliśmy żyć, tym budzimy większe poważanie.

– Ile żyć ma najstarszy z was?

– Najstarszy jest Izajasz. Odrodził się za czasów Chrystusa i myślę, że to dzięki temu ma wciąż siłę, by żyć po raz dwudziesty piąty.

– To strasznie długo.

– Nie musimy aż tak długo żyć. Bóg zwalnia nas z posługi po siódmym życiu. Wówczas każdy z nas może zdecydować, czy nadal chce być Guardianem, czy stać się śmiertelnym człowiekiem i umrzeć tak jak każdy.

– Czy już wiesz, jaka będzie twoja decyzja? – zapytałam.

– Wolę o tym nie myśleć. Póki co mam przed sobą wspaniały wieczór z tobą. – Puścił do mnie oko.

– Kolacja! – rozbrzmiało radosne wołanie Semeny, która weszła z półmiskiem do salonu. Postawiła jedzenie na stole i się rozejrzała. – A gdzie twój gość, Gabrielu? – spytała szczerze zaskoczona.

– Musiał czym prędzej odwiedzić swoją ukochaną.

Popatrzyłam na pyszności, które przygotowała babcia Gabriela. Na półmisku znajdowały się kurczak, pieczone ziemniaki i gotowane warzywa.

– Semeno, wszystko wygląda bardzo apetycznie. Dołączysz do nas?

– Dziękuję, kochanie, ale o tej porze nie jadam. Mimo dobrego zdrowia organizm w tym wieku rządzi się własnymi prawami. Poza tym zaraz wychodzimy z Tatianą i Adzirem na balet.

Pamiętałam, że babcia nieczęsto chorowała, lecz nigdy nie pytałam jej wprost, jakie prawa rządzą ciałem osoby w podeszłym wieku. Nagle uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, ile Semena przeżyła lat. Wiedziałam jedynie, że tak jak reszta domowników jest Guardianką.

– Smacznego, gołąbeczki – powiedziała i wyszła z pokoju.

Gabriel pochylił się nad półmiskiem.

– Taka babcia to prawdziwy skarb – przyznał. – Teraz ludzie już tak nie gotują. – Wziął do ręki szpikulec i wbił go w chrupiącą skórkę kurczaka.

– Ile Semena ma lat? – zapytałam.

– W styczniu skończy siedemdziesiąt – odparł, odkrawając udko od reszty kurczaka.

– A ile będzie żyła? – ciągnęłam.

– Sto dwanaście.

– Sto dwanaście? To więcej niż ty. Myślałam, że wszyscy Guardianie żyją nieco ponad dziewięćdziesiąt.

– Nie ma na to reguły. Semena i tak będzie zawsze żyła najkrócej z nas, ponieważ odrodziła się dopiero w wieku sześćdziesięciu dwóch lat. Można powiedzieć, że przez wszystkie swoje guardiańskie życia jest staruszką. Umiera w wieku stu dwunastu lat i rodzi się na nowo jako sześćdziesięciolatka.

Gabriel podsunął mi półmisek z pokrojonym kurczakiem.

– Jak to się stało, że została Guardianką? – Wbiłam widelec w soczyście

wyglądającą pierś kurczaka i strąciłam ją sobie na talerz.

– Spłonęła na stosie w szesnastym wieku.

Zamarłam z widelcem w ręku.

– Spłonęła na stosie? Przecież to barbarzyństwo.

– Nie w tamtych czasach. – Odstawił półmisek. – Semena była wybitną zielarką. Uzdrawiała ludzi swoimi mieszankami. Niestety potępiali ją lekarze, którzy tracili przez nią zyski. Dzięki Semenie w miasteczku było coraz mniej chorych, co oznaczało mniej profitów dla medyków. Akurat był to okres polowań na czarownice, wykorzystano to i zarzucono jej paktowanie z diabłem. Poddano ją serii prób, których – tak jak reszta oskarżonych kobiet – nie była w stanie przejść. Wpierw wrzucono ją z pomostu do jeziora. Gdyby poszła na dno, uznano by ją za niewinną. Lecz to był podstęp. W tamtych czasach kobiety nosiły wielowarstwowe suknie, które potrafiłyby unieść na powierzchni wody nawet wór kamieni. Druga próba polegała na ważeniu. Gdy waga wskazywała poniżej czterdziestu dziewięciu i pół kilo, zakładano, że kobieta jest tak lekka, że może latać na miotle, i uznawano ją za czarownicę.

– Tak na poważnie? – Nie mogłam wyjść ze zdziwienia.

– Niestety, takie było średniowiecze.

– Boże, Semena jest przecież taka drobna.

– I to dla sądu było ostatecznym dowodem. Zarówno Semena, jak i kobiety, które uzdrowiła, zostały uznane za czarownice. Jednak moja babka wzięła całą winę na siebie. Przyznała, że zaczarowała resztę kobiet, by te leczyły się z pomocą jej ziół. Wszystkie zostały puszczone wolno, prócz Semeny, która spłonęła na stosie.

– To straszne. Jakim prawem ją w ogóle oskarżono?

– Prawem kościelnej inkwizycji.

– Inkwizycji? Czyli stał za tym Kościół?

– Czemu cię to dziwi? Kościół to księża. Księża to ludzie.

– Tak, ale uważają się za posłańców Bożych.

– Laryso, czy naprawdę uważasz, że ludzie, którzy urządzili rzeź moich bliskich podczas krucjat krzyżowych i pozbawili życia setki tysięcy kobiet w trakcie polowania na czarownice, mogli działać w imieniu Boga? A to zaledwie czubek góry lodowej.

– Czyli uważasz, że księża, Kościół i religia to zło?

– Nie każdy ksiądz, nie każdy Kościół i nie każda religia. Duchowni niekiedy bardzo pomagają swoim wiernym, którzy potrzebują otuchy i nadziei. Uważam, że każdy człowiek poddawany jest ciągłym pokusom, a każdy ksiądz, jak na to nie patrzeć, jest człowiekiem. Lubi dobrze zjeść, otaczać się dobrami, dawać upust swoim popędom. Dla jednych kościół może być Domem Bożym, a dla innych budowlą obfitą w złota i obrazy. Dla jednych religia stanowi sens życia, a dla drugich jest spisem poglądów i tez, które wymyślili ludzie. Moim zdaniem jedyne miejsce, w którym można odnaleźć prawdziwego Boga, to my sami.

– Czy to znaczy, że nie uznajesz religii?

– Jako sensu życia? Nie.

– I nie chodzisz do kościoła?

– Nie, chociaż jeśli będziesz sobie tego życzyła, skorzystam z usług kościelnych w dniu naszego ślubu. Większość kobiet marzy o białej sukni z welonem, marszu Mendelssohna granym na organach…

Jego słowa ledwie do mnie docierały. Zagłuszało je walenie mojego serca.

– Poczekaj, o czym ty mówisz? – przerwałam mu w połowie zdania.

Gabriel spojrzał na mnie spod ciemnych rzęs.

– Wiem, że to dosyć wcześnie. Spotykamy się od niedawna i planowałem wyznać to w bardziej romantycznej chwili. – Wstał z krzesła i uklęknął przede mną na jednym kolanie.

Moje serce zaczęło łomotać, łomotać, łomotać!

– Laryso – zaczął niskim głosem, patrząc na mnie spod półprzymkniętych powiek. – Kocham cię. Kocham cię tak mocno, jak nigdy wcześniej nikogo nie kochałem. Jesteś moją Laristą, dziewczyną, dla której straciłem głowę. Będę ci wierny i oddany. Będę cię kochał i szanował do końca moich dni. Żaden człowiek i żaden papier nie musi mnie o tym zapewniać. Jednakże byłbym egoistą i skończonym głupcem, gdybym nie brał pod uwagę twoich uczuć i planów na przyszłość. – Wyjął z kieszeni srebrny pierścionek ze szmaragdowym kamieniem i ujął moją dłoń. – Byłbym również ogromnie rad, gdybyś przyjęła ten pierścionek jako symbol mojej miłości do ciebie. Mam też nadzieję, że w przyszłości uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną.

Patrzyłam oniemiała w jego oczy, serce dudniło mi jak szalone, dłonie zwilżył pot. Powiedzieć, że byłam zaskoczona, to mało. On mnie po prostu zastrzelił.

– Pierścionek jest piękny – zaczęłam – tylko że… – Podrapałam się po czole. –

Gabrielu, wiesz, że współczesne kobiety raczej nie biorą ślubu w wieku osiemnastu lat?

– Pobierzemy się, kiedy będziesz gotowa i gdzie będziesz chciała. Może to być nawet za trzydzieści lat u mnie za stajnią. – Uśmiechnął się.

– Zawsze podobały mi się śluby w plenerze. Słońce, świeżo skoszona trawa, stoliki przystrojone konwaliami. Ale jeszcze nie teraz. Chcę iść na studia, zwiedzić świat.

– Doskonale to rozumiem i szanuję. Ten pierścionek jest wyłącznie dowodem moich głębokich uczuć do ciebie. Pytanie tylko, czy je odwzajemniasz.

Powiodłam wzrokiem po jego twarzy. Już prawie nie pamiętałam, jak wyglądał Nieznajomy. Teraz to był Gabriel, mój Gabriel. Czułam, że łączy nas coś wyjątkowego, że to właśnie na niego czekałam, że jest moją pierwszą i prawdziwą miłością. Nie wyobrażałam sobie, by w moim życiu, na jego miejscu, był innych chłopak.

– Kocham cię – odpowiedziałam. – Z przyjemnością będę nosiła pierścionek od ciebie.

W jego oczach pojawił się błysk. Gabriel wsunął pierścionek na mój serdeczny palec i pocałował dłoń.

– Jest piękny – oświadczyłam, przyglądając się błyskotce, która wyglądała na antyk.

– Myślę, że wypada blado przy twoich szmaragdowych oczach – wyszeptał prosto w moje usta i mnie pocałował.

Dreszcz podniecenia przeszył moje ciało. Męski zapach gładko ogolonej twarzy pobudził moje zmysły. Poddałam się bezgranicznie gorącym ustom Gabriela, czekając na więcej.

Gabriel

Rozchyliłem jej wargi i musnąłem językiem ich wnętrze. Czułem narastającą w nas namiętność. Wsunąłem dłoń pod jej cienką bluzkę i przesunąłem po nagich plecach. Chciałem wodzić po jej całym ciele, czuć jej ciepło, słodki zapach. Rozpiąłem stanik i objąłem pierś. Była idealna – miękka, jędrna, mieściła się akurat w mojej dłoni. Przesunąłem kciukiem po nabrzmiałej brodawce, a wtedy Larysa wygięła się i jęknęła z rozkoszy. Zsunąłem usta na jej szyję, całując ją centymetr po centymetrze. W chwili, gdy Larysa zjechała dłonią niżej, a ja stałem się twardy i gotowy na więcej, wszystko wydawało się mało ważne. Krew zapulsowała mi w skroniach. Złapałem Larysę w tali i posadziłem na stole. Wzrok miała zamglony, usta rozchylone. Pragnąłem jej tak mocno, że nic nie mogło mnie powstrzymać. Całowałem jej szyję, piersi, a ona wiła się pod wpływem mojego języka. Podniecenie między nami narastało z każdym dotykiem, z każdą sekundą. Rozchyliłem jej nogi i wsunąłem dłoń pod spódnicę. Miała na sobie pończochy. Poczułem ogień w lędźwiach.

– Tak – szepnęła i rozszerzyła uda.

Odsunąłem bieliznę.

Była wilgotna, podniecona, równie mocno jak ja. Pragnąłem dać jej jak najwięcej rozkoszy. Rozwarła szerzej nogi. Wsunąłem w nią palec i niemal eksplodowałem. Była taka gorąca i ciasna. Zaskakująco ciasna. Jęknęła erotycznie, jakby zaraz miała dojść.

Zawahałem się. Czy to możliwe, że nigdy z nikim nie była?

Najwyraźniej wyczuła moje rozdarcie, bo otworzyła oczy.

Spojrzałem na nią, a ona na mnie. W jej oczach płonął ogień, dyszała podniecona.

– Nigdy nie miałam nikogo przed tobą – wyjawiła.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– O niczym bardziej nie marzę. – Zamknęła mi usta pocałunkiem i rozpięła moje spodnie. Jej dotyk podgrzał mi krew w żyłach. Przyciągnąłem ją bliżej do siebie i tym razem wsunąłem w nią dwa palce. Westchnęła rozkosznie. Dyszeliśmy oboje,

dając sobie coraz to większą przyjemność. Moje ciało wyrywało się jednak po więcej. Chciałem ją poczuć mocniej, znaleźć się wewnątrz niej.

Jednym ruchem przesunąłem naczynia po stole. Położyłem Larysę na plecach, ściągnąłem z niej bieliznę i zacząłem całować jej kobiecość. Wciągnęła głośno powietrze.

– O Boże… – jęknęła i zasłoniła twarz ramieniem.

To stanowiło dla mnie dowód na to, że nikt przede mną jej tam nie całował. Byłem pierwszy. To jeszcze mocniej mnie podnieciło.

I wtedy do moich uszu dobiegło stukanie o szybę. Nim zdążyłem się odwrócić, podmuch wiatru otworzył okno na oścież. Do pokoju wpadła ogromna, czarna ćma. Puls mi przyśpieszył. Zasłoniłem Larysę ciałem. Ćma zatrzepotała wielkimi skrzydłami wokół żyrandola, po czym wyleciała z powrotem na zewnątrz.

– Zostań tutaj, proszę. – Podszedłem dynamicznym krokiem do parapetu i wychyliłem się za okno. Wokół panował mrok. Wzmogło to moją czujność. Wiedziałem jednak, co przed chwilą się wydarzyło. To mógł być znak, lecz również przypadek. Tylko że ćmy w Polsce nie przeżywały zim i stanowczo nie charakteryzowały się tak monstrualnym rozmiarem. Zamknąłem okno i zasłoniłem je zasłonami. Krew ścięła mi się w żyłach na myśl o tym, że ten pomiot szatana nas obserwował.

– Co to było? – Larysa zsunęła się ze stołu i poprawiła ubranie.

– Ćma – odparłem.

Nie zamierzałem jej okłamywać, nie chciałem jej jednak straszyć.

Podeszła do mnie.

– A jednak jesteś cały spięty. O co chodzi? – Spojrzała mi w oczy. – Tylko żadnych tajemnic, proszę.

Zacisnąłem szczęki. Wiedziałem, że prędzej czy później będę jej musiał przybliżyć tę część mojej historii. Obiecałem być z nią szczery, choć obawiałem się, że prawda może ją napełnić niepokojem.

– To mógł być Daniel.

Popatrzyła na mnie pytająco.

– To długa…

– Tak, wiem, to długa historia – przerwała mi. – Ale nigdzie nam się nie śpieszy. – Podeszła do jednego z dwóch foteli obok stolika kawowego, które stały przy zegarze, i popatrzyła na mnie wyczekująco.

Nie miałem wyjścia. Wiedziałem, że już nie odpuści. Dołączyłem do niej, siadając na drugim fotelu. Wyciągnąłem przed siebie nogi i odpłynąłem w głąb wspomnień:

– Podczas mojego pierwszego guardiańskiego życia postanowiłem zaprosić nowo poznanego przyjaciela Daniela do rodzinnego domu w Monferrato – zacząłem. – Wtedy poznał moją siostrę. Gdy tylko na nią spojrzał, dostrzegłem charakterystyczny błysk w jego oczach. Znałem ten jego wzrok – zalotny, kusicielski, pełen pożądania. Widziałem go wcześniej nie raz. Domyśliłem się, że będzie chciał zdobyć Agnese. Prosiłem go jak przyjaciela, by akurat ją zostawił w spokoju. Mógł mieć każdą kobietę, której zapragnął, lecz on wybrał ją. Zapewniał mnie o swojej miłości, obiecywał związać się z nią na całe życie. Był tak przekonujący, że w końcu mu uwierzyłem. Sądziłem, że się zakochał. Moja siostra była wrażliwa, czuła, romantyczna. Straciła dla niego głowę. Daniel się jej oświadczył i tej samej nocy oddała mu siebie. Kilka dni po ich upojnej nocy nakryła go z pasterką w okolicznym gaju. Serce jej pękło, popadła w rozpacz. I wtedy stało się coś zadziwiającego, mimo tego, że nie byli małżeństwem, to zdradę Daniela uznano za grzech cudzołóstwa. Został ukarany. Bóg pozbawił go miana Guardiana i uwięził pod postacią czarnej jak heban, wielkiej ćmy. Dokładnie takiej, jaka przed chwilą wpadła do pokoju. – Popatrzyłem na Larysę. Była niezaprzeczalnie odważną dziewczyną, nie raz to udowodniła, teraz jednak w jej oczach dostrzegłem czający się lęk.

– I co było dalej? Jak został Tentatorem? – zapytała.

– Iblis go zwerbował i uczynił swoim Wysłannikiem. Nie minął tydzień, jak Daniel powrócił do Monferrato, by zemścić się na Agnese za utratę guardiańskiego życia. Postanowiłem nie czekać, aż ją skusi, i wyzwałem go na pojedynek. Tylko w taki sposób mogłem ocalić siostrę. Ponieważ zarówno dla mnie, jak i dla niego było to pierwsze stracie, zostali nam przydzieleni odgórnie sekundanci. Danielowi świadkował Marou, a mnie wyznaczono Adzira – wtedy spotkałem go pierwszy raz.

Równo o dwunastej rozpoczęliśmy pojedynek. Z początku nie szło mi najlepiej. Po raz pierwszy trzymałem w ręku miecz, który był tak straszliwie niewygodny i ciężki. Daniel zdawał się nie mieć tego problemu. Trzymał Askalon pewnie, jakby już kiedyś nim walczył. Podczas gdy ja oswajałem się z bronią, on miotał nią niczym wytrawny wojownik, wskutek czego już w pierwszych minutach walki zostałem poważnie ranny.

– Stąd u ciebie ta blizna na ręce? – przypominała.

– Tak. Na szczęście passa Daniela nie trwała długo. Im dłużej z nim walczyłem, tym zwinniej władałem mieczem. W końcu, mimo krwawiącej rany, powaliłem go na ziemię. Leżał, wpatrując się we mnie czarnymi oczami. Gdy już miałem wbić ostrze w jego pierś, zaczął mnie błagać o litość.

– Zamierzałeś go zabić? – zdziwiła się.

– Nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Gdybym faktycznie złamał przykazanie „Nie zabijaj”, spotkałby mnie taki sam los jak Daniela. Lecz nie bez przyczyny Guardianie i Tentatorzy walczą ze sobą mieczem, który został wykuty ze szczerego srebra, a którego rękojeść naznaczono pieczęcią Boga i Iblisa. Nazwa *Askalon* wywodzi się od judejskiego miasta, w którym odbył się pierwszy pojedynek między Guardianem a Tentatorem w dwudziestym wieku przed naszą erą. Ten, który zginie od jego ostrza, umiera jako Guardianin lub Tentator, lecz dostaje szansę na nowe śmiertelne życie jako zwykły człowiek. Przychodzi na świat gdzieś na kuli ziemskiej jako noworodek pozbawiony wspomnień. Jest jak *tabula rasa*. Zapomina, kim był, i zaczyna wszystko od nowa. Mogłem usunąć Daniela z naszego życia, a jednak tego nie uczyniłem, pozwoliłem, by zrobił ze mnie głupca. Zarzekał się, że wciąż kocha moją siostrę; że zdrada, której się dopuścił, była chwilową słabością; że został Tentatorem tylko po to, by przybrać znów ludzką postać; że wrócił do Monferrato, by naprawić zło, które uczynił, i błagać Agnese o wybaczenie. Nie dawałem mu wiary, lecz wtedy przyrzekł mi, że jeśli daruję mu życie, to odejdzie od Iblisa i zwróci się do Boga o łaskę, by stać się na powrót Jego Wysłannikiem. Wiedziałem, że moja siostra wciąż go kocha i wybaczy mu zdradę. Tak bardzo pragnąłem jej szczęścia, że pozwoliłem sobie zamydlić oczy. Darowałem mu życie i to był mój błąd. Jeszcze tego samego dnia Daniel umówił się z moją siostrą na wzgórzu. Gdybyś ją tylko widziała, wręcz promieniała ze szczęścia, kiedy wychodziła z domu. Lecz on nie szukał u niej przebaczenia. Spotkał się z nią, by ją zbeształ, poniżyć i sprawić, by odebrała sobie życie. Tamtego popołudnia po raz ostatni widziałem żywą Agnese, skoczyła w przepaść. – Zagojona dawno rana na nowo zaczęła boleć. Jednak inaczej niż kiedyś. Był to lekko wyczuwalny ból, któremu prócz smutku towarzyszyły przede wszystkim wyrzuty sumienia. Zacząłem mówić dalej, by odegnać od siebie przykre uczucia: – Znienawidziłem wtedy Boga i samego siebie. Odkąd zostałem Guardianem, otaczał mnie tylko bezsens istnienia i mrok. Nie mogłem zaakceptować tego, kim się stałem, nie chciałem patrzeć bezczynnie na ludzką śmierć, nie potrafiłem pogodzić się z tym, że będąc przy

umierających, nie mogę im pomóc. Wiedziałem, że gdybym tylko spróbował ingerować, pozostałby ze mnie jedynie pył i proch. Moje ciało odrodziłoby się w innym miejscu, w Guerrze, gdzie służyłbym Iblisowi. Byłem zagniewany, zbuntowany. Bóg, którego zostałem Wysłannikiem, zamiast mnie wspierać, zabrał ostatnią istotę na ziemi przypominającą mi, że wciąż jestem człowiekiem. Odebrał mi siostrę, która budziła we mnie żywe wspomnienia o ojcu, matce i beztroskim życiu. Po śmierci Agnese przekląłem Jego imię. Nie mogłem znieść, że On, Wszechmogący Pan, nie chce mi ulżyć w ludzkich cierpieniach. Byłem w sytuacji bez wyjścia, a Bóg, na domiar złego, słyszał wszystkie moje myśli. Doskonale wiedział, że pałam do Niego nienawiścią, że nie mogę dłużej znieść cierpienia, które mi zgotował, że przy nadarzającej się okazji zakończę swój marny żywot.

– Chciałeś się zabić? – spytała Larysa z niedowierzaniem.

– Nie ja pierwszy – odparłem. – Wielu z nas stara się wytrwać, lecz spora część młodych Guardian załamuje się i popełnia samobójstwo. Nie chcą oglądać już więcej cierpienia, wolą zerwać zawarty pakt, by uwolnić się od ciągłych wyrzutów sumienia i pozbyć się odpowiedzialności za czyjąś śmierć. – Pokręciłem głową. – Byłem w rozsypce. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Samobójstwo wydawało się jedynym sensownym rozwiązaniem. Byłem sam, nie miałem znikąd pocieszenia ani dobrej rady. A On, Wszechmogący Bóg, milczał i tylko się przyglądał. Ani razu nie wysłał Posłańca, by mnie pocieszył. Czekałem więc tylko na okazję, aby zakończyć swój nędzny los. Wiem, że trudno to zrozumieć, przecież zyskałem nowe życie, powinienem czuć wdzięczność. Ale prawda była taka, że pierwsze miesiące od zostania Guardianem stały się najmroczniejszym okresem w moim życiu. Ciągły kontakt ze śmiercią oraz samobójstwo Agnese sprawiły, że straciłem sens egzystencji. Snułem się po świecie jak cień. Moim jedynym zajęciem była niekończąca się, męcząca walka z Marou, walka, w której stawką było ludzkie życie.

– Biedaku… – Larysa popatrzyła na mnie, jakby miało jej pęknąć serce. – I ten koszmar trwał nieprzerwanie przez ponad trzysta lat?

– Na szczęście nie. Pewnej zimowej nocy tysiąc sześćset pięćdziesiątego piątego roku coś się zmieniło. Zostałem wezwany do Polski na Jasną Górę, gdzie trwało oblężenie przez Szwedów.

Gdy tylko dotarłem na miejsce, ujrzałem żołnierza, przy którym był już Marou. Zmarznięte dłonie młodego żołdaka trzymały kurczowo łuk. Spod niego powiewał kawałek poszarzałej szmatki. Była to damska chusteczka, na której wyhaftowano

kwiaty konwalii z dedykacją: „Pamiętaj, Janie, ma miłość ku Tobie nigdy nie ustanie”. Coś wówczas ścisnęło mnie za serce. Telepiący się z zimna chłopak oderwał rękę od broni, przycisnął chusteczkę do ust i złożył na niej pocałunek. Poczułem gorycz i żal, że muszę patrzeć na śmierć tego młodzieńca. To było wielce niesprawiedliwe, że on, który miał kogo kochać, miał dla kogo żyć, musiał odejść z tego świata. A ja? Żałosny samotnik, zgorzkniały okrucieństwem swego powołania, miałem nadal trwać. Podjąłem decyzję, że ocalę mu życie. Byłem świadom konsekwencji, jakie mi groziły. Gdybym ocalił tego chłopaka, moje ciało przemieniłoby się w proch, a ja trafiłbym na posługę do Guerry. Żadna kara nie zdawała mi się jednak wówczas gorsza od bycia Wysłannikiem. Gdy tylko usłyszałem wystrzał z armaty, odepchnąłem łucznika i sam stanąłem w polu rażenia.

Zdążyłem wypowiedzieć jeszcze dwa słowa: „Wybacz, Boże” i w tym samym momencie poczułem wstrząs pod nogami. Odrzucił mnie podmuch powietrza. Straciłem równowagę i upadłem. Nim zdążyłem zorientować się w sytuacji, za murami rozległy się radosne krzyki broniących wrót twierdzy: „To cud! To cud!”.

Spojrzałem po sobie. Nie byłem nawet draśnięty. Nie rozumiałem, co się stało. Przecież miałem zginąć zamiast młodego łucznika. Gdzie podziała się kula, którą miałem dostać? Jeden z żołdaków, kreśląc na sobie znak krzyża, krzyczał: „Cud Matki Bożej! Kula odbiła się od murów. Cud!”. Zamarłem. Mogłem jedynie podejrzewać, kto zatrzymał ten pocisk; domyślać się, że było to działanie Boga, który nie zgadzał się na moje samobójstwo. Znów dał mi do zrozumienia, że jestem nikim w obliczu Jego siły. Że zna każdą moją myśl, a wszelka ma decyzja wymaga Jego zgody. Pokazał mi, że jestem całkowicie od Niego zależny, że jestem Jego marionetką. Wydawał mi się wtedy bezduszny i okrutny. Skoro posiadał władzę absolutną, czemu nie ulżył mi w cierpieniach? Czemu nie oszczędził mojej siostry? Czemu zgadzał się, by niewinni ludzie umierali w bólu i strachu, zamiast pozwolić im odejść w spokoju?

Przez tyle lat nie udało mi się dociec, dlaczego śmierć ma tak różne oblicza. Jedni zasypiają w spokoju, inni giną od ran w wypadku, jeszcze inni zakładają sobie sznur na szyję. Rozumiałem jednak, że tamte mroczne czasy i moje cierpienie dały mi siłę, by żyć dalej. Nauczyły mnie, że świat funkcjonuje według Bożego planu i trzeba się z tym pogodzić. Czy tego chcemy, czy nie. Ludziom wydaje się, że mają wyjście – mogą brać życie takim, jakim jest lub je sobie odebrać. Jak się okazuje, także i w tej kwestii są pozbawieni wolnej woli. Czasami, mimo naszych chęci i starań, Bóg nie

pozwala nam odejść z tego świata. Dziewczynę, która nałykała się tabletek, ratuje płukanie żołądka; kobiecie, która odkręciła kurek z gazem, przerywa sąsiadka; mężczyznę, który skoczył z mostu, wyławia świadek.

Dziś wiem, że w tych najtrudniejszych momentach życia, gdy nie starcza już sił do walki, trzeba po prostu przeczekać. Zacisnąć zęby i wypatrywać z nadzieją lepszych dni. A los… kiedyś musi się odmienić. I tak się dzieje. Bóg w końcu daje wskazówkę. Jedną, drugą, trzecią, by pokazać nam, że wszystko, czego doświadczamy, posiada głębszy sens, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Tylko my, ludzie, patrzymy, a nie widzimy. A On bardzo dobrze nas zna. Na tyle dobrze, że jest w stanie przewidzieć nasze decyzje. Wciąż jednak nie znam wielu odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Na ile nasza przyszłość jest przez Niego zaplanowana, a na ile sami możemy ją kształtować? Czy to, co nas spotyka, jest uzależnione choć trochę od nas samych, czy jedynie od woli Boga?

– Myślę, że miliardy ludzi zadają sobie to pytanie – przyznała Larysa. – Szkoda, że nawet ktoś taki jak ty, będący Wysłannikiem Stwórcy i żyjący na tym świecie ponad trzysta lat, nie znalazł jeszcze na nie odpowiedzi. Co w takim razie mają powiedzieć ci, którzy chcą poznać sens życia, a mają na to tylko kilkadziesiąt lat? – Zamyśliła się na chwilę. – Z drugiej strony… Może wcale nie trzeba tego wiedzieć? Może tak jest lepiej? Może warto żyć, żeby po prostu żyć? – Przechyliła głowę i popatrzyła na mnie, jakby szukała potwierdzenia swojej tezy w moim spojrzeniu. Byłem z niej dumny. Ludziom wiele lat zajmuje dotarcie do tej prawdy. Niektórzy nigdy do niej nie dochodzą.

Ująłem dłoń Larysy i złożyłem na niej pocałunek.

– Żyjmy zatem – powiedziałem.

Larysa

Nadeszła zima, mimo to Zuzka chodziła zakochana i cała w skowronkach, jakby zaczęła się wiosna. Mamę ogarnął szał świątecznych zakupów, a tata, jak zwykle, zajmował się po pracy majsterkowaniem.

Było rześkie, sobotnie przedpołudnie, kiedy odwiedziłam Gabriela. Usiadłam z Tatianą w kuchni, czekając, aż nasi mężczyźni wrócą z przejażdżki konnej.

– Tak się cieszę, że zostaniesz moją bratową. – Tatiana popatrzyła na mnie fiołkowymi oczami, z których biło podekscytowanie.

Prawie udławiłam się herbatą. Spojrzałam na nią zaskoczona. Umówiliśmy się z Gabrielem, że nie będziemy nikomu wspominać o naszych ewentualnych planach na przyszłość. Tym bardziej że niczego konkretnego nie planowaliśmy.

– Słucham?

– Widzę, że Gabriel ci się oświadczył. – Spojrzała wymownie na pierścionek, który od niego dostałam. – Naprawdę bardzo, ale to bardzo się cieszę.

Przeklęłam w duchu, że Gabriel jeździ sobie w najlepsze konno, a ja muszę wybrnąć z tej sytuacji, nie sprawiając przy tym Tatianie zawodu.

Uśmiechnęłam się i odstawiłam kubek na stół.

– Nie jesteśmy zaręczeni.

Tatiana zmarszczyła czoło, spojrzała ponownie na pierścionek.

– Ale jestem pewna, że to rodowy szmaragd Dunkeldów.

Popatrzyłam na nią pytająco.

– Nosisz na palcu królewski pierścień – wyjaśniła. – Król Wilhelm podarował go Sussanie w dniu ich sekretnego ślubu i od tamtej pory był przekazywany z pokolenia na pokolenie. Ten pierścień jest wart majątek.

Poczułam, jak podarunek od Gabriela dziwnie ciąży mi na palcu.

– Jesteś pewna, że to ten sam pierścionek? – dopytałam.

– Oczywiście. Gabriel strzegł go jak oka w głowie. Zawsze powtarzał, że jedynym cennym klejnotem w jego życiu będzie ta, której założy ten pierścień na

palec.

– Nie sądziłam, że jest aż tak cenny. – Poczułam, jak pocą mi się dłonie. – I jak ja mam go niby teraz nosić?

Tatiana się zaśmiała.

– Tak jak do tej pory, na palcu.

– Bardzo zabawne. A jak go zgubię albo jakiś zbir mi go ukradnie?

– Ukradnie? – Z jej twarzy nie schodził uśmiech. – Najpierw musiałby ci odciąć palec albo odrąbać rękę, a wówczas miałabyś nieco większe zmartwienie niż skradziony pierścionek.

– Tatiano, ja mówię poważnie.

– Nie bądź niemądra. Tylko my wiemy, ile jest wart ten szmaragd. Inni wezmą go za jakąś błyskotkę od jubilera.

Siostra Gabriela zdawała się być naprawdę rozbawiona. Mnie nie było jednak do śmiechu. Nie mogłam pozbyć się uczucia, że rodowy pierścień niczym kwas wżera mi się w skórę.

– Muszę go oddać z powrotem. – Zaczęłam ściągać pierścień. – Powinien leżeć w jakimś sejfie…

Igrający uśmiech w jednej sekundzie zniknął z twarzy Tatiany.

– Nawet o tym nie myśl! – Złapała mnie za rękę.

– Dlaczego? Przecież Gabriel zrozumie.

Tatiana pokręciła głową.

– Gabriel to wspaniały człowiek i kocham go jak rodzonego brata. Jest szlachetny, honorowy i cierpliwy, ale myślę, że nie zrezygnuje z czegoś, na co czekał ponad trzysta lat. Pewnie sam ci się nie przyzna, ale to, że nosisz ten szmaragd na palcu, dużo dla niego znaczy. Wreszcie cię odnalazł. W końcu ma swoją Laristę, dla której przechowywał pierścień. – Utkwiła wzrok w błyszczącym kamieniu mieniącym się jak tafla morza w południowym słońcu. – To niesamowite, ma kolor twoich oczu… – Zamyśliła się przez chwilę, po czym podniosła na mnie wzrok. – Wiesz… To dla nas ogromne szczęście, że jesteś w jego życiu. Gdy się pojawiłaś, od razu dostrzegliśmy, że Gabriel inaczej się zachowuje. Jego wiecznie marmurowa twarz zyskała blasku, stalowe oczy przybrały lazurowy odcień. Gdy po raz pierwszy wymówił przy nas twoje imię, słyszeliśmy inną nutę w jego głosie. To już nie był ten baryton, który straszył dramatyczną barwą, tylko głos zakochanego mężczyzny. Widzisz, Laryso… Zanim się pojawiłaś, Gabriel był wielce nieszczęśliwy, a my

z całego serca pragniemy jego szczęścia. Dlatego wybacz to, co teraz powiem, ale prędzej przykleję ci ten klejnot do palca, niż pozwolę, byś go zdjęła. – Sięgnęła po dzbanek. – Herbaty?

Skinęłam twierdząco głową.

– Gabriel ci tego nie powie. – Uzupełniła mój kubek. – Jest dżentelmenem i nie użala się nad sobą. Kiedyś wiódł zupełnie inne życie, można rzec, koczownicze. Sam, bez domu, tułał się po świecie. Poznałam go tuż po moim odrodzeniu, pod koniec pierwszej wojny światowej. Mój ojciec był rosyjskim generałem, który wraz z rodziną został zamordowany przez niemieckich szpiegów. Tamtej nocy zabili moich rodziców, a później resztę domowników. Było nas pięcioro rodzeństwa, zostałyśmy tylko ja i najmłodsza siostra, która leżała obok w kołysce. Gdy jeden z Niemców ruszył do niej z pistoletem, zasłoniłam ją ciałem i dostałam kulę w pierś. Nim zdążyłam się odrodzić, oprawcy uciekli, słysząc zbliżające się posiłki. Gdy tylko opuścili dom, narodziłam się jako Guardianka. Tej nocy właśnie poznałam Gabriela i Semenę, którzy podczas tamtego wezwania spotkali się po raz pierwszy. Nie udało im się uratować członków mojej rodziny. Semena nie miała serca zostawić mnie i siostry na pastwę losu, więc przygarnęła nas obie. Zamieszkałyśmy w jej domu we Francji, w urokliwej kamieniczce w Nicei. Semena zapraszała często Gabriela na niedzielne obiady, ale on zawsze odmawiał, tłumacząc się, że ma dużo wezwań. W końcu nas jednak odwiedził i chociaż zawsze uważałyśmy go za samotnika, to przyszedł ze znajomym. – Twarz Tatiany pojaśniała na to wspomnienie. – Nigdy nie widziałam mężczyzny z tak ogniście brązowymi oczami. Śniada cera i pełne usta Adzira od razu zawróciły mi w głowie. Nie mogłam wręcz oderwać od niego oczu. Zakochałam się na zabój. Po tym spotkaniu odwiedzali nas co niedziela. W głębi serca żywiłam nadzieję, że to Adzir inicjuje częste wizyty, i się nie zawiodłam – nie minął rok, jak mi się oświadczył. Po naszym ślubie zaproponowaliśmy Gabrielowi, że zamieszkamy wszyscy razem. Żadne z nas nie wyobrażało sobie, że mógłby nadal prowadzić samotne życie. Po długich namowach zgodził się na wspólny dom, lecz pod warunkiem, że to on go kupi. Od tamtej pory, mimo tego, że Posłańcy wysyłali nas w różne miejsca świata, każde z nas zawsze wracało w jedno miejsce. W ciągu tych stu lat mieszkaliśmy na francuskiej Rivierze w Saint-Tropez, w fińskim miasteczku Turku i na australijskiej farmie w Tamborine Mountain. Polska jest naszym czwartym wspólnym gniazdem. Muszę przyznać, że bardzo dobrze się tu czuję. Ludzie są gościnni, przyroda jest dziewicza i piękna.

Tylko ten wasz język. – Tatiana skrzywiła się z niesmakiem.

– Przecież wy świetnie mówicie po polsku – stwierdziłam.

– To nietrudne, skoro znamy wszystkie języki świata. – Tatiana odstawiła filiżankę na stół. – Polska to piękny kraj, może trochę zbyt dużo jest zimnych miesięcy, ale tutejsze powietrze dobrze nam służy – powiedziała i spojrzała rozmarzonym wzrokiem w okno.

– Dlaczego akurat tutaj? – spytałam.

– Słucham? – Tatiana popatrzyła na mnie.

– Dlaczego zdecydowaliście się zamieszkać w Starym Lesie?

– To był przypadek. Gabriel szukał inwestycji, w której mógłby ulokować zyski z akcji, i znalazł ten dwór. Gdy tylko tu przyjechał, uznał, że to niezwykłe miejsce. Urzekający spokój, cisza i leśne tereny do przejażdżek konnych. Zakochał się w Starym Lesie, a potem zjawiłaś się ty.

Tatiana rozejrzała się po białej kuchni urządzonej w kolonialnym stylu.

– Będzie mi brakować tego dworu – przyznała.

– Jak to brakować? – spytałam ze zdziwieniem.

Jej oczy zalśniły czystym szczęściem.

– Ustaliliśmy z Adzirem, że najlepiej będzie, jeśli się wyprowadzimy. Gabriel nie jest już samotny, a nam wreszcie powiększy się rodzina.

– Jesteś w ciąży?! – wykrzyknęłam z ekscytacją.

Tatiana skinęła głową.

– Moje gratulacje. – Uścisnęłam ją. – Ostatnio się nawet zastanawiałam, czy nie istnieją żadne przeszkody, by Wysłannicy mieli własne dzieci.

– W zasadzie są – odparła Tatiana. – Guardianki w pierwszych latach swego istnienia nie zachodzą w ciążę. Jest to fizycznie niemożliwe. Nasze komórki jajowe stają się poniekąd martwe na pięć lat. Dzięki temu unikamy poronień lub uszkodzeń płodu na skutek zbyt silnego stresu spowodowanego guardiańskim stylem życia. Po odrodzeniu jesteśmy wystawiane na liczne próby. Wielu z Guardianów, niezależnie od tego, czy to kobiety, czy mężczyźni, nie wytrzymuje obciążenia psychicznego, popada w depresję, a nawet popełnia samobójstwo.

– Gabriel wspominał, że jest to dla was ciężki okres – przyznałam ze współczuciem.

– Tak, chociaż ci, którzy mają oparcie w innych Guardianach, lepiej znoszą czas

próby. Mnie było dosyć łatwo, od początku dostawałam wsparcie od Semeny, a później od mojego męża. Do szczęścia brakowało nam tylko maleństwa. Co prawda miałam młodszą siostrę, ale to była siostra, a ja pragnęłam własnego dziecka. Gdy w końcu minął okres karencji, okazało się, że nie mogę zajść w ciążę. Nikt nie wiedział czemu. Próbowaliśmy różnych metod, ale bezskutecznie. Pragnęliśmy dziecka najbardziej na świecie, lecz nie mogliśmy go mieć. – Jej oczy zaszły łzami, po chwili odgoniła je jednak i uśmiechnęła się łagodnie. – Nie wiem, jakim cudem, ale w końcu się udało. Może to ten polski klimat tak na mnie podziałał?

– Hmm, nie sądziłam, że posiada prorozrodcze właściwości. Większość ludzi skarży się, że zmienna pogoda w Polsce wywołuje u nich reumatyzm i bóle głowy.

Tatiana parsknęła.

– Tak, zauważyłam, że spora część Polaków to hipochondrycy i meteopaci.

– Co więcej, większość z nas z pomocą Google'a potrafi się skutecznie leczyć.

Roześmiałyśmy się i w tym samym momencie dobiegły nas głosy z holu:

– Pamiętaj, że wciąż jesteś mi winien za poprzedni zakład – powiedział Gabriel.

– Nie wiem, dlaczego nadal się z tobą ścigam, skoro zawsze przegrywam – odparł rozżalony Adzir.

– Bo za każdym razem masz nadzieję, że wreszcie mnie pokonasz.

Obaj mężczyźni weszli rozbawieni do kuchni, ale moją uwagę przykuł ten jedyny. Jego widok zaparł mi dech w piersi. Jeździecka kurtka podkreślała szerokie ramiona, czarne bryczesy uwidaczniały umięśnione uda, a lśniące oficerki zwracały uwagę na długie nogi.

Gabriel nachylił się i pocałował mnie w usta. Poczułam od niego zapach świeżego powietrza i wody kolońskiej. Jego wargi były gorące od wysiłku podczas konnej gonitwy, a twarz chłodna od grudniowego wiatru.

– Kochanie! Przed momentem wygrałem wyścig i z tej okazji chciałem zaprosić cię na obiad – oznajmił.

Spojrzałam wymownie na Adzira.

– Czy nie możesz chociaż raz z nim wygrać? Jak tak dalej pójdzie, nie zmieszczę się w żadne ciuchy od tych jego zwycięskich obiadów.

Adzir się zaśmiał.

– Nic nie poradzę, że za każdym razem jest tak szalenie głodny. Myślę, że nawet moja wygrana nic by tu nie pomogła – odparł.

– Właśnie… – wtrąciła Tatiana – Ja też bym coś dobrego zjadła i to zaraz. – Zerknęła porozumiewawczo na męża.

– W takim razie może to my zaprosimy was na obiad? – zaproponował Adzir.

– Tym bardziej że jest co świętować – dodała, po czym zwróciła się do niego nieco ciszej: – Mam nadzieję, kotku, że się nie gniewasz, ale zdradziłam Larysie naszą tajemnicę.

Adzir popatrzył na mnie.

– Ależ skąd. I tak miałem rozmawiać z Gabrielem. W końcu niedługo będzie już widać.

Gabriel odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę.

– Czy ktoś łaskawie mnie poinformuje, o czym, u diabła, mówicie?

– Chyba nie oprę się pokusie i zacytuję pewnego opryskliwego dżentelmena. – Zaznaczyłam w powietrzu znak cudzysłowu i dodałam: – „Znasz powiedzenie, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła?” – Spojrzałam na niego wymownie.

W jego oczach pojawił się psotny błysk. Ni stąd, ni zowąd złapał mnie w pasie, podniósł i przerzucił przez ramię.

– Aaa! Puszczaj! – pisnęłam.

– Ani myślę. Czyż nie tak zachowują się opryskliwi dżentelmeni w stosunku do swoich kobiet?

– Masz chyba na myśli dżentelmena z epoki kamienia łupanego?!

Gabriel trzymał mnie mocno, kierując się w stronę korytarza.

– Doigrałaś się, moja piękna. Za karę porywam cię do sypialni.

Zacisnął na moich biodrach palce. Poczułam, jak przepływa przeze mnie rozkoszny dreszcz.

– Już nie jesteś głodny? – zapytałam, wisząc głową w dół.

– Nie.

– I nie chcesz poznać naszej tajemnicy? – dodała Tatiana.

– Nie. – Gabriel ruszył w stronę drzwi.

– Nawet jeśli zostaniesz wujkiem? – spytał Adzir.

Gabriel stanął jak wryty. Poczułam, że napina całe ciało. Zestawił mnie bez słowa delikatnie na podłogę i popatrzył na przyjaciół. W jego oczach widać było autentyczne wzruszenie.

– Wreszcie się nam udało, brachu! Spodziewamy się dziecka! – oznajmił

uroczyście Adzir.

Gabriel ruszył w jego stronę sprężystym krokiem.

– Przyjacielu. Gratuluję!

Potrząsnęli swoimi dłoniami, po czym uścisnęli się bratersko.

– Siostro… – Przeniósł wzrok na Tatianę. – Ogromnie się cieszę. – W jego głosie słychać było szczere poruszenie. Ucałował jej policzki i ją objął.

Widok tej niezwykłej chwili chwycił mnie za serce. Dwoje kochających się ludzi, którzy mimo przeszkód doczekali się swojego dziecka. Nigdy wcześniej nie patrzyłam na rodzicielstwo z takiej perspektywy. Ciąża przez większość ludzi w moim wieku postrzegana była raczej jako tragedia, a nie cud. Jednak teraz, gdy widziałam tych małżonków, zrozumiałam, jak wiele może znaczyć ten błogosławiony stan.

Przeniosłam wzrok na uszczęśliwionego Gabriela, który rozprawiał o tym, jak wspaniale będzie mieć siostrzeńca. Uśmiech nie znikał z jego twarzy, podobnie jak urocze dołeczki w policzkach. I wtedy, nieoczekiwanie, przez głowę przemknęła mi szalona myśl: „Ciekawe, jak by wyglądał nasz syn, gdybyśmy kiedyś zapragnęli mieć dziecko”.

Gabriel

– Uwielbiam patrzeć, jak malujesz, ale obawiam się, że już dłużej nie wytrzymam. – Poczułem skurcz w okolicach karku i pokręciłem głową.

– Nie ruszaj się! Jeszcze chwilka. – Larysa przygryzła końcówkę pędzla i zmrużyła seksownie oczy.

Miałem ochotę zerwać się z łóżka i porwać ją w ramiona, zamiast leżeć bezczynnie i robić za modela. Ale jej obiecałem. Poprawiłem się na posłaniu i wróciłem do lustrowania każdego jej ruchu. W pewnym momencie zdjęła sweter i została w samej koszulce na ramiączkach, która uwydatniała jej piersi. Mimo tego, że dzieliły nas jakieś dwa metry, czułem jej słodki zapach. I to jej spojrzenie. Miałem wrażenie, że rozbiera mnie wzrokiem.

– Jesteś okrutna – powiedziałem.

– Co?

– Wcale nie malujesz, tylko mnie kusisz.

Uśmiechnęła się i zanurzyła pędzel w farbie.

– Maluję i już kończę. Chyba możesz wytrzymać jeszcze parę minut?

– Nie, gdy patrzysz na mnie tak nęcąco – odparłem.

– Patrzę na ciebie normalnie, tak jak malarka patrzy na modela. – Dotknęła płótna pędzlem. – Niech to! – Rzuciła mi gniewne spojrzenie. – Przez ciebie zrobiłam kleksa.

– To znak, że powinniśmy kończyć. – Naprawdę tak sądziłem, nie chciałem już patrzeć bezczynnie na jej nagie ramiona, przygryzaną zmysłowo wargę, ponętnie zmrużone powieki…

– Chwila, tylko… – Nie zdążyła dokończyć, bowiem zamknąłem jej usta pocałunkiem. Rozwarła szeroko oczy, lecz po chwili przymknęła je, upuściła pędzel i zarzuciła mi ręce na szyję.

Objąłem ją w talii i uniosłem do góry, a ona otoczyła mnie nogami. Opadliśmy na pościel. Nakryłem ją ciałem i nie przestając całować, zacząłem błądzić dłońmi po jej skórze. Była miękka, delikatna, pachnąca. Nie mogłem się jej oprzeć. Zsunąłem usta na jej dekolt, podciągnąłem koszulkę, stanik i zacząłem całować nagą pierś. Larysa

jęknęła i zanurzyła palce w moich włosach. Pragnąłem dać jej jak najwięcej przyjemności, chciałem, by poczuła rozkosz. Jej sutki stwardniały, zaczęła oddychać szybciej. Rozpiąłem jej spodnie i poczułem, jak bardzo jest wilgotna. Instynktownie poruszyłem biodrami, czując narastające podniecenie.

I wtedy przerwał nam głośny brzęk. Jakby dźwięk tłuczonego szkła, który dobiegł z parteru.

Sygnał alarmowy rozbrzmiał w mojej głowie. Rodzice Larysy byli w pracy. Prócz nas i Gali nikt nie powinien znajdować się w domu.

– To pewnie psina dorwała się do resztek ze śniadania i stłukła talerz – powiedziała Larysa.

Lecz wtedy usłyszeliśmy jej skowyt, a po nim dudnienie przypominające odgłosy kroków. Poczułem przypływ adrenaliny.

– Zostań tutaj. – Zerwałem się na nogi, wybiegłem na korytarz i zbiegłem po schodach. W holu było pusto, podobnie w salonie, wbiegłem do kuchni…

– Kurwa mać!

Całą podłogę przysłaniał dywan wielkich, czarnych ciem. Trzepotały ospale, wydając przy tym rwący szum. Wycofałem się za próg, czując, jak ich skrzydła kleją się do moich stóp.

Za moimi plecami rozległy się kroki. Obróciłem się gwałtownie i ujrzałem Larysę schodzącą po schodach. Ruszyłem w jej stronę. Nie chciałem, żeby dowiedziała się, że w jej mieszkaniu był Daniel. Tym bardziej że już niebawem miał na zawsze zniknąć z naszego życia, nie musiała się nim dodatkowo martwić.

– Prosiłem, żebyś została w pokoju. – Stanąłem u dołu schodów i oparłem się o poręcz.

– A ja nie posłuchałam – oznajmiła.

– Czemu mnie to nie dziwi? – Starałem się, aby mój głos nie wzbudził w niej podejrzeń. – Na szczęście nikogo tu nie ma. Wróć, proszę, na górę. Zaraz do ciebie przyjdę, tylko wezmę coś do picia.

Lecz ona jak zwykle musiała zrobić po swojemu.

– Wolę sprawdzić, co to był za dźwięk. – Chciała mnie ominąć, ale wtedy zastąpiłem jej drogę.

– Talerz się stłukł. Miałaś rację, to sprawka Gali… Chodźmy na górę. Może dokończymy to, co zaczęliśmy? – Puściłem jej oko, ale ona nie dała się zwieść.

Przechyliła głowę, przyglądając mi się przenikliwie, a ja po jej spojrzeniu już

wiedziałem, że domyśla się, że coś jest nie tak.

Ominęła mnie i udała się prosto do kuchni.

Niech to szlag!

– Poczekaj! – Ruszyłem za nią.

Piętnaście sekund później jej oczy rozwarły się na widok czarnej płachty ciem. Larysa wciągnęła głośno powietrze, zakryła usta dłońmi, po czym osunęła się wprost w moje ramiona.

Larysa

Uniosłam powieki i zorientowałam się, że leżę we własnym łóżku. Rozejrzałam się po pokoju i w zachodzącym słońcu ujrzałam postać Gabriela. Stał w oknie, wpatrując się gdzieś w dal. Wyglądał gniewnie. Coś rozważał. Coś ukrywał. Znałam już tę jowiszową twarz.

W jednej sekundzie przed oczami zjawiły mi się migawki wspomnień. Ćmy, wszędzie czarne ćmy! A on dokładnie wiedział, co robią w moim domu.

– Dlaczego mnie oszukałeś?

Odwrócił się. Ciemne brwi zeszły się na jego czole.

– Obudziłaś się.

– Jak widać. Co te owady robią w moim domu i dlaczego od razu mi o nich nie powiedziałeś? – Usiadłam na łóżku, ignorując pulsujący ból głowy.

– Widzę, że już ci znacznie lepiej. Cieszy mnie to. – Uśmiechnął się, wymigując się od odpowiedzi.

– Odwracasz kota ogonem.

Gabriel uniósł brew.

– *À propos* zwierząt. Jakiś cykor chowa się pod twoim łóżkiem.

Wychyliłam się i zwiesiłam głowę. Zwinięta biszkoptowa kulka leżała wystraszona w ciemnym kącie, trzęsąc się jak osika. Zawołałam ją i duże, piwne oczy zerknęły na mnie smutno.

– Galunia, chodź do pani! No, chodź tu, piesku… – Popukałam palcami o podłogę.

Ciemne gałki łypnęły w bok, pokazując białka, a puszysty ogon lekko drgnął i po chwili zaczął uderzać rytmicznie o podłogę.

– Tak, dobry piesek, chodź do pańci.

Suczka wyczołgała się ociężale.

– Dobra Gala. – Poklepałam ją po karku, otrzymując w zamian mokrego buziaka. Moja kochana. Byłam taka szczęśliwa, gdy ją w końcu znaleźliśmy w puszczy. Kiedy

kilka dni po tym dowiedziałam się, że wnuczek Nowakowej, z którym staruszka zamierzała zamieszkać, ma alergię na psią sierść, od razu zaproponowałam, że przygarnę Galę. Nowakowa zgodziła się z wdzięcznością.

Pocałowałam Galę w pysk, po czym usadowiłam się z nią na pościeli i spojrzałam na Gabriela.

– A teraz odpowiedz, proszę, na moje pytania. I liczę na to, że tym razem powiesz mi prawdę.

Gabriel zaplótł dłonie na karku i patrzył na mnie przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Czy wystarczy, jeśli powiem, że prawda w tym przypadku jest zbyteczna? – odezwał się w końcu.

– Nie. I nie traktuj mnie, jakbym była rośliną cieplarnianą. Rozumiem, że te paskudztwa na dole mają coś wspólnego z Danielem, tak?

Gabriel jedynie skinął twierdząco głową.

– Czyli wrócił i włamał się do mojego domu.

– Obawiam się, że tak.

– Ale po co? Dlaczego nie chce dać mi spokoju?

Gabriel przesunął dłońmi po twarzy. Widziałam, że bije się z myślami.

– To była wiadomość. – Usiadł na łóżku. – Wspominałem ci, że Daniel został skazany na bycie czarną ćmą. Bóg nie bez powodu wybrał akurat taką postać. Nocny motyl uważany jest za symbol śmierci. Według niektórych wierzeń czarne ćmy to zbłąkane dusze. Kiedyś Evan wspomniał, że Daniel często używa ciem, by wywołać w ludziach paniczny lęk przed śmiercią. Wówczas zyskuje nad nimi większą kontrolę. Kuszenie jest wtedy znacznie prostsze. Czarna ćma to jego znak rozpoznawczy, a zarazem ostrzeżenie. Ale to, co zrobił dzisiaj… – Gabriel zacisnął dłoń w pięść, aż zbielały mu kostki. – Ten cały rój. Daniel musiał się sporo natrudzić, by sprowadzić je tu w zimę. Teraz gąsienice śpią.

– Czyli grozi mi śmierć? – spytałam.

Gabriel aż się wzdrygnął.

– Nawet tak nie myśl. On nie ma prawa cię skrzywdzić. Kuszenie i nastraszanie to jedyna broń, jaką dysponuje. Gdyby cię tylko tknął, zniknąłby z powierzchni ziemi, a po jego szczątkach pozostałby jedynie popiół. Jest świadom tego, że ma związane ręce. Nic ci nie zrobi.

– Mimo to jest groźny, prawda?

Gabriel przeczesał włosy.

– Jest konsekwentny, a to duża różnica.

– Czyli będzie mnie straszył i kusił, aż dopnie swego?

– Nie ma takiej opcji – oznajmił stanowczo. – Już moja w tym głowa.

Po dzwonku na przerwę w klasie zrobiło się gwarno jak w ulu.

– Za ile? – spytała Zuzka do słuchawki. – Okej. Będę czekać. Tak. Widzimy się za dziesięć minut pod szkołą. Tak. Buziaki. Aaa! Poczekaj! Podrzucimy Larysę do Gabriela. No to pa.

Zuzka odłożyła komórkę na ławkę i wyszczerzyła zęby, które kontrastowały ze szminką w kolorze burgunda.

– Załatwione – oznajmiła z zadowoleniem. – Patryk przyjedzie po nas za dziesięć minut, więc spokojnie możemy się zbierać do szatni – dodała, odsuwając się na krześle. – Boże, jak ja nie cierpię zimy – jęknęła. – Zanim wrzucimy na siebie te wszystkie gałgany, to ruski rok minie. – Przełożyła pasek od torby przez głowę. – No co się tak grzebiesz? Idziesz czy nie?

– Idę – odparłam, czując, jak spływa na mnie kolejna fala niepokoju.

Już od samego rana nie czułam się najlepiej. Zeszłotygodniowy incydent z ćmami mocno mną poruszył, a dzisiejsze zachowanie Gabriela jeszcze bardziej mnie rozstroiło.

– Ale się grzebiesz – zrugała mnie Zuzka. – W ogóle jesteś jakaś dziwna. Zwolnili nas z lekcji, a ty zamiast się cieszyć, masz minę męczennicy. Wszystko gra?

– Tak. Wszystko w porządku – skłamałam i wyszłam razem z nią z klasy.

Odkąd poznałam świat Guardianów, często zniekształcałam fakty i nie mówiłam Zuzce prawdy. Było mi przykro, że nie mogę być z nią szczera. Obowiązywało mnie zachowanie tajemnicy. Bywało, że czułam się z tym paskudnie. Jak teraz, gdy naprawdę potrzebowałam się jej zwierzyć. Miałam ochotę powiedzieć Zuzce o Danielu, ćmach i niepokojącym zachowaniu Gabriela dzisiaj pod szkołą. Całował mnie tak namiętnie i rozpaczliwie, jakby miał to być ostatni pocałunek w jego życiu. Gdy już wysiadałam z auta, powiedział niskim głosem: „Pamiętaj, że cię kocham”, a mnie ciarki przeszły po plecach.

– Lara, co się dzieje? – przywołała mnie do teraźniejszości Zuzka.

– Nic. Tylko… – Poczułam gęsią skórkę na przedramieniu. – Mam złe przeczucia.

– W związku z czym?

– Z Gabrielem. Próbowałam dodzwonić się do niego kilka razy, ale nie odbiera.

– Może zostawił komórkę w domu i wybrał się na konną przejażdżkę.

– Na przejażdżkę? Zuzka, czy ty w ogóle widziałaś, co się dzieje z pogodą? – Wskazałam ręką w stronę okien na korytarzu.

Na zewnątrz szalała śnieżna zawierucha, której nikt na dzisiaj nie zapowiadał. Oczywiście, była zima, ale dziesięciostopniowy mróz, poranne słońce i przejrzyste niebo nie zwiastowały aż takiego załamania pogody.

Zuzka zrobiła wielkie oczy.

– Ach. Faktycznie, trochę pada. To nie wiem… Może poszedł odśnieżać.

Rzuciłam jej znaczące spojrzenie, na co ona się uśmiechnęła i wzięła mnie pod rękę.

– Daj spokój, Lara. Na pewno istnieje sensowne wyjaśnienie. Zresztą im szybciej pójdziemy do szatni, tym szybciej go zobaczysz. Chodźmy! Patryk za chwilę powinien być pod szkołą.

Nawet włożenie ciepłej kurki, kozaków i grubej czapki nie uwolniło mnie od przenikliwych dreszczy. Siedziałam więc skulona, dygocząc z zimna na tylnym siedzeniu starego fiata punto.

– Na pewno nie da się podkręcić tego nędznego ogrzewania? – stęknęła Zuzka, majstrując przy desce rozdzielczej.

– Mówiłem już, że padł termostat. – Patryk przetarł ręką zaparowaną przednią szybę.

– Termostat srostat! Mówisz tak, jakbym wiedziała, co to znaczy – rzuciła Zuzka.

– Nie kłóćcie się – odparłam, szczękając zębami.

– Widzisz, Patryku! Larysa dygocze, czyli nie tylko mnie jest zimno. – Zuzka łypnęła na swojego chłopaka.

– Przepraszam ponownie za mróz, zimę, globalne ocieplenie, głód, biedę i co tam jeszcze chcesz.

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi. Już dwa dni temu mówiłeś, że naprawisz ogrzewanie w aucie. Lecz zamiast tego wybrałeś się dokądś w Polskę, nawet nie wiadomo po co.

Patryk zacisnął dłonie na kierownicy.

– Już ci to tłumaczyłem.

– Ach tak, coś wspominałeś. Poczekaj, niech sobie przypomnę… Brat męża siostry twojej matki pracuje w elektrociepłowni, w której została uszkodzona…. Jak to nazwałeś?

– Turbina upustowo-kondensacyjna – powiedział.

– Racja. Turbina upustowo-kondensacyjna. Jak mogłam zapomnieć? – Wywróciła oczami. – I ty, student inżynierii procesowej, byłeś jedynym fachowcem w całej Polsce, który mógł temu zaradzić. Tylko ktoś, kto ma nierówno pod sufitem, uwierzyłby w takie brednie.

Patryk się skrzywił. Pewnie dotarło do niego, jak niedorzeczna była jego wymówka. Coś mi mówiło, że otrzymał tak pilne wezwanie, że nie miał czasu na sensowne wyjaśnienia. Zrobiło mi się go żal. Wiedziałam, że Zuzka będzie mu wiercić dziurę w brzuchu z tego powodu w nieskończoność.

– Patryk nie kłamie – odezwałam się.

Zuzka odwróciła się i popatrzyła na mnie, jakbym urwała się z choinki.

– Skąd wiesz?

– Gabriel wspominał, że zawiózł go na Śląsk… Patryku, przypomnij, proszę, kiedy to było.

– Przedwczoraj – oznajmił, parząc na mnie z wdzięcznością we wstecznym lusterku.

– No właśnie, przedwczoraj. Graliśmy z Gabrielem w scrabble, kiedy dzwoniłeś do niego, żeby cię podrzucił…

Patryk się skrzywił.

– To ciekawe – wtrąciła Zuzka – bo gdy dzwonił do mnie z informacją, że wyjeżdża, był poranek, a ty siedziałaś obok mnie na matematyce.

A niech to!

– I to się zgadza – przyznałam – bo grałam z Gabrielem w scrabble online na smartfonie. Widocznie po telefonie do ciebie zadzwonił od razu do Gabriela – powiedziałam, licząc na to, że Zuzka nie pamięta, co dokładnie robiłam na matematyce.

Spojrzała na mnie podejrzliwie, po czym przeniosła wzrok na Patryka. Widać było, że traci grunt pod nogami.

– To prawda? – zapytała, wpatrując się w jego kamienny profil.

– Przecież ci mówiłem, ale mi nie wierzyłaś.

– No tak, mówiłeś… – Zuzka poprawiła czapkę, która zsunęła jej się na czoło. – Kurna, ale sam przyznasz, że powód twojego wyjazdu był wręcz śmieszny.

– Nie, gdy jest się inżynierem – odparł. – Musisz przywyknąć. Takie sytuacje czasem się zdarzają – oznajmił z takim przekonaniem, jakby naprawdę otrzymał tego typu zlecenie.

– No tak. Widocznie, tak. Przepraszam – powiedziała i pocałowała go w policzek.

– Jeśli uważasz, że ten nędzny całus mnie zadowoli, to jesteś w błędzie.

Zuzka pstryknęła go w ucho. Nie mogłam wprost uwierzyć w to, co widziałam. Na zwykle bladej twarzy przyjaciółki pojawił się rumieniec.

– Obiecuję, że się poprawię, jak już będziemy w twoim domu – przyrzekła i wsparła głowę na jego ramieniu.

Od razu zrobiło mi się cieplej. Po chwili spostrzegłam jednak, że wjeżdżamy w aleję biegnącą do szlacheckiego dworku, i znów napłynęły dreszcze. Gruba warstwa śniegu okrywała dwuspadowy dach, a na szybach w oknach można było dostrzec esy-floresy przypominające łowickie kwiaty, które namalował mróz.

Pożegnałam się z przyjaciółmi, wysiadłam i odprowadziłam wzrokiem odjeżdżające auto. W moim sercu zagościł niepokój. Wzięłam głęboki oddech i weszłam po schodkach, na których widoczne były ślady dużych stóp. Wiatr zawiał, smagając mnie po twarzy płatkami śniegu. Stanęłam przed masywnymi drzwiami i zastukałam mosiężną kołatką. Nie słyszałam nic prócz świstu, który wdzierał się mi do uszu. Zapukałam ponownie, odczekałam chwilę, po czym nacisnęłam na klamkę. Zamknięte.

Zdjęłam rękawiczki, sięgnęłam do torby i wyjęłam komórkę. Momentalnie zaczęły marznąć mi ręce. Wybrałam z książki adresowej numer i zadzwoniłam do Tatiany.

– Cześć, kochana! Właśnie o tobie mówiliśmy – przywitała mnie radośnie.

– To miło. Gdzie się podziewacie?

– Byliśmy oglądać domy w okolicach Mokrych. Właśnie wracamy. A co u ciebie?

– Stoję pod waszymi drzwiami, czekając, aż ktoś mi otworzy, ale skoro was nie ma…

– Gabriel jest w domu.

– Wątpię. Jestem tu od kilku minut, pukam, a drzwi są zamknięte na klucz – dodałam, po czym upewniłam się i ponownie nacisnęłam klamkę. – Na schodkach widać ślady kroków, więc pewnie wyszedł.

– Hmm, dziwne. Miał jechać z nami, ale kiepsko się czuł. Od rana był jakiś spięty, podenerwowany. Postanowił zostać w domu i poczytać. Widocznie zmienił zdanie i dokądś wyszedł. Dzwoniłaś do niego?

– Nie odbiera.

– Patrzyłaś w stajni?

– Nie. Już tam idę – odparłam, zbiegając ze schodków.

– Pewnie karmi konie.

Tatiana pozostała na linii, opowiadając mi o tym, jaki piękny dom właśnie zwiedzili. Słuchałam jej jednym uchem, podążając za śladami, które omijały stajnię, prowadząc na jej tyły. W pewnym momencie dobiegły mnie dźwięki przypominające odgłos uderzania młotem o żelazo. Podeszłam do okna stajni, lecz wewnątrz było pusto. Drzwi zamknięto na zasuwkę. Ruszyłam wzdłuż ściany. Śnieg skrzypiał mi pod nogami, a dźwięk kutej stali rósł na sile.

– Jesteś tam? – odezwała się Tatiana, przypominając mi, że wciąż jest na linii.

– Tak. W stajni nikogo nie ma – odparłam, zbliżając się do rogu budynku.

– To już sama nie wiem, gdzie on może być. A patrzyłaś, czy samochód jest w garażu?

– Nie, ale mogę… O Boże!

Zamarłam.

– Co się stało? – zapytał głos w słuchawce. – Laro, jesteś tam?

Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Co on najlepszego zrobił?

Jak przez mgłę usłyszałam męski głos w słuchawce:

– Laryso, mówi Adzir. Czy coś ci się stało? Odezwij się!

– Oni walczą… – zdołałam wydusić.

– Kto? Laryso… Kto walczy?

Czułam, jak ogarnia mnie panika.

– Gabriel i Daniel się pojedynkują.

W słuchawce rozbrzmiało siarczyste przekleństwo.

– Nie możesz się w to wtrącać. Rozumiesz? – powiedział Adzir. – To sprawa

Wysłanników, nie ludzi…

Lecz ja już go nie słuchałam. Wyłączyłam telefon i pobiegłam przed siebie.

Gabriel

Niestraszny był mi mróz ani wiatr, który smagał mnie po ramionach i piersi okrytych koszulą. Musiałem mieć swobodę ruchów, musiałem być szybki i zwinny, musiałem wygrać ten pojedynek. Daniel należał do silnych i przebiegłych przeciwników. Przecinał żwawo mieczem powietrze i odpierał każdy mój cios. Brzdęk! Natarłem na niego, lecz on ustąpił w bok i zrobił unik. Świst! Zamachnął się, a ja uskoczyłem, tak że ostrze minęło mnie zaledwie o kilka centymetrów. Trach! Kolejny cios Daniela, tym razem zatrzymałem go głownią, odparłem i ruszyłem do ataku. Seria szybkich uderzeń i odparcie, tym razem z jego strony. Pot spływał mi po skroni, koszula kleiła się do ciała, mroźnie powietrze wypełniało płuca, krew buzowała w żyłach. Odgłosy walki rozchodziły się echem po pobliskim lesie, raz po raz któryś z nas rzucił obelgę w stronę przeciwnika. Jednak ani na chwilę nie opuszczało nas skupienie. To była walka, w której górę wzięły emocje. Nienawiść kontra miłość, zemsta *versus* poświęcenie.

Świst! Zamachnąłem się mieczem, lecz Daniel uchylił się, obrócił na pięcie i sparował uderzenie. Kolejny zamach i ponowny kontratak. Żaden z nas nie był w stanie zdobyć przewagi. Walczyliśmy długo, bez ustanku, bez wytchnienia.

W końcu jednak nastąpił zwrot. Wszystko zadziało się tak szybko, to były zaledwie milisekundy. Daniel dał krok w tył, zadałem cios z jego prawej strony. Odparł i uderzył z przeciwnej. Zrobiłem kolejny zamach, a wtedy on kucnął, wykonał szybkie cięcie, raniąc mnie w bok. Straciłem chwilowe czucie w ręku, miecz upadł na śnieg, karmazynowa plama rozlała się na białej koszuli. Jęknąłem z bólu, lecz nie zamierzałem się poddać. Zadana rana jeszcze bardziej rozniecіła we mnie gniew. Zacisnąłem zęby, ruszyłem na Daniela jak taran i powaliłem go na ziemię. Miecz wypadł z jego ręki i posunął po śniegu. Wiedziałem, że ten sposób walki nie uśmierci Daniela, nawet gdybym zadał mu setki ciosów. Musiałem go jednak jakoś osłabić, walka wręcz była tymczasowym rozwiązaniem. Usiadłem na nim i zacząłem okładać go pięściami. Zyskałem przewagę, ale nie na długo. Daniel zaparł się nogami, obrócił i kopnął mnie w krwawiącą ranę. Zabrakło mi tchu.

Wykorzystał ten moment, zerwał się na nogi i dosięgnął miecza. Srebrzyste ostrze błysnęło w powietrzu. *To koniec* – pomyślałem. Byłem bez szans. Gorąca krew wypływała z mojego boku, pozbawiając mnie życia. Nie miałem broni, nad moją piersią wisiał tentatorski miecz. Musiałem grać na zwłokę. Potrzebowałem kilku oddechów, by zebrać siły.

– I co? Po prostu mnie zabijesz? – powiedziałem, czując, jak z każdym słowem ubywa mi krwi.

– Sam się o to prosiłeś. I to przez głupią dziewkę.

Poczułem ukłucie w piersi na samą myśl o tym, że nie jestem teraz w stanie chronić honoru swojej kobiety. Powinienem wstać i zdzielić go w tę jego czarcią mordę. To jednak byłby mój ostatni ruch.

– Byłeś jednym z nas – wyrzęziłem, mój oddech stawał się coraz płytszy.

– Ty głupcze! Naprawdę wierzysz, że są we mnie jeszcze jakieś uczucia? Że odwołasz się do mojej duszy? – Roześmiał się okrutnie i uniósł miecz nad moją piersią. – Jestem Wysłannikiem Iblisa! Nie ma już we mnie nic prócz nienawiści i zła! Giń, guardiański kundlu! – zaryczał i się zamachnął.

Stał błysnęła, przecięła powietrze.

I wtedy rozległ się dziewczęcy krzyk, coś ciepłego i miękkiego opadło na moją pierś. Pachniało tak znajomo. Długie, ciemne włosy musnęły mnie po twarzy. Uniosłem głowę i napotkałem spojrzenie szmaragdowych oczu. Rozwarły się szeroko, z ust wydobył się zbolały jęk, po wardze popłynęła smużka krwi.

Moje serce pękło na pół.

Larysa

Czułam się, jakby wbijano w moje plecy dziesiątki rozżarzonych prętów. Ostrze było jednak tylko jedno – przeszyło mnie do połowy, po czym wysunęło się z mojego ciała, zadając diabelny ból. Rwanie przeszło z pleców na pierś i odebrało mi oddech. Poczułam w ustach smak krwi. Uniosłam głowę i odnalazłam spojrzenie szarych oczu, z których biło niedowierzanie.

– Co ty zrobiłaś…? – powiedział zachrypniętym głosem Gabriel.

Jego słowa zagłuszyło piekielne wycie:

– Ty pieprzona dziwko! Ty suko! – darł się na całe gardło Daniel, by po chwili zaskowytać jak ranny pies: – Nie, nie, zostaw mnie! To nie moja wina. Ona sama go zasłoniła. Przecież w porę wyciągnąłem miecz. Ona przeżyje. Nie możesz! Precz! Zostaw mnie… Nie, błagam… – Jego głos zamilkł.

Do moich uszu dobiegł dźwięk, jakby ktoś wysypał na ziemię worek piachu. W powietrzu uniósł się smród siarkowodoru.

Nastała głucha cisza. Ustał wiatr i sypiący śnieg. W otaczającym mnie zewsząd milczeniu usłyszałam rzężenie. To był mój oddech. Płytki, urywany, świszczący. Ból nie do opisania rozrywał moją pierś. Było mi słabo, moje powieki stały się tak ciężkie, że nie mogłam ich utrzymać. Cienka mgła przysłoniła oczy, odbierając ostrość widzenia. Powietrze stało się gęste i duszące, jakbym wdychała dym z paleniska. Nie czułam swojego ciała.

I wtedy usłyszałam głos: „Poddaj się”.

„Nie. Walcz!” – odparł drugi.

Obce głosy Tentatora i Guardiana zaczęły bić się o moje życie. Lecz nawet nie miałam siły ich słuchać. Wszystko stało się obojętne, przestałam myśleć i czuć. Nadchodził mój koniec. Poczułam, jak Gabriel mnie obejmuje, i moje powieki opadły. Przed oczami zjawiła się czerń, a w jej otchłani, na dnie grobowca, ujrzałam swoją postać, w atłasowej sukience z bukietem konwalii w dłoniach. Koszmar powrócił, a jego znaczenie zyskało sens. Odkąd poznałam Gabriela, zaczął się

wypełniać mój los. Dziś miał się spełnić mój proroczy sen.

Tylko dlaczego?

Dlaczego nie pozwolono mi dalej żyć?

Nie chcę umierać. Boże, nie zabieraj mnie. Proszę…

I wtedy ogarnęła mnie zupełna ciemność, moje ciało stało się lekkie. Jakby moja fizyczność już nie istniała. Jakby nie było już nic. Utraciłam wszystkie zmysły. Nie stałam, nie leżałam, nie spadałam. Mój stan był nieokreślony. Trwałam w próżni.

I nagle rozbłysło jaskrawe światło. Wszechogarniające ciepło wskrzesiło czucie w całym ciele. Usłyszałam nieznany mi głos, który zdawał się mówić w mojej głowie: „Umarłaś, lecz twoje życie będzie trwać nadal. Oddałaś swe życie za bliźniego. Dlatego od tej chwili jesteś Jego Wysłanniczką. Naznaczono cię na Guardiankę”.

Mijała piąta doba, odkąd Gabriel zapadł w śpiączkę, a ja nie wiedziałam, czy jest dzień, czy noc. Sypiałam na fotelu przy jego łóżku, jadałam na taborecie przy jego łóżku i modliłam się na kolanach przy jego łóżku. Nie istniało dla mnie żadne życie prócz tego, które trwało w jego sypialni. Nawet do szkoły nie chodziłam, bo bałam się, że gdy z niej wrócę, jego już nie będzie. Wszystko było jak koszmarny sen, który mógłby się zakończyć wraz z przebudzeniem Gabriela. Ale on wciąż spał. Leżał w bezruchu, nawet gdy muskałam delikatnie jego usta i błagałam, by otworzył oczy. Miażdżyła mnie myśl, że nie możemy mu pomóc. Wszyscy byliśmy związani guardiańską tajemnicą, a wizyta w szpitalu bezsprzecznie wiązała się z jej ujawnieniem. Gabriela leczyła więc Semena. Pierwszego dnia byliśmy pełni nadziei i wierzyliśmy w dobre rokowania. Gabriel pozostawał przytomny, chociaż gorączkował i zdarzało mu się majaczyć. Zdążyłam mu wyznać, że stałam się Guardianką, a wtedy jego stan zaczął się pogarszać. Z godziny na godzinę było coraz gorzej, aż w końcu stracił przytomność i nie ocknął się przez następne dni. Wciąż spał jak zaklęty w kamień, a ja czułam się, jakbym spała razem z nim. A co na to Bóg? Cóż, chociaż w jednym aspekcie okazał się dla mnie łaskawy – odkąd narodziłam się jako Guardianka, Posłaniec nie odwiedził mnie ani razu.

Nastał kolejny dzień, a ja wciąż czuwałam przy łóżku Gabriela. Z samego rana Semena, Tatiana i Adzir wyjechali na poszukiwanie lekarza – Guardiana, który pomógłby w bezpiecznym umieszczeniu Gabriela w szpitalu. W naszej licznej

społeczności istnieli bowiem medycy, lecz niechętnie udzielali pomocy swoim pobratymcom. Rany Guardianów goiły się przecież w mgnieniu oka, nie stwarzając nigdy zagrożenia dla życia. Nikt nie umierał przed upływem przeznaczonych mu lat, chyba że sam odebrał sobie życie lub zginął w pojedynku od ostrza Askalona. Wierzono, że przedwczesna śmierć Guardiana była mu z góry przeznaczona. Nikt nie śmiał sprzeciwić się Bogu, który wyznaczył taki, a nie inny los swojemu Wysłannikowi. Lekarze Guardianie zazwyczaj nie udzielali pomocy lekarskiej swoim pobratymcom. Wszyscy, z którymi skontaktowała się Semena, twierdzili, że skoro rana Gabriela powstała od Askalona i ma być przyczyną jego śmierci, to widocznie taka wola Boga.

Czy oni żyją w jakimś pieprzonym średniowieczu?!

Nie mogliśmy się z tym pogodzić. Musieliśmy próbować wszystkiego. Cała trójka wyruszyła więc na poszukiwania przychylnego lekarza, a ja trwałam wciąż przy Gabrielu.

Przeniosłam wzrok z marmurowej twarzy na unoszącą się i opadającą powoli pierś. Nie mogłam wprost uwierzyć, że moje życie tak diametralnie się zmieniło w zaledwie kilka dni. W jednej chwili stałam się nieśmiertelną Guardianką, a mój ukochany walczył o życie.

A co, jeśli grozi mi wieczne życie bez niego?

Nie. On nie może umrzeć.

Poczułam napływające do oczu łzy.

To nie może się tak skończyć, skoro dopiero się zaczęło. Boże, nie odbieraj mi go teraz, kiedy wyznaczyłeś mnie na Guardiankę. Nie wystawiaj mnie na próbę, bo jej nie przetrwam. Nie znajdę na to siły.

Uklęknęłam przy łóżku i złożyłam dłonie do modlitwy. Dawniej rzadko kiedy się modliłam. Czasami, gdy działo się coś znaczącego w moim życiu albo jak babcia była bardzo chora, prosiłam anioła stróża, by mi pomógł. Teraz postanowiłam ponownie się do niego zwrócić.

Zamknęłam oczy i zaczęłam odmawiać modlitwę szeptem:

– Aniele Boży, stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy bądź mi zawsze ku pomocy. Strzeż duszy i ciała mego…

– Czy masz w ogóle pojęcie, do kogo się modlisz? – przerwał mi zachrypnięty głos.

Podniosłam głowę. Szaroniebieskie oczy patrzyły na mnie z lekkim

rozbawieniem.

Serce zabiło mi jak wariat. Zerwałam się z kolan, objęłam Gabriela i zatopiłam usta w jego ustach. Zasypywałam go pocałunkami – całowałam jego usta, brodę, którą pokrył kilkudniowy zarost, policzki – aż w końcu coś we mnie pękło. Zaczęłam płakać ze szczęścia.

– Nigdy mi tego więcej nie rób. Nigdy! – załkałam w jego usta.

Gabriel przytulił mnie do siebie i scałował moje łzy.

– Wszystko jest dobrze – zapewnił. – Może tego po mnie nie widać, lecz czuję się jak nowo narodzony. – Na jego twarzy pojawiły się uśmiech i dołeczki w policzkach.

Faktycznie wyglądał znacznie lepiej. Miałam wrażenie, że trupie dotąd policzki odzyskały koloryt, oczy zalśniły srebrzystym blaskiem.

– Długo spałem? – zapytał lekko, jakby obudził się z popołudniowej drzemki.

– Byłeś nieprzytomny przez pięć dni.

– Pięć? – zapytał zdumiony.

Potwierdziłam skinieniem głowy. Gabriel westchnął, przytulił mnie do siebie i pocałował w czoło.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego mnie zasłoniłaś?

– Chciałam ci pomóc.

– Boże jedyny, przecież mogłaś zginąć. Mogłaś umrzeć przeze mnie.

– Ale żyję – odparłam.

Przesunął dłonią po moich plecach.

– Nie wiem, czy to był sen, czy jawa, ale pamiętam, że czułem dotyk twojej ręki, twoje pocałunki, łzy na moim policzku. To dzięki nim miałem siłę, by walczyć. Boże, to prawdziwy cud, że żyjesz.

– Cud? Przecież ty nie wierzysz w cuda.

– Nie wiem już sam, w co wierzyć.

– Może warto wierzyć w przeznaczenie? – odparłam i spojrzałam mu w oczy. – Po moim odrodzeniu wszystko stało się jasne: cmentarny koszmar, nasze spotkanie, Daniel, jego kuszenie w puszczy, a nawet Gala… To wszystko było mi pisane.

Gabriel uniósł brew.

– A co, u diabła, ma do tego pies?

– Ga-La – wysylabizowałam. – Ona wabi się od naszych imion. Gabriel i Larysa.

– O Chryste, teraz to wymyśliłaś. – Zaśmiał się i przyciągnął mnie mocno do

siebie. – Jedyne, w co wierzę, to w to, że byłaś mi przeznaczona – wyznał i musnął delikatnie moje usta.

Zamknęłam oczy i przywarłam mocniej do niego. Gabriel zamruczał gardłowo, załapał mnie w tali i wciągnął na swoje wielkie łóżko.

– Twoje żebro… – szepnęłam zaniepokojona.

– Do diabła z nim. – Wsparł się na łokciu i po chwili znalazł się nade mną. – Mam teraz problem z inną częścią ciała. – Uśmiechnął się i mnie pocałował.

Objęłam go za szyję i rozchyliłam zapraszająco usta. Gabriel pogłębił pocałunek. Jego pieszczoty były namiętne i pożądliwe. Sprawiły, że całkowicie się w nich zatraciłam.

– Rozbierz się – poprosił. – Chcę nacieszyć tobą oczy.

Ściągnęłam sweter i koszulkę, a wtedy on rozpiął mój stanik. Przeciągnął po mnie wzrokiem i objął ustami wrażliwy sutek. Jęknęłam i wygięłam się jak struna.

Jego język przesuwał się po moich piersiach, brzuchu, coraz niżej. Gabriel, nie spuszczając ze mnie wzroku, rozpiął mi spodnie, ściągnął bieliznę i zaczął całować moją kobiecość. Bywało, że czasami dotykałam swoich intymnych miejsc, snując wyobrażenia o tym, jak to kiedyś będzie z mężczyzną. Ale to, co teraz Gabriel ze mną robił… Miałam wrażenie, że moje ciało zaraz spłonie. Czułam na sobie jego gorący oddech, a w środku język. To, w jaki sposób mnie tam całował, było jednocześnie najintymniejszym, najwstydliwszym i najwspanialszym z przeżyć, jakich w życiu doświadczyłam.

Poczułam ekscytujący skurcz i instynktownie uniosłam biodra. Moje ciało pragnęło więcej, więcej pieszczot, więcej pocałunków, więcej Gabriela.

Czułam, że i on tego pragnie, że i on chce więcej. Z każdym pocałunkiem jego oddech był coraz szybszy, a spojrzenie coraz bardziej pożądliwe. Chciałam, by poczuł taką rozkosz, jaką ja czułam.

– Chodź tu do mnie. – Wyciągnęłam ku niemu ramiona, a wtedy jego zabandażowana pierś dotknęła moich nagich piersi. Zaczęłam go całować, podążając dłonią wzdłuż jego ciała, w dół, aż w końcu trafiłam na bokserki. Wsunęłam w nie dłoń i objęłam jego twardą męskość. Gabriel stęknął i przygryzł moją wargę. Zaczęłam pieścić go instynktownie, czując, jak z każdym moich ruchem jego ciało pręży się, a biodra machinalnie poruszają się w przód i w tył.

Byliśmy gotowi, czułam, że to jest właśnie ten moment.

– Kochaj mnie – szepnęłam.

W pierwszym odruchu pomyślałam o zabezpieczeniu, lecz po chwili dotarło do mnie, że przecież Guardianki przez pierwsze pięć lat swojego życia są bezpłodne.

Gabriel spojrzał mi w oczy, rozsunął moje uda i umieścił się pomiędzy nimi. Mój oddech przyśpieszył, nogi zaczęły drżeć, czułam się spięta, choć bardzo pragnęłam tego zbliżenia.

– Rozluźnij się… – szepnął, przesunął palcami po mojej kobiecości i zaczął ją pieścić. Przeszedł mnie rozkoszny dreszcz, a po nim drugi. Moje biodra instynktownie wygięły się w górę.

I wtedy zaczął we mnie wchodzić. Powoli, stopniowo, delikatnie. Poczułam lekki ból. Napięłam nogi, otworzyłam szerzej oczy.

Gabriel zatrzymał się i spojrzał na mnie spod na wpół przymkniętych powiek.

– Wybacz… – Głos mu się łamał, wzrok miał popędliwy.

– Nie przerywaj – odparłam.

Zaczął masować palcami moją łechtaczkę, jednocześnie wchodząc we mnie coraz głębiej. Nie czułam już bólu, tylko napływającą falę podniecenia. Poczułam go w sobie, jak porusza się we mnie coraz szybciej, obserwowałam jego napięte ramiona, podniecone spojrzenie, wsłuchiwałam się w jego przyśpieszony oddech. Byliśmy razem. Jak jedno ciało. Jeden organizm. Byliśmy tylko my. Spoceni i spragnieni spełnienia ocieraliśmy się o siebie. Nasze oddechy łączyły się razem w porywczych westchnieniach. Byliśmy coraz bliżej spełnienia. Poczułam wewnątrz łaskotanie, po nim kolejne – silniejsze i dłuższe. Gabriel nie przestawał masować mojej kobiecości, to stamtąd właśnie wypływał ten prąd, ten dreszcz, który przemykał po całym ciele. Narastał, stawał się coraz częstszy, aż w końcu poczułam gwałtowny skurcz, który zacisnął moją kobiecość. Chwyciłam się ramion Gabriela. Zamknęłam powieki. Wstrząsnął mną dreszcz ekstazy. Czułam go w stopach, w udach, w brzuchu i w piersiach. Chciałam, by trwał w nieskończoność i dawał mi wieczną rozkosz, lecz on przepłynął szybko, jak wartka rzeka, pozostawiając bezwład, pulsowanie w skroniach i uczucie spełnienia. Otworzyłam oczy i napotkałam spojrzenie Gabriela. Źrenice płonęły mu jak rozżarzone węgle, zmarszczka przecinała czoło. Poruszył się we mnie raz, drugi, trzeci… Wstrzymał oddech, zacisnął powieki. Jego ramiona się napięły, dłonie zacisnęły na kołdrze, tułów odchylił się do tyłu. Dreszcz rozkoszy targnął jego ciałem, a ja poczułam, jak wypełnia mnie gorącym nasieniem.

Jęknął zmysłowo – długo, gardłowo, erotycznie – po czym opadł łagodnie na moją pierś, pocałował mnie w usta i zsunął się bezsilnie na poduszkę obok mnie.

Przeniosłam wzrok na jego profil. Był teraz jeszcze piękniejszy niż zwykle. Był męski. Spełniony. I to dzięki mnie. Był całkowicie mój. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie tak, że zabrakło mi tchu.

– To było obłędne – powiedział i objął mnie ramieniem.

Wtuliłam się w jego pierś i przesunęłam dłonią po bandażu.

– Jak twoje żebro? – spytałam.

– Jakie żebro? – odparł z uśmiechem i mnie pocałował. – Nigdy nie czułem się lepiej. Jesteś mym lekiem na wszystko. Nie zamierzam wypuszczać cię z mojego łóżka przez najbliższych siedem żyć.

Zaśmiałam się i położyłam głowę na piersi Gabriela. Słyszałam rytmiczne bicie jego serca i czułam się wspaniale. Czułam, że żyję. To prawda, co mówią, że seks podnosi poziom endorfin.

I wtedy niespodziewanie usłyszałam w głowie głos: „Podążaj do więzienia w Santiago de Chile”.

Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Usiadłam.

– O Boże. Dostałam właśnie wezwanie. – Przełknęłam ślinę.

Gabriel spojrzał na mnie.

– Do Santiago? – zapytał.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Ja również. Niech ich licho porwie, ale mają wyczucie. – Gabriel odrzucił kołdrę i podał mi ubrania. – Musimy się zbierać.

Poczułam paraliżujący strach. Dłonie zaczęły mi drżeć, co nie uszło uwadze Gabriela.

– Nic się nie bój i polegaj na mnie – powiedział i ujął moją twarz. – Gdziekolwiek się nie znajdziesz, zawsze będę cię chronił. Zawsze. Pamiętaj. Jesteś moim powietrzem. Moją Laristą – wyznał bez cienia wahania i zatopił swoje usta w moich.

Pozwoliłam, by strach ustąpił sile miłości. Miłości, która dodawała mi odwagi. Miłości, która wypełniła moje przeznaczenie. Miłości, która dała mi szczęście i wieczne życie.

Epilog

Wrześniowe słońce wyglądało nieśmiało zza konarów drzew. Choć pożółkłe liście wskazywały na to, że jesień jest już coraz bliżej, to w powietrzu nadal można było wyczuć zapach lata. Z rozmarzeniem wspomniałam ostatnie trzy miesiące wakacji i wrzuciłam spakowaną torbę na tylne siedzenie samochodu.

– A może napijecie się jeszcze herbaty albo zjecie jakąś kanapkę przed podróżą? – zapytała mama.

– Dzięki, ale naprawdę musimy już jechać, jeśli chcemy zdążyć przed nocą – oznajmiłam i po raz setny pozwoliłam się jej przytulić.

– Obiecuję, że przywiozę Larysę na święta. – Gabriel włożył ostatnią walizkę do bagażnika i zatrzasnął klapę. – Poza tym są przecież komórki i Skype. Myślę, że przy dobrodziejstwach współczesnej techniki nawet nie będziecie miały szansy, by się za sobą stęsknić.

– Kochanie, ja wciąż nie mogę uwierzyć, że się wyprowadzasz.

– Mamo, już o tym rozmawiałyśmy.

– Wiem i bardzo się cieszę, że dostałaś się na wymarzone studia. Szkoda tylko, że musisz wyjechać aż tak daleko. Ale taki już los matek, że kiedyś muszą wypuścić swoje pisklęta z gniazda. – Złapała mnie za policzek, jakbym była małą dziewczynką, po czym ucałowała. – Jedźcie, dzieci, bezpiecznie.

– Pa, tato. – Podeszłam do zgaszonego ojca i uściskałam go mocno.

– Trzymaj się, Laro. – Cmoknął mnie w czoło.

Jak zwykle wylewny – pomyślałam, ale po chwili ojciec przycisnął mnie mocniej do siebie i powiedział łamiącym się głosem:

– Kocham cię, córeczko.

– Ja ciebie też, tato.

Chwila nostalgii nie trwała jednak długo. Ojciec wychylił się i spojrzał na Gabriela.

– Masz o nią dbać i strzec jej jak oka w głowie. – Wskazał na niego palcem.

– Na pewno się nią zajmę. – Ukochany mrugnął do mnie frywolnie, aż

poczerwieniałam.

– A przy okazji… – Tata odsunął mnie na bok i podszedł do Gabriela. – Zdecydowałeś już, czy sprzedajesz swój dom? Bo wiesz, miałbym na niego niezłego kupca.

Jezu, a ten znowu swoje.

– Postanowiłem, że moja rodzina w nim zamieszka – odparł Gabriel.

– Na pewno? Wiesz, to byłby niezły interes…

Zwróciłam oczy ku niebu i ignorując ich rozmowę, podeszłam do Zuzki i Patryka.

– Trzymaj się, Zuza. – Przytuliłam ją.

– Trzymaj się, Lara – odparła, głos jej się załamał.

Moja najlepsza, najdroższa przyjaciółka. Nigdy nie rozstawałyśmy się na dłużej niż miesiąc, a teraz…

– Obiecaj, że nas odwiedzisz – poprosiłam i spojrzałam na nią.

– Pod warunkiem, że ty obiecasz odwiedzić nas. – W jej oczach zaszkliły się łzy, ale szybko odgoniła je uśmiechem.

– Widzę, że masz na nią pozytywny wpływ – zwróciłam się do Patryka. – To cudowne zobaczyć w oczach Zuzki łzy.

Patryk parsknął.

– Dobre sobie. Żałuj, że nie widziałaś jej wczoraj wieczorem. Przekleństwa nie schodziły jej z ust.

– Czemu? – spytałam zdziwiona, choć podejrzewałam, że mogło chodzić o jego kolejny wyjazd.

– Powiedziałem Zuzce, że jestem Guardianem.

Zesztywniałam. Popatrzyłam niepewnie na Zuzkę.

– To dlatego wyjeżdżasz? – zapytała. – Bo też jesteś Guardianką? Jeśli tak, to nie musisz jechać. Ja wszystko wiem. Pomogę ci utrzymać sekret przed starymi.

Poczułam ukłucie w sercu.

Kochana Zuzia.

– Dzięki, Zuzka, ale to nie kamuflaż. Ja na serio chcę studiować malarstwo. Ta akademia jest najbardziej prestiżową uczelnią w kraju. A że przy okazji dostanę jakieś wezwanie. Cóż, taki mój los. – Wzruszyłam ramionami, choć tak naprawdę bycie Wysłanniczką coraz częściej dawało mi się we znaki.

– Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć – odparła i przygryzła wargę.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale nie mogłam ci nic powiedzieć.

– Daj spokój. – Klepnęła mnie w ramię. – Dziwię się w ogóle, że Patryk wyznał mi prawdę.

– To wymagało wielkiej odwagi – przyznałam, patrząc na niego z podziwem.

– Nie gdy się ma świra na punkcie swojej dziewczyny i kocha się ją ponad wszystko. – Objął Zuzkę w pasie i ją pocałował.

Boże… Co za widok. Miód na moje serce.

– Na pewno tak jest, skoro nadal żyjecie. – Objęłam ich oboje.

Staliśmy przez chwilę w pożegnalnym uścisku, dopóki Zuzka nie odezwała się w swoim stylu:

– No idź już sobie, bo Gabriel przestępuje z nogi na nogę. Zaraz tu dziurę wydepcze.

Zaśmiałam się i odwróciłam się w stronę auta.

Gabriel opierał się o maskę alfy i bacznie mi się przyglądał. Ręce miał założone na piersi, a nogi wyciągnięte przed siebie.

Stał dokładnie w takiej samej pozie jak wtedy, gdy go poznałam. Nie był już jednak tym samym mężczyzną, którego spotkałam prawie rok temu.

– Ruszamy czy potrzebujesz jeszcze trochę czasu? – zapytał, widząc, że go obserwuję.

Spojrzałam ostatni raz na swoich bliskich, na swój dom, ulicę, drzewa. Wciągnęłam przez nos powietrze, nasycając się cudownym zapachem lasu. Będzie mi tego brakowało.

Podeszłam do auta.

– Pani pozwoli… – Gabriel otworzył drzwiczki i lekko się skłonił.

Moje serce przyśpieszyło rytm.

Hm, ciekawe, czy kiedykolwiek ta jego dżentelmeneria mi się znudzi?

Uśmiechnęłam się i zawołałam Galę.

Suczka podbiegła, merdając ogonem, ochoczo wskoczyła do samochodu i umościła się na tylnym siedzeniu. Przypięłam ją pasami dla psów i usiadałam z przodu.

Wreszcie nadeszła ta chwila, kiedy wkraczam w dorosłe, samodzielne życie.

Ale czy jestem na to gotowa? Czy jestem pewna, że chcę opuścić swój dom,

rodziców i przyjaciół? Czy dam sobie radę jako Guardianka?

Gabriel usiadł obok mnie i popatrzył mi w oczy. Za sprawą jego spojrzenia spłynął na mnie spokój.

To była właśnie jedna z tych chwil, w których czułam, że łączy nas coś więcej niż tylko miłość.

– Gotowa, żeby wyruszyć w podróż?

– Z tobą zawsze.

Zjechaliśmy z podjazdu i ruszyliśmy klonową aleją w kierunku zachodzącego słońca. Żegnałam znajome uliczki, domy, szkołę, las. Gabriel włączył muzykę, czułam się podekscytowana i szczęśliwa.

Do chwili, gdy wjechaliśmy na szosę w kierunku Mokrych i o szybę niespodziewanie uderzyła wielka, czarna ćma.

Wzdrygnęłam się z przestrachem.

A może to był tylko motyl?

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Larysa
Gabriel
Larysa
Gabriel
Larysa
Gabriel
Larysa
Gabriel
Larysa
Gabriel
Larysa
Gabriel
Larysa
Gabriel
Larysa
Gabriel
Larysa
Epilog
Karta redakcyjna

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska
Opracowanie językowe tekstu: Studio Editio
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © PeopleImages © peterscode (iStock.com)

Copyright © by Melissa Darwood, 2018

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2017
ISBN 978-83-66074-75-0

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek